

editio**black**

VIKTOR ARNAR

INGÓLFSSON

TAJEMNICA

WYSPY FLATEY

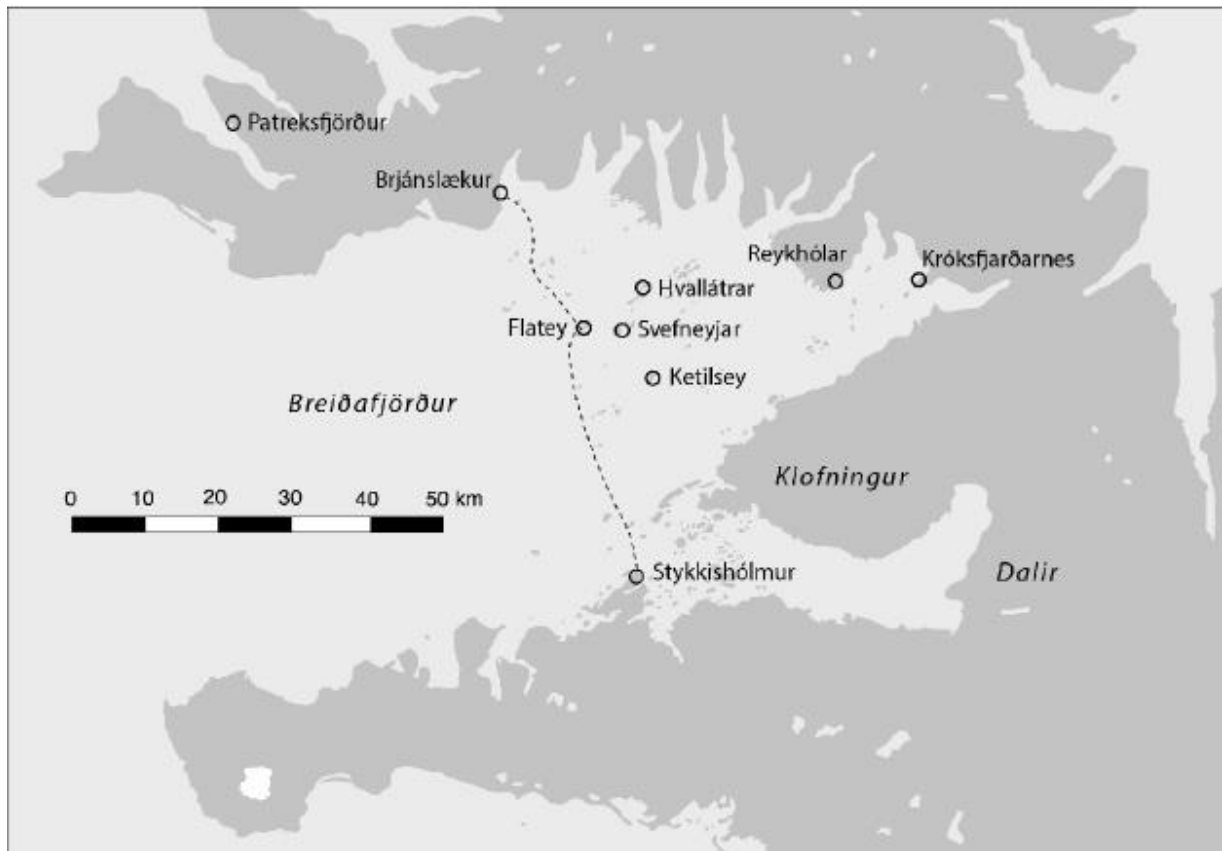
Viktor Arnar Ingólfsson

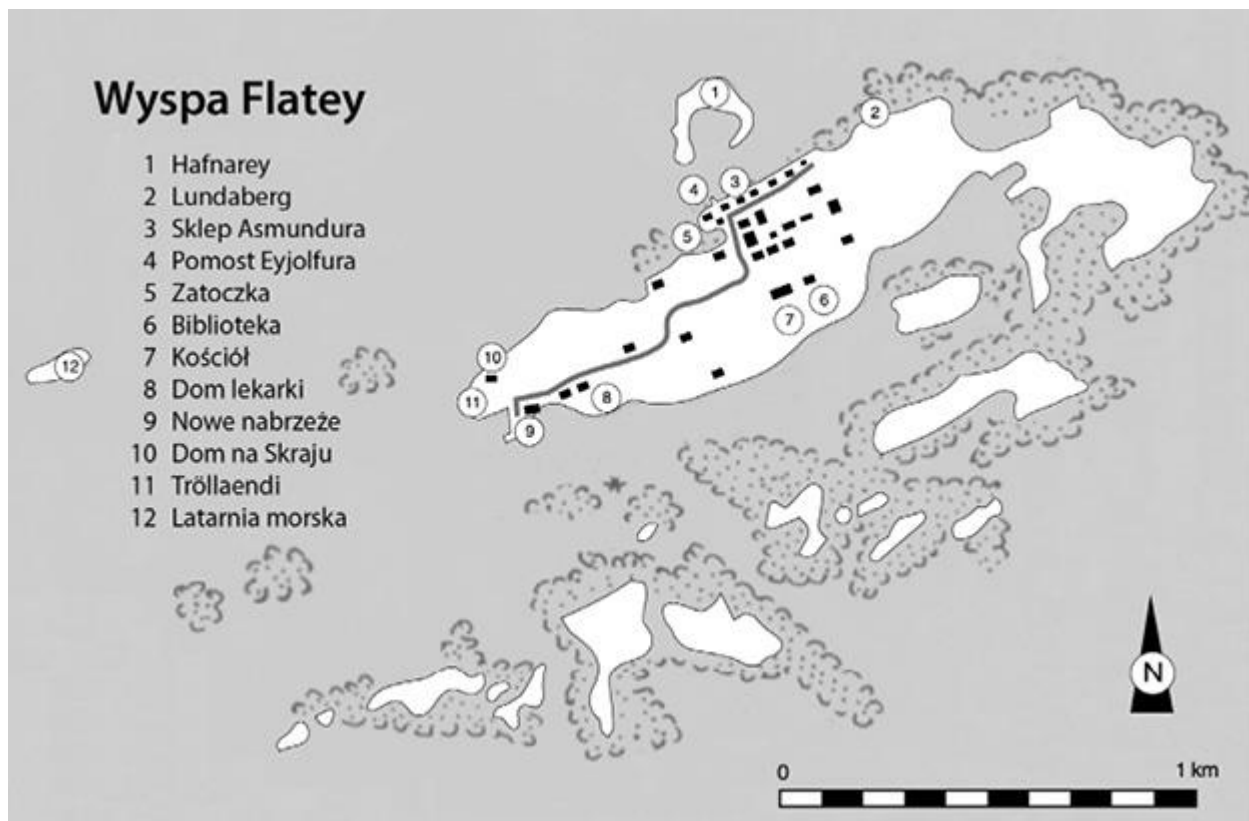
Tajemnica wyspy Flatey

Tę książkę dedykuję pamięci

mojego dziadka i mojej babci

Viktora Guðnasona i Jóníny Ólafsdóttir





Wyspą Flatey w zatoce Breiðafjörður kilkakrotnie posłużono się jako scenarią do filmów i zawsze była miejscem zastępującym inne. Tym razem wykorzystuję ją jako tło opowieści pod własną nazwą, gdyż akcja niniejszej historii dzieje się na wyspach zatoki Breiðafjörður w roku 1960.

Zapożyczam przyrodę, ptactwo, foki, ryby, wiatr, flautę, zapachy i dźwięki. Jak również stateczki i pirsy, domy i kury, krowy i przydomowe ogródki. Ale nie ludzi. Postaci pojawiające się na tych kartach nie mają swoich odpowiedników wśród mieszkańców archipelagu tamtych lat. Jeśli ktoś uważa, że zachodzi jakiegokolwiek podobieństwo do istniejących osób, jest to wyłącznie niefortunny przypadek. Wydarzenia tu opisane są najczystszej wody fikcją.

Niemniej dziękuję mieszkańcom wysepek, żywym i zmarłym, za wypożyczenie mi tej scenografii.

Środa, 1 czerwca 1960

1

Poranny wiatr nad zatoką wiał ze wschodu. Chłodna wiosenna bryza burzyła grzywacze między wysepkami archipelagu Vestureyjar. Skupiony maskonur szybko mknął ponad grzbietami fal, a ciekawski kormoran, przycupnąwszy na płaskim szkierze, wyciągnął głowę w górę. Kilka nurników pikowało w głąb oceanu, a w górze szybowały nieliczne nadęte mewy rozglądające się za ewentualnym pożywieniem. Cała przyroda fiordu była zarazem żywa i czujna w błyskach porannego słońca.

Nieduża, ale solidnie zbudowana łódź motorowa pokonywała bystre fale, oddalając się na południe od wyspy Flatey. Łajba została przerobiona ze starej łodzi wiosłowej i pomalowana czarną farbą ochronną, a na jej burtach widniały wielkie białe litery układające się w nazwę Kruk. Załoga liczyła trzech członków: młodego chłopca, dorosłego mężczyznę i trzeciego, znacznie starszego jegomościa — trzy pokolenia mieszkańców Domu na Skraju, niewielkiego dzierzawionego gospodarstwa w zachodnim narożniku wysepki Flatey.

Najstarszy z nich, Jon Ferdinand, siedział na rufie i sterował jednostką. Jego lico zdobyły siwy zarost i czarny od tabaki gil zwisający z nosa. Kilka siwych kosmyków wymknęło się spod wyświechtanej czapki z daszkiem, smagając go po twarzy. Wielka koścista dłoń mocno dzierżyła rumpel, a stare oczy pod krzaczastymi brwiami wypatrywały niedużej wysepki na południu. Mimo dobrej widoczności droga żeglugi wcale nie była oczywista. Na tle lądu widać było wiele szkierów i wysepek, a dalej w błękitnej poświacie majaczyły góry Dalafjöll.

Jon Ferdinand prowadził łódź skosem przez fale, od czasu do czasu je przecinając. Łajba była na tyle mała, że największe fale uderzające o burty mocno jej szkodziły. Ale stary człowiek sterował łodzią z wyczuciem i najwyraźniej cieszyła go walka z morzem.

Na ławce przed komorą silnika siedział syn starego, Gudvaldur. Palił fajkę i ostrzył kozik. Ubrany w gruby wełniany sweter, odwracał łysą głowę i fajkę od fal, gdy woda bryzgała przez burtę. Twarz miał osmaganą wiatrem, o szorstkim wyrazie. Był ślepy na lewe oko — doznał urazu gałki, która gojąc się, zaszła bielmem. Oko prawe miał czarne jak węgiel. Gudvaldur otrzymał imię po dawno zmarłym krewnym, który nachodził we śnie jego matkę. Wieśniacy na Flatey powszechnie mówili nań „Valdi z Domu na Skraju”.

Wysoka fala rozbiła się o burtę łódki i zmoczyła kręcone loki z tyłu głowy Valdiego. Podniósł wzrok i skierował spojrzenie na dziób.

— Tato, uważaj — warknął na ojca. — Nie możesz spamiętać, że płyniemy na Ketilsey? Skręciłeś za bardzo na południe.

Stary człowiek uśmiechnął się, obnażając pojedyncze pożółkłe zęby i nagie dziąsła.

— Za bardzo na południe, za bardzo na południe — zachrypiał i skierował dziób na fale, a Valdi, ujrzawszy, że kurs został skorygowany, na powrót zajął się swoją fajką i nożem.

Mały Nonni Gudvaldsson siedział na żaglach złożonych na dziobie, trzymając się mocno obu burt. Było mu zimno i mdliło go. Ale przywykł już do tego, więc nie robiło to na nim żadnego wrażenia. Tyle że teraz odczuwał przemożną potrzebę wypróżnienia się, czego nie można było uznać za zbyt dorosłe. Rano wstał trochę za późno i nie zdążył do wychodka przed wypłynięciem. Nie zwierzył się jednak z tego ojcu, bo ten kazałby mu po prostu wystawić tyłek za burtę i załatwić potrzebę. A w tych warunkach taka koncepcja chłopakowi nie odpowiadała. Co chwilę zerkał za dziób, by sprawdzić, czy cel podróży się nie zbliża, lecz łódka posuwała się nieśpiesznie. Siadał więc ponownie na żaglach, uparcie zagryzał wargi i koncentrował się na mięśniach okrężnych. Zaciskając oczy, powtarzał w kółko:

— Boże, Jezu, bracie mój, Boże, Jezu, bracie mój, nie pozwól, żebym się zesrał dzisiaj w gacie.

I znów wystawiał głowę ponad dziób.

— Tato, tato — zawołał. — Dziadek znów się zapomniał.

Valdi podniósł wzrok i ponownie zwrócił się do starego:

— Za bardzo na wschód nas teraz kierujesz. Zapomniałeś już, że płyniemy na Ketilsey zastawić sieci na foki?

Stary człowiek zrazu zdawał się zagubiony, ale odzyskał pewność siebie. Odwrócił łódkę od fal i skierował wprost na wyspę, która była coraz bliżej. Potem spojrzął na Valdiego i wymamrotał słowa piosenki:

— „Chłopi ruszyli na Ketilsey po młodych fok szesnaście...”.

Valdi nie odpowiedział. Schował kozik do kieszeni i opróżnił fajkę, stukając o rant burty. Potem znów przyjął poprzednią pozycję.

Wokół wysepki było płytko, a południowy brzeg był dobrze osłonięty. Valdi przejął ster, a Jon Ferdinand czekał w gotowości z niedużym kamieniem na długim łańcuchu zastępującym kotwicę. Łódź cięła fale rozbijające się o skały wyspy. Valdi wyłączył silnik, a stary człowiek rzucił kamień. Łańcuch wyślizgnął się z łośkotem w ślad za kamieniem i spłoszone ptactwo zerwało się z wysepki. Wygrzewająca się opodal na kamieniach foka szybko zniknęła w morzu. Nonni stał w gotowości na dziobie i gdy tylko łańcuch kotwiczny zatrzymał łódkę, złapał za grube, zardzewiałe koło z metalu przytwierdzone do skały, przełożył przez jego środek linę i mocno zawiązał. Potem wrócił na pokład, sięgnął do komory silnika i wyciągnął zwitek starych gazet, które tam przechowywano. Valdi patrzył, jak chłopak opuszcza pokład i znika za skałami.

— Już dawno ci zabroniłem srać na wyspie — krzyknął wkurzony. — Foki będą wchłaniać twój smród przez długie tygodnie.

Mały Nonni wiedział, że to wstyd. To była jedna z żelaznych zasad obowiązujących przy połowach fok, ale nie był w stanie się powstrzymać. Wbiegł na wyspę, znalazł dobre miejsce między skałami i opuścił spodnie. Poczł wielką ulgę i teraz zaczął się rozglądać wokół. Kilka strzelistych skał tworzyło zaciszną nieckę. Opodal chłopca dwie samice miękopióra wysiadywały jaja. Nie ruszały się i trzeba było wprawnego oka, by odróżnić je od torfu i trawy. Ostrygojad stał na kamieniu i głośno klekotał. Pewno gniazdo miał niedaleko stąd, na brzegu. Trochę dalej, pod potężną skałą, leżało truchło wielkiego zwierzęcia.

Nonni widywał już wcześniej podobne rzeczy. Trupy młodych wielorybów, dużych fok albo wzdęte cielska owiec. Teraz różnica polegała na tym, że ścierwo miało na sobie zieloną kurtkę.

— *Proszę mi opowiedzieć o Flateyjarbok — poprosił.*

Zastanowiła się.

— *Chce pan usłyszeć historię długą czy krótką? — spytała w końcu.*

— *Długą, jeśli ma pani czas.*

Wyjrzała przez okno. Na północnym zachodzie słońce chowało się za góry.

— *Teraz mam dość czasu — powiedziała cicho.*

Czwartek, 2 czerwca 1960

2

Raz w tygodniu, w soboty, ze Stykkisholmur na Flatey wyruszał statek pocztowy, który potem płynął do Bardaströnd na północnym brzegu zatoki Breidafjörður. Nabrzeże znajdowało się w Brjanslaekur i to tam ściągali nieliczni gospodarze zamieszkujący bezdroża fiordów na wschód od przystani. Komunikacja między farmami nie należała do łatwych, a różnice w odpływach i przypływach jeszcze bardziej utrudniały morską przeprawę.

Po wybudowaniu drogi przez wyżynę Kleifaheidi otworzyła się droga do Patreksfjörður na zachodzie oraz do wsi na północ od miasteczka. Wtedy też zwiększyła się liczba podróżujących stateczkiem pocztowym i zaczęto przewozić towary.

Z Brjanslaekur statek wracał tą samą drogą, zatrzymywał się na Flatey i kończył kurs w Stykkisholmur. Taki rejs trwał cały długi dzień i kiedy wreszcie jednostka rzucała cumy w rodzimym porcie, była już głęboka noc.

Niewiele się działo w porcie w Brjanslaekur, gdy statek pocztowy nie kursował. W ten czwartek jednak tak się złożyło, że na kei stał nieznajomy, który patrzył, jak od południa zbliża się motorówka. Miał na sobie płaszcz przepasany w talii, był średniego wzrostu, szczupły, z wyraźną blizną na czole. Mrużył szare oczy, jakby nie był przyzwyczajony do światła, a wiatr mierzwił mu gęste czarne włosy. Pod jego nogami spoczywała podłużna metalowa skrzynia z rączkami po bokach.

Mężczyzna stał na nabrzeżu samotnie, a opodal, pod ścianą magazynu, siedziało dwóch tubylców z zainteresowaniem obserwujących te niespodziewane odwiedziny. Mała bagażówka wyjeżdżała z kei na drogę i po chwili znikła, a ciemny tuman kurzu, który wzbijała, przesunął się na zachód.

Otoczenie było dla młodego człowieka obce. Patrzył z niepokojem na rozległą zatokę i odległe wysepki. Dwie wrony krążyły wysoko nad jego głową, kracząc od czasu do czasu. Nad taflą oceanu unosiło się kilka rozwrzeszczanych mew. Ten ptasi jazgot przywołał jego wspomnienia, ale nie były dobre, więc podświadomie uniósł dłonie do uszu i na chwilę zamknął oczy. Szybko jednak dotarło do niego, że nie da się w ten sposób odizolować od otoczenia, więc spróbował pozbyć się tych uczuć. Włożył dłonie głęboko do kieszeni płaszcza i zacisnął pięści.

Motorówka zbliżyła się do brzegu. Po chwili silnik wyłączono i jednostkę skierowano do nabrzeża. Mężczyzna na brzegu chwycił linę rzuconą z pokładu łódki i trzymał ją, podczas gdy dwaj pasażerowie motorówki gramolili się na ląd.

— Dzień dobry — powiedział ten z przodu. Krzepki jegomość po

sześćdziesiątce, grubawy, rumiany, z białym kołnierzem zarostu na pucułowatej okrągłej twarzy. Nos miał mały i gruby. Był ubrany w wodery i pasiastą kamizelkę z wełny. Głowę nakrywał czarny kaszkiet.

— Jestem Ellidagrimur Einarsson, wójt gminy Flatey, mówią mi Grimur. Pan musisz być przedstawicielem prefekta z Patreksfjördur, co nie?

— Tak. Kjartan — odparł stojący na nabrzeżu i potrząsnął wyciągniętą dłonią wójta. Czuł, że jest gruba, a skóra szorstka, ale uścisk był silny i ciepły.

— A to jest Högni, nauczyciel naszej szkoły na Flatey i organista w naszym kościele — przedstawił wójt swego towarzysza, wysokiego i szczupłego mężczyznę w czystym granatowym kombinezonie i wysokich gumiakach. — Wiosną jest marynarzem na mojej łodzi przy połowach fok, a gdy nadchodzi czas, pomaga mi przy sianokosach — dodał na koniec prezentacji.

Högni także pewnie uściśnął Kjartanowi dłoń. Miał ogromne siwe wąsy schludnie przystrzyżone po bokach, a poza tym był gładko wygolony. Nauczyciel zdawał się być w podobnym wieku co jego towarzysz z motorówki, ale wyglądał młodziej. Jasną czapkę z daszkiem zsunął na kark.

Wójt przyjrzał się uważnie przedstawicielowi prefekta i wyciągnął tabakierę.

— Dopieroś pan zaczął robotę u prefekta, przyjacielu? — spytał i skierował tabakierę w stronę przybysza.

— Tak, przyjechałem do Patreksfjördur dopiero przedwczoraj na promie Skjaldbreid — odpowiedział Kjartan i podziękował gestem za tabakę.

— I od razu wysłali w delegację. — Wójt Grimur uśmiechnął się szelmowsko i podał tabakierę Högniemu.

— Tak, nie spodziewałem się takiego zadania. Miałem asystować w pracach biurowych, przy ogłaszaniu wyroków i tym podobnych rzeczach.

— To w takim razie nie jest posada na długo? — spytał Grimur.

— Nie, tylko do jesieni.

— A na urzędnika się pan kształciłeś?

— Na wiosnę skończyłem prawo, ale nie interesuje mnie kariera urzędnicza.

— A co?

— Może jesienią uda mi się dostać do jakiejś kancelarii. A tę robotę załatwił mi jeden z moich profesorów. W przyszłości wolałbym się skupić na prawie majątkowym, więc tu zdobędę dobre doświadczenie, zajmując się umowami najmu.

Wójt spojrział na skrzynię leżącą u ich stóp.

— No to zostało nam tylko przerzucić skrzynkę na pokład i wsadzić do niej nieboszczyka. Ale najpierw wpadniemy do mojej Imby na Flatey i wrzucimy coś na ruszt. Jeśli dobrze ją znam, koło pierwszej będzie czekała z obiadem.

— Znaliście nieboszczyka? — spytał Kjartan. Miał nadzieję usłyszeć pozytywną odpowiedź, bo to by ułatwiło zadanie. Niestety, nadzieja okazała się

płonna, bo Grimur odpowiedział:

— Nie, nie znaleźliśmy. Valdi z Domu na Skraju powiedział nam tylko, że z ojcem i synem znaleźli martwego człowieka na Ketilsey i nic więcej. Oni niespecjalnie jasno się wyrażają, zwłaszcza że jeden gada przez drugiego, a do tego wszystko powtarzają co najmniej dwa razy. Ale z tego, co zrozumiałem, to chłopina nie wyzionął ducha niedawno. Pewno to ofiara jakiegoś morskiego wypadku tej zimy, a zwłoki po prostu zniósł tam prąd. Wydaje mi się, że to tylko kości, które musimy poskładać. Chociaż powinniśmy być gotowi na wszystko. No i muszę to jeszcze spisać i ułożyć raport. Ale pan się na tym znasz lepiej.

Kjartan nie przypominał sobie, aby na studiach prawniczych omawiano takie działania, ale oczywiście był w stanie zapisać coś na kartce papieru. Mimowolnie sięgnął ręką do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął notatnik i długopis. Wypróbował długopis, bazgrząc coś na pustej kartce. Okazał się sprawny. Tubylcy przyglądali mu się z zainteresowaniem.

— Tak, dobrze. Napiszę raport — zgodził się Kjartan, nie bez skrępowania, i schował notes do kieszeni.

Obaj mieszkańcy Flatey zeszli na pokład motorówki i pomogli Kjartanowi umieścić w niej skrzynię. Na pokładzie znalazła się także nieduża teczka, a na koniec, uprzednio zwolnwszy cumę, i sam przedstawiciel prefektury. Högni przywiązał skrzynię do ławki starym sznurem, a w tym czasie Grimur za pomocą korby uruchomił silnik. Łódź była na wstecznym biegu, więc powoli zaczęła się cofać. Kiedy znalazła się na otwartych wodach, sternik zmienił bieg. Łódź ruszyła całą parą na południe.

W tę i we w tę przewracała karty wydanej przez Munksgaarda Flateyjarbok. Co chwilę zatrzymywała się i czytała na głos pojedyncze zdania. Na każdej stronie książki znajdowała się pełnowymiarowa fotografia jednej strony manuskryptu — zdjęcie dokładne i wyraźne, mimo że brakowało kolorystyki oryginału. Papier był biały i dobrze zachowany.

Wreszcie zamknęła księgę, po czym otworzyła ją na pierwszych stronach i cichym, pewnym głosem, bez wahania zaczęła swoją opowieść.

— Flateyjarbok zaczyna się od swoistej zbieraniny. Pieśni Hyndli, opowieści o królu Sigurdzie Slefie, opowieści rodowe i tym podobne. Wszystkie te opowieści zostały napisane najprawdopodobniej pod koniec powstawania księgi, a strony dokładano z przodu, kiedy manuskrypt już został oprawiony. Na stronie czwartej zaczyna się Saga Eryka Podróżnika, a następnie Saga króla Olafa Tryggvasona Wielkiego. Ów Olaf panował w Norwegii od 995 roku do 1000, a jego historia to jeden wielki epos, na który składa się bezlik sag i thatturów, jak choćby Saga wikingów jomskich, Saga Farerczyków, Saga mieszkańców Orkadów, Saga Grenlandczyków i wiele innych...

Nie wypłynęli jeszcze poza szkiery przy Brjanslaekur, gdy Högni przesunął się ku burcie i położył się na worku jutowym rozłożonym na kupie sieci. Naciągnął czapkę z daszkiem na oczy, skrzyżował ręce na piersiach i wyprostował nogi.

Kjartan siedział na ławce naprzeciwko Grimura zajętego sterem. Silnik głośno pracował, więc i rozmowa się rwała.

— To nie jest wygodne miejsce na sen — zauważył Kjartan, gdy tylko Högni zdążył się ułożyć.

— Chłopina jest zmęczony i lubi sobie poleżeć podczas rejsów — odparł Grimur. — Przy tak dobrej pogodzie wydłużają się nam dni pracy, a Högni na co dzień nie przywykł do ciężkiej harówki. Jest na garnuszku u mojej Imby i pomaga jej za to latem w robotach.

— Samotny jest?

— Tak, żona mu zmarła kilka lat temu. Nocuje w szkole, a dwa razy dziennie dostaje u nas posiłek.

Motorówka oddaliła się już znacznie od lądu. Podróż mijала bez przeszkód. Grimur w skupieniu pilnował trasy, bo wszędzie było blisko do szkieców i podwodnych skał.

Kjartan uważał, że powinien podtrzymywać rozmowę, ale nie miał pojęcia na jaki temat. Z uwagą obserwował zatokę. Cała była upstrzona wysepkami, dużymi i małymi.

— Nigdy jeszcze nie byłem na Breidafjörður — rzucił. — Pewno to prawda, że wysepek w zatoce jest niezliczone mnóstwo.

Grimur uśmiechnął się, gotów do konwersacji.

— Pewno nieprędko uda się je wszystkie policzyć — odparł. — Bo najpierw trzeba by zdecydować, co nazywamy wyspą. Jeśli uznamy, że wyspą jest oblewany przez morze podczas największego przypływu skrawek ziemi, na którym rośnie jakakolwiek roślinność, to może uda się je policzyć. W ten sposób w całej zatoce doliczono się około trzech tysięcy wysepek. Ale poza tym są jeszcze szkiery pozbawione roślinności, a tych nigdy nikomu nie udało się dokładnie policzyć i dlatego można uznać, że są niezliczone.

Kjartan skinął głową, udając zainteresowanie.

Grimur wskazał na wysepkę wystającą wysoko ponad tafelę wody.

— Tu mamy Hergilsey, niedawno opustoszała, nazwana na cześć Hergilsa Hnappassa. Czytałeś pan *Sagę Gisleiga*?

— Tak, ale dość dawno temu — odparł Kjartan.

— Synem Hergilsa był Ingjald, gospodarz z Hergilsey. U niego się ukrywał, jak fama niesie, skazany na banicję Gisli Sursson. Kiedy Börk Gruby chciał zabić Ingjalda za ukrywanie banity, tak rzekł stary Ingjald. — Grimur wziął głęboki oddech, zmienił głos i donośnie zagrzmiął: — „Szaty mam marne i nie smuci mnie,

że ich bardziej nie zedrę”. — Następnie uśmiechnął się i dodał: — Mieszkańcy Breidafjördur nie zwykli narzekać na drobiazgi.

Kjartan skinął głową i także usiłował się uśmiechnąć.

Grimur dalej pokazywał mu wysepki, mówił, jak się nazywają, i opowiadał ich historie. Na zachód leżał Oddbjarnarsker, wielki port rybacki, do którego w potrzebie ściągali ubodzy. Dalej Skeley, Langey, Feigsey i Syrey. Każda wyspa miała swoją opowieść.

Högni wybudził się z drzemki, przysunął się do nich i dorzuczał do opowieści swoje trzy grosze. Kiedy na horyzoncie pojawiła się Flatey, powiedział:

— To było w okolicy Bożego Narodzenia, na przełomie wieków. Z łądu przybył statek z drewnem opałowym na sprzedaż na Flatey. Sześciu chłopa załogi. Po drodze rozszalała się nawalnica i pobłądzili. Udało im się dotrzeć do Feigsey, ale statek się popsuł.

Högni wskazał Kjartanowi Feigsey, po czym kontynuował:

— Wiele dni tam przebywali, bez jedzenia, zziębnięci, ale przecież dopóki widno było za dnia, widzieli, jak ludzie na Flatey chodzą między domami. W końcu ktoś usłyszał ich nawoływania i przyplłynęto po nich. Wszyscy przeżyli, ale szeroko to komentowano, bo jedyne, co mieli do jedzenia, to trochę masła. A lata później w zatoce utonął zagraniczny statek. Ładunek stanowiły słupy telefoniczne i smar w beczkach. Ludzi udało się uratować, a i trochę towaru morze na brzeg wyrzuciło. Miejscowym nie smakowało zagraniczne masło, ale starczyło go na długo.

Grimur wybuchnął śmiechem, choć przecież nieraz musiał słyszeć tę opowieść, a być może był wśród tych, którzy raczyli się owym smarem.

Czas szybko minął na pogaduszkach i ani się obejrżeli, a już dopływali na miejsce.

Kjartan był bardzo zdumiony. W miarę zbliżania się do wyspy docierało do niego, jak wiele jest na niej domów. Najpierw w rozgrzanym powietrzu zamigotał kościół stojący w najwyższym miejscu wyspy, biały z czerwonym dachem. Potem stopniowo zaczęła się ukazywać cała osada. Słońce pobłyskiwało na kolorowych domach, w wielu miejscach wisiało pranie na sznurach.

Mijali niewielką wysepkę z wysokimi skałami, obsiadłymi od północy przez białe ptasie głowy, od południa zaś tworzącymi cichą zatokę zwróconą ku Flatey, i Grimur przytłumił silnik. Przesmyk między wyspami liczył nie więcej niż sto metrów.

— Mówimy na nią Hafnarey — wyjaśnił Grimur. — Naukowcy twierdzą, że to dawny krater. — Wciąż jeszcze musiał mówić podniesionym głosem, bo silnikowi łodzi wtórował pisk ptactwa.

Płynęli wolno przesmykiem Hafnarsund, zbliżając się do małego zużytego betonowego pomostu wychodzącego z osady w morze. Kilkoro dzieciaków

przyglądało się im z naturalnym zainteresowaniem.

— To się nazywa pomost Eyjolfura. Nowe nabrzeże znajduje się przy chłodni, na południu wyspy — zauważył Grimur. Kierował motorówkę na unoszącą się na wodach przesmyku boję i kiedy przepływali obok, chwycił boję krótkim bosakiem. Högni przyczepił ją do rufy, po czym przeszedł na dziób, by czuwać w gotowości, gdy łódka dopłynie do pomostu. Kjartan usiadł na ławce obok skrzyni. Chętnie by pomógł, ale obaj towarzysze najwyraźniej świetnie radzili sobie sami, więc tylko by przeszkadzał. Högni wskoczył z cumą na betonowe schodki prowadzące na pomost. Przytrzymał łódkę, podczas gdy Kjartan i Grimur gramolili się do niego na górę. Potem popuścił cumę i mocowanie boi odciągnęło łódkę od lądu.

Wiążąc cumę, nauczyciel upomniał dzieciaki:

— Stanowczo zabraniam wam wchodzić na łódkę. — I dodał tytułem wyjaśnienia: — Wójt Grimur wsadzi was do więzienia, jak nie posłuchacie.

Na takie *dictum* dzieci cofnęły się nieco i zaczęły się naradzać. Drogę między nimi utorował sobie niski, ale krępy dorosły w czarnym garniturze, czarnym kapeluszu i z posrebrzaną laską w ręce, który przywitał Kjartana.

— Thormodur Krakur, zbieracz pierza i kościelny — przedstawił się wysokim głosem, wspinając się na palce i kiwając w przód i w tył.

— Jestem Kjartan... przedstawiciel prefekta — powiedział przyjezdny z wahaniem.

Thormodur Krakur skłonił się głęboko.

— Witaj w gminie Flatey, dobry człowieku i władzo. Wprawdzie okazja nie jest wesola, ale my, wyspiarze, zawsze cieszymy się na odwiedzinę wysokiego przedstawiciela władzy.

— Dziękuję bardzo — wtrącił Kjartan i wbił wzrok w wyświechtany order dyndający na przetartej niebieskiej wstędze u klapy kościelnego.

Thormodur Krakur ciągnął dalej swoją mowę, ściszywszy nieco głos.

— Kościół stoi przed wami oczywiście otworem, kiedy wrócicie tu z nieboszczykiem. Przyprawdzą swój wózek po trumnę, jak ją dowieziecie. A nasz pastor wygłosi coś stosownego.

— Tak... Dziękuję — wtrącił Kjartan. O tej stronie postępowania w ogóle nie pomyślał. Postawiono przed nim jedynie zadanie przetransportowania ciała z wyspy i nadania do Reykjaviku statkiem pocztowym, którego spodziewano się za dwa dni. Oraz napisania raportu. Na tym jego rola miała się zakończyć.

— A nie można załatwić auta do przewiezienia trumny? — zapytał wójta.

— Chyba żeby ciężarówkę z chłodni, ale tej wiosny jeszcze nie udało się jej uruchomić. Wózek Krakura w zupełności się nada — odparł Grimur.

Kościelny wspiał się na palce i zapiszczał:

— Tak, zawsze wykorzystujemy mój wózek w czasie pogrzebów tu na

Flatey.

— No dobrze — zgodził się Kjartan. — Dziękuję, że pan o tym pomyślał.

Grimur niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

— Obiad u mojej Imby gotowy — rzekł wreszcie. — Nie każmy jej czekać.

Ruszyli przez osadę. Thormodur Krakur kroczył na przedzie. Laskę zarzucił na ramię niczym karabin i machał ręką do taktu z marszowym krokiem. Przy kilku domach pojawiły się kobiety, które niby to doglądały suszącego się prania, ale z zaciekawieniem obserwowały przechodzących obok mężczyzn. Thormodur Krakur piskliwym głosem opisywał Kjartanowi tutejsze miejsca, wymachując wolną ręką.

— Tam jest pakowalnia, a tam poczta i telefon, tam zaś kooperatywa kupiecka — grzmiał. — A tu mieszka błogosławiony nasz pastor, wielebny Hannes, a tam syn Gudjona rozwiesza foczą skórę.

Mijali szopę. Na jej frontonie wisiały trzy focze skóry zwrócone sierścią ku ścianie. Młody człowiek przybijał czwartą.

— A tam jest zatoczka Vogur i falochron zbudowany za srebniki. — Thormodur Krakur wskazał długi ciąg kamieni zamykający płytką zatoczkę. Dołączył do nich czarny pies z podkreśnionym ogonem, a kilka kur różnej barwy uciekło z ulicy, głośno gdacząc.

— Tam u góry stoi nasz kościół i cmentarz, a za kościołem najstarsza biblioteka w kraju. Nie jest szczególnie wielka, ale można w niej znaleźć wyjątkowej rzadkości okazy, jeśli dobrze poszukać. Nawet doskonałą kopię samej *Flateyjarbok*, naj słynniejszej księgi w historii północy, *Codex Flateyensis*, powieloną i oprawioną w Kopenhadze przez Munksgaarda, dostarczoną do flatejskiej biblioteki uroczyste przy okazji setnej rocznicy diecezji gminy Flatey.

Dom wójta był pomalowany na biało, miał zielony dach. Stał na zboczu nad osadą. Na białej tabliczce nad drzwiami widniały czarne litery układające się w nazwę Bakki. Thormodur Krakur odprowadził ich do drzwi, gdzie zdjął kapelusz i pożegnał się z nimi uściskiem dłoni.

— Służę pomocą, kiedy wrócie — powiedział na koniec i wspiął się na palce. Potem obrócił się na pięcie i z godnością zszedł ze zbocza do osady.

Kjartan popatrzył za nim.

— Kościelny zawsze tak się ubiera? — spytał Grimura.

— Nie. Tylko wtedy, kiedy jest msza i podczas powitania osobistości — odparł wójt.

— To uważa mnie za osobistość? Bo mszy dzisiaj raczej nie będzie — zauważył zakłopotany przybysz.

Grimur roześmiał się.

— Tak, przyjacielu. Krakur ma duży szacunek dla wszelkiej władzy, zwłaszcza prefektury.

— A co oznacza medal, który nosi w klapie?

— To medal pamiątkowy z uroczystości tysiąclecia Althingu w 1930 roku. Mój Krakur dostał go za przygotowanie pierza do królewskiej kołdry — wyjaśnił Grimur.

— Trzeba chłopu przyznać — wtrącił Högni — że lepiej drze pierze niż inni. Gospodyni powitała ich w drzwiach i zaprosiła do środka. Stół nakryto dla trzech osób.

— Na imię mam Ingibjörg. Mam nadzieję, że dobrze będzie panu u nas — odpowiedziała, kiedy Kjartan się przywitał i przedstawił. Krępawa kobieta miała wyraźne znamię na prawym policzku. Nosiła tradycyjny islandzki strój, który przepasała pasiastym fartuchem.

— Spodziewam się, że pan jada świeżą fokę, co? — spytał Grimur, zajmując miejsce.

Kjartan pełen wątpliwości patrzył na kilka czarnych tłustych kawałków mięsa dymiących na półmisku.

— Tak, może. Trochę — odpowiedział po chwili.

Högni również usiadł, więc wyglądało na to, że przy stole nie przygotowano miejsca dla gospodyni. Postawiła na blacie szklanki i dzbanek z wodą.

— Kiedy odławiamy młode, często jadamy focze mięso — rzucił Grimur i nałożył sobie solidny kawałek mięsa. — A do niego kartofle, jeśli akurat są.

Kjartan odkroił troszkę z jednego kawałka i przełożył na talerz. Potem sięgnął po kartofel.

Gospodyni przyniosła niewielki ronderek, w którym coś bulgotało.

— A oto i sadło. Dobrze nim okrasić — rzucił Grimur.

Kjartan posmakował mięsa i dokończył kartofel. Högni przyglądał mu się z zainteresowaniem, po czym odezwał się z pełnymi ustami:

— Kiedyś znałem człowieka, który nie jadał foczyny i kormoranów też nie, ale co jest najdziwniejsze, jadał kury i mu smakowały.

Wrócił do jedzenia, a opanował tę sztukę tak, że nic nie brudziło mu dostojnych wąsów.

Gospodyni przyglądała się uczującym przez drzwi kuchenne.

— Nie smakuje panu, przyjacielu? — spytała serdecznie, kiedy straciła nadzieję, że Kjartan jeszcze coś zje.

— Nie mam apetytu po rejsie — odpowiedział i napił się wody, ale jej smak wydał mu się dość dziwny.

— Biedactwo! Zobaczę, czy nie mam czegoś, co łatwiej znajdzie drogę do żołądka po chorobie morskiej. — Zniknęła w kuchni.

Grimur wskazał zachodnie okno w jadalni.

— O, tam na wyspie znajduje się dom lekarza. Lekarzem jest kobieta imieniem Johanna. Mieszka ze swoim ojcem, starym i zniedołężniałym, ale bardzo światłym. Podobno rak go wykańcza, biedaka. Niektórzy powiadają, że przyjechał

tu umrzeć. Mógł trafić gorzej. Chcę powiedzieć, że stąd niedaleko jest do nieba. Nasza Johanna jest troszkę takim odludkiem, ale doskonale leczy. Dalej za domem lekarki jest chłodnia. Ale stąd jej nie widać. Potem jest Dom na Skraju. To ostatni dom z torfu na wyspie. Mieszkają w nim ci, co znaleźli ciało. Żadnej innej gospodarki nie prowadzą poza przydomowym ogródkiem, ale wykorzystują Ketilsey i okoliczne szkiery. To straszna robota, daleko, a jaj niedużo. Ale trochę fok złowią, no i zdarzy się czasem maskonur. Trochę też wędkują i dorywczo zatrudniają się w chłodni, jak jest robota.

Na chwilę panowie skupili się na jedzeniu, a potem weszła Ingibjörg i postawiła przed Kjartanem talerz z zupą.

— Resztką zupy mięsnej z wczoraj. Mam nadzieję, że lepiej panu zasmakuje.

Kjartan spróbował. Rzeczywiście, smakowała trochę lepiej niż foka.

— W tej chwili na wyspie mieszka niecałe sześćdziesiąt osób — ponownie odezwał się Grimur. — Ale ludzi ubywa. Zostali głównie starcy. Ilu miałeś uczniów w tym roku w szkole, Högni?

Kjartan czuł, że wójt doskonale wie, ile dzieci chodziło do szkoły i jak każde z nich się nazywa, a i o ich rodzicach wie więcej niż one same. Chodziło tylko o to, żeby wciągnąć nauczyciela do rozmowy.

— Piętnaścioro, ale część z nich pochodziła z innych wysp — odparł sumiennie Högni.

— I wyjeżdżają, jak tylko nadarzy się okazja — kontynuował Grimur. — W obecnej sytuacji nie ma tu nic do roboty dla młodych. Połowy marne, chłodnia nigdy na poważnie nie ruszyła. W ciągu ostatnich osiemnastu lat siedemnaście wysp opustoszało. Zamieszkanym obecnie jest tylko osiem.

— A z jakiego powodu? — spytał Kjartan.

— Powód jest prosty. Ziemia na tutejszych wyspach jest wyjątkowo wymagająca, gdybyście chcieli żyć tylko z jej uprawy. Młodzi nie godzą się na to, żeby robić za parobków u bogatych. Chcą pieniędzy, chcą mieć własne domy. Ale rodacy jeszcze kiedyś docenią te wyspy. Mając nowe maszyny rolnicze, dobre łodzie, można dobrze wykorzystać tutejsze bogactwa i nowe pokolenia to zrozumieją. Na Flatey powstanie pełna szkoła z internatem dla dzieci. Na wyspach staną nowe, solidne domy i rodziny solidarnie korzystać będą z darów tej ziemi. Te regiony, gdzie latem udaje się zgromadzić koło siedemdziesięciu foczych skór, zawsze będą należały do najlepszych w tym kraju. I jeszcze będzie tak, że edredon, foka pospolita i inne dzikie zwierzęta jadalne zostaną udomowione i zasilą hodowle. Gospodarze hodować będą świnię, uprawiać rolę i wyprawiać skóry. W każdym gospodarstwie będzie porządna łódź. Gdyby zimą lody uniemożliwiały żeglugę, na Flatey stacjonować będzie helikopter. Dla turystów powstanie hotel. Rozkwitnie handel i w siłę urośnie kooperatywa kupiecka. Płody rolne

eksportowane będą za granicę, wełniana odzież osiągnie wysokie ceny w zimnych państwach, mięso kupią w głodujących krajach, ryby także. Za kilka lat to tu właśnie będzie przyszłość dla młodych gospodarzy. Narodu nie stać, by tak znakomite ziemie leżały odłogiem, przyjacielu.

Grimur spojrział w talerz i skrzywił się.

— Najgorsze z foczyną jest to, że sadło stygnie, kiedy człowiek się zagada — rzucił i wstał z miejsca. — Wtedy trzeba postawić talerz na kuchence i troszkę je roztopić. — Zniknął w kuchni z talerzem w dłoniach.

Högni był już syty i z ciekawością przyglądał się Kjartanowi.

— Skąd pan pochodzi? — spytał.

— Z Reykjavíku, ze wschodniej części — odpowiedział Kjartan skromnie.

— Po mieczu i po kądzieli?

— Tak. Z Reykjavíku i po mieczu, i po kądzieli.

— A ile pan ma lat?

— Trzydzieści dwa.

— To późno rozpoczął pan studia prawnicze?

— Tak.

— A dlaczego pan to tak odkładał? Brak środków może?

— Można tak powiedzieć.

— Czyli zarobił pan sobie na studia przed ich rozpoczęciem?

— Można tak powiedzieć.

— A gdzie pan pracował?

Kjartan zawahał się, nim odpowiedział, i w tym czasie wrócił Grimur z talerzem, a sadło aż skwierczało na kawałku mięsa.

— Cóż za delikatesy — mlasnął. — A jak zupa? Rozgrzewa żołądek? — spytał Kjartana.

— Tak, dziękuję.

— To dobrze. Może pan zamieszkać u nas na stryszku, dopóki nie skończy pan tej sprawy. Moja Imba dopilnuje, żeby pan nie umarł z głodu.

— ...*Ten zbiór thatturów i opowieści charakteryzował islandzką kulturę w XIV wieku. Twórcy chcieli zgromadzić w jednej księdze podobny materiał z różnych stron, posegregować i porównać opowieści na temat tych samych królów. I tak powstała wyczerpująca relacja, mniej więcej w porządku chronologicznym, tyle że styl poszczególnych opowieści był dość odmienny. Zresztą może chodziło o to, by zebrać jak najwięcej opowieści, a nie o to, by ułożyć je w zwartą całość. Można powiedzieć, że Flateyjarbok jest poniekąd pozbawiona formy, jeśli porównać ją choćby do Heimskringli Snorriego Sturlusona, która traktuje o podobnych tematach. Ale dzięki temu dążeniu do zebrania jak największej ilości źródeł we Flateyjarbok mamy szereg opowieści, których gdzie indziej na skórze się nie znajdzie, wiele thatturów i podań. Po Sadze Olafa Tryggvasona następują: Saga*

Olafa Świętego, Saga Sverrira Sigurdssona, Saga Hakona Starego *i wiele innych*. Na końcu księgi mamy zaś kronikę stworzenia świata i całą jego historię aż do dnia, w którym ją spisano...

4

Po skończonym obiedzie w domu wójta Flatey gospodyni postawiła na stole dzbanek z kawą. Domownicy nalali dymiącego płynu do pustych szklanek po wodzie, po czym raczyli się tabaką. Kjartan także nalał sobie kawy do szklanki, ale podziękował za cukier i mleko proponowane przez Ingibjörg. Mężczyźni siorbali gorącą kawę, wzdychali i bekali.

— Znałem kiedyś człowieka — odezwał się Högni — który powiadał, że kawa to dar od Boga w nagrodę za długi dzień pracy. Ja jednak zawsze uważałem, że Wszechmogący nie musi wynagradzać człowiekowi, że ten może na siebie pracować. Ale kropelka kawy ożywia i Bogu niech będą za to dzięki.

Kjartan z aprobatą skinął głową.

— No, teraz to człowiek wszystkiego jest w stanie dokonać — zauważył Grimur, poklepał się po brzuchu i dopił kawę. — Duchy i zjawy unikają zmagania z pełnym żołądkiem — dodał.

Högni się roześmiał.

— To dopiero filozofia godna wójta — rzekł. — Bez przesady.

Potem wstali od stołu i wyszli do Grimurowej obory po dwie łopaty. Kjartan dziwił się, po co im one.

— Przecież człowiek nie weźmie gołą ręką trupa, który przeleżał całą zimę. W każdym razie nie tak zaraz po obiedzie — odpowiedział mu Grimur i używając garści trawy zerwanej pod ścianą obory, stał z łopaty resztki łajna.

Kjartan zszedł za mężczyznami niosącymi łopaty na ramionach do osady i dalej na pomost. Högni przyciągnął łódkę. Wskoczyli do niej. Grimur odwiązał boję i uruchomił silnik. Ruszyli, kierując się na zachód.

Wójt pokazał Kjartanowi latarnię morską na Flatey stojącą na nieodległym szkierze, a niebawem ukazał się Dom na Skraju, najbardziej na zachód wysunięta chałupa, na poły wkopana w zbocze góry, tuż nad poziomem morza. Niewielka ogrodzona działeczka przy domu najwyraźniej niedawno została przekopana i na ciemnobrązowej ziemi widać było świeże grządki. Na brzegu siedział na kamieniu młody chłopak, który się im przyglądał.

— O, tam siedzi mały Nonni — zauważył Grimur. — Jest równie dziwny jak ojciec i dziadek. Chodził do ciebie do szkoły, Högni, prawda?

— I nawet mógłby się czegoś nauczyć, gdyby nie skupiał się każdorazowo na jednym przedmiocie. Całymi dniami potrafił zastanawiać się nad jedną stroną podręcznika do przyrody, ale wtedy nie dało się z nim rozmawiać o niczym innym. A w następnym tygodniu skupiał się na astronomii. Ale czytać już niezgorzej

potrafi i trochę rachuje.

Högni spojrział w stronę lądu.

— Tata Nonniego, Valdi, też jest niezłym dziwakiem — kontynuował. — Stale zapisuje w zeszytach jakieś niepotrzebności. Opisy pogody, kto przyjeżdża i odpływa statkiem pocztowym, kto był na mszy, a kogo brakowało. No i myślę, że stary, Jon Ferdinand, dziecinnieje. I bardzo źle słyszy. Żona Valdiego, Thora, już całkiem miała dość tego gospodarowania na nieużytkach. Wyjechała za pracą przy budowie dróg i nigdy tu nie przyjeżdża. Wysyła im po prostu pieniądze, żeby kupowali Nonniemu mleko i coś na grzbiet.

Kjartan zauważył, że chłopak podniósł do oczu coś błyszczącego i w ten sposób ich obserwował, po czym zerwał się nagle i pobiegł do chałupy. I zniknął.

Za chwilę ukazały się nowe nabrzeże i chłodnia. Przy pirsie stały trzy otwarte motorówki i jedna z kabiną. Najmniejsza z łódek była czarna, pozostałe białe.

— Ostatnio rybakom nie udało się nic złowić — oznajmił Grimur. — A dziś rano nie chciało im się płynąć.

— Na paliwo nie mają — usprawiedliwił ich Högni. — Ciekawe, czy jeszcze dadzą im na zeszyt?

— To niech wypływają na żaglach — powiedział Grimur. — Przecież panowie z Domu na Skraju to jeszcze potrafią. Mogą postawić na łódce maszt i wciągnąć żagiel, jeśli nie stać ich na paliwo. Ich łódka to ta czarna. Kruk się nazywa.

— Tak, żeglować to oni potrafią — przyznał Högni. — Stary Jon Ferdinand był jednym z najsolidniejszych szyprów w zatoce, dawniej, kiedy był jeszcze w sile wieku. Niewielu potrafiło tak jak on prowadzić łódkę pod żaglami. Przy dobrym wietrze normalnie jakby kaczki łodzią puszczał. Któregoś razu wysłali go na dużej łodzi po robotników do Kroksfjardarnes. W drodze powrotnej wiał ostry południowo-wschodni wiatr w żagiel, a przyplłynął na Flatey w cztery godziny. Wprawdzie z prądem, ale niewielu po nim potrafiło tego dokonać.

Po chwili minęli już ostatnie szkiery w pobliżu Flatey i skierowali się na południe, ku wyspom, które pozostawały niewidoczne.

Kjartan bał się przybycia na miejsce. Widział już kiedyś nieboszczyka, ale nie uważał tego za miłe wspomnienie. A zadanie, które ich czekało, było pewno jeszcze mniej miłe. Usiłował jednak okazywać zainteresowanie, kiedy Grimur opowiadał mu o punktach orientacyjnych po drodze — wyspach, szkiarach i górach w oddali. Wyspy Svefneyjar na lewej burcie, góra Klofningur na lądzie przed dziobem.

Kiedy zbliżali się do Ketilsey, w powietrze wzbiła się z krzykiem mewa siodłata. Morze zakotłowało się pod skałami, gdy foki dały nura pod wodę.

— Taki mają układ — wyjaśnił Grimur. — Mewa siodłata czuwa nad

fokami, kiedy drzemią na skałach. W zamian za to dostaje żarcie, kiedy te polują. Najbardziej lubi wątrobę.

— *...Kiedy te wiekowe opowieści zapisano na skórze, była to tylko jedna wersja z wielu. Wcześniej żyły one w przekazach ustnych i innych, starszych rękopisach. Każde pokolenie traktowało je po swojemu. Gdy byłam dzieckiem, ojciec opowiadał mi sagi z tej książki jak bajki. I ja sama potem zaczęłam opowiadać moje ulubione historie na swój sposób...*

5

Ketilsey nie jest dużą wyspą, ale niełatwo odnaleźli zwłoki. Przeszli całą wyspę wzdłuż brzegu, po czym weszli nieco wyżej. Wójtowi i nauczycielowi znudziły się te poszukiwania.

— Trzeba było zabrać ze sobą Valdiego, toby nas doprowadził na miejsce — powiedział Högni.

Grimur nie był do tego przekonany.

— To wtedy i stary by chciał z nami płynąć. I pewno chłopak. Oni zawsze muszą być razem.

Zdjął kaszkiet i czerwoną chustką otarł pot z czoła.

— To on nie powiedział, gdzie mamy szukać? — spytał Kjartan.

— Nie, do diabła. Myślałem, że umrzyk leży tu na brzegu w miejscu, gdzieśmy przybili, i że trafimy na niego po zapachu — odpowiedział Grimur.

— A może znowu morze go zabrało? — zastanawiał się Kjartan.

Grimur potrząsnął głową.

— Nie. Prąd tu jest słaby, a fala ani trochę większa, niż kiedy go znaleźli.

Högni patrzył poirytowany na kilka mew siodłatych krążących nad nimi.

— Pewno cholerne mewy go już oskubały — zauważył.

To Kjartan omal nie wywrócił się o zwłoki, gdy zapuścił się między kilka skał. Kolor zielonej kurtki zlewał się z trawą, kaptur był naciągnięty na czaszkę, tak że ledwo było widać nagie kości. Spodnie i buty kryły dolne partie ciała. Smród zgnilizny unosił się w powietrzu, a nad zwłokami krążył rój much.

— Tu jest! — krzyknął Kjartan głosem, w którym nie rozpoznał własnego.

Tamci szybko zjawili się przy nim. Wójt pierwszy.

— Niepiękny tu fetor — rzucił Grimur i zakaszłał.

— Czyli że jednak był tu na górze — powiedział Högni, rozejrzawszy się wokół. — Tej zimy morze musiało szaleć jak diabli, skoro aż tu go wyrzuciło.

— Nie ma takiej możliwości — stwierdził Grimur. — Tu na górze nie ma niczego, co by morze wyrzuciło. Najbliższy kawałek drewna i wodorosty są trzydzieści sążni pod nami.

Högni zdawał się zdumiony.

— Czy to możliwe, że... — więcej nie powiedział.

Grimur rozejrzał się dookoła.

— Tak, musiał jeszcze żyć, kiedy znalazł się na tej wyspie.

Przyglądał się chwilę mężczyźnie, a potem ruszył zbadać okolicę.

— Patrzcie — zawołał. Högni i Kjartan spojrzeli w kierunku, w którym wskazał.

Jedna ze skał nachylona była do przodu i stało tam kilka opartych o nią wyrzuconych przez morze kawałków drewna. Na tych deskach ułożono kamienie i wodorosty i w ten sposób powstało coś na kształt szałas. Jeden człowiek był w stanie się tam wślizgnąć i schronić na leżąco.

— To na pewno on zbudował po tym, jak się tu znalazł. Panowie z Domu na Skraju raczej nie wzniesliby czegoś takiego.

— A nie mógł jakoś dać znać o sobie? — zastanawiał się Kjartan. Przykro było pomyśleć, że człowiek przebywał tu jakiś czas, może w środku zimy.

— Nie — odpowiedział Grimur. — Trudno by mu było dać znać o sobie, nie mając nic na rozpałkę. Szlak promu zatokowego przebiega o wiele dalej na zachód, a do najbliższych zabudowań jest kawał drogi. Ryby tu nigdy nie biorą, więc nikt się tu nie pojawia od chwili, gdy mieszkańcy Domu na Skraju oczyszczą gniazda z pierza, do momentu, gdy zaczną ruszać na połów fok. W międzyczasie nikt się tu nie zapuszcza.

— To znaczy, że umarł z głodu? — spytał Kjartan.

— Tak. I zamarł. Nie był w stanie utrzymać temperatury ciała, jeśli nie miał ognia. Zwłaszcza jeżeli mokry wyszedł na brzeg.

— Ale jak, na Boga, mógł dostać się aż tutaj? — zastanawiał się Högni. — Tu nie ma żadnej łajby, na której by przybył. Żaden szlak żeglowny tędy nie wiedzie, więc raczej nie wypadł za burtę jakiejś jednostki.

Grimur i na to miał odpowiedź.

— Prawdopodobnie przybył na łódce, którą potem stracił. Podobne rzeczy się zdarzają.

— Byłoby głośno, gdyby w zatoce zaginął człowiek, a razem z nim łódka — zauważył Högni.

— Chyba że on nie jest stąd — odparł Grimur.

— To nie ma znaczenia. Poszukiwaliby go — przekonywał Högni.

— Zimą rozbijały się tu jednostki z zachodnich rubieży. Kilku uznano za zaginionych. Może jednemu z nich udało się dostać do szalupy ratunkowej i zdryfował z prądem aż tutaj.

— A szalupa?

— Może ją jakoś stracił.

— Nie. — Högni nie był w stanie się zgodzić. Uklęknął przy zwłokach i przyjrzał się resztkom ubrania. — To nie jest rybak. Spójrz na buty. To takie traktory do chodzenia po górach. Skórzane.

— No tak — zgodził się Grimur. — Trzeba to lepiej zbadać. Włóżmy go do skrzynki i wracajmy na Flatey.

Poszli po skrzynię i położyli ją na boku obok zwłok. Następnie Grimur i Högni za pomocą łopat wepchnęli do niej szczątki, podczas gdy Kjartan ją podtrzymywał. Potem postawili skrzynię na dnie, a zwłoki przekręciły się na brzuch. Torf i trawa pod ciałem okazały się żółte i zwiędłe, nie licząc oczywiście larw much, od których się tam roiło.

— Przewrócimy go na plecy w skrzyni? — rzucił Kjartan.

— Nie — odparł Grimur. — Jemu pewno wszystko jedno, jak leży. Zresztą to niedaleko.

Wyciągnął z kieszeni fiolkę, odkręcił kapsel i wlał zawartość do trumny.

— Dostałem to od lekarza — wyjaśnił. — Niszczy zarazki i przy okazji zabija muchy i robactwo.

Dokręcili wieko skrzyni, które było uszczelnione, więc pojemnik nie przepuszczał powietrza.

Kawałek po kawałku przeszukali wyspę, próbując znaleźć jakieś ślady obecności człowieka. Na skrawku trawy w najwyższym punkcie wyspy ułożono płaskie kamienie w taki sposób, że wyraźnie tworzyły napis „SOS”. Każda litera miała jakieś trzy metry długości. Koło schronienia pod skałą znaleźli otwarty plastikowy pojemnik, a w nim odrobinę wody i kilka połamanych muszelek. W prowizorycznym szałasie natomiast nie znaleźli niczego. Obejrzelili wszystkie możliwe skały na wypadek, gdyby nieboszczyk wyrył w nich jakieś informacje, ale nie trafili na nic, co mogło zostać napisane przez człowieka. Na płaskiej skale spoczywało wiele małych kamyków i niewykluczone, że układały się w jakieś litery, ale siły natury je porzuciły. Jednak Kjartan przeniósł ten układ na kartkę, tak dokładnie jak tylko potrafił. W miejscach, gdzie obraz zdawał się wypaczony, poprzesuwał lekko kamienie, usiłując stworzyć słowo.

Ż Y W E

Grimur i Högni przyglądali się zaciekawieni.

— „Żywe”? Czy na tych wysepkach oznacza to coś szczególnego? — zapytał Kjartan.

— Nie — zaprzeczył Högni. — Ale w Hvallatrar mają buhaja, co się wabi Żywy. Byczka nazwali tak po tym, jak się znalazł na szkiecie zalany przez wody przypływu. Musiał płynąć, żeby ocalić życie. Daleko miał do lądu i pewno by się nie uratował, ale akurat płynęli tamtędy ludziska na bal na Flatey. Najpierw myśleli, że to płynąca foka, ale wtedy byczek postawił uszy. Tu, w Breidafjörður, nikt nigdy nie widział foki z uszami, więc szybko wciągnęli cielaka do łodzi.

Popłynął z nimi na Flatey i tam go trzymali w oborze, dopóki nie doszedł do siebie po tych nieszczęściach.

Grimur i Högni poszli po skrzynię i przynieśli ją na pokład. Odbili od wyspy, kierując się w stronę Flatey.

— Czy coś takiego wydarzyło się już wcześniej na tych wyspach? — spytał Kjartan, kiedy Högni sznurkiem przywiązywał skrzynię do ławek.

— Istnieją opowieści o ludziach, których znajdowano zamarzniętych na wyspach na długo po katastrofach morskich, do jakich dochodziło — odparł Högni. — Ale tamtych uznawano za zaginionych razem z łodzią i pozostałymi członkami załogi. Ten zaś był na wyspie i nikt nie miał pojęcia, że coś jest nie tak. Nigdy o czymś takim na wodach tej zatoki nie słyszałem.

Choć skrzynia została szczelnie zamknięta, Kjartan przez całą drogę powrotną czuł zapach śmierci. Poważnie cierpiał na chorobę morską i mimo niewielkiej fali cały czas wymiotował za burtę. Mieszkańcy Flatey natomiast niezwykle często niuchali tabakę.

— *...W ostatnich dekadach XIV wieku w Vididalstundze na terenie dzisiejszej prefektury Hunavatnssysla mieszkał bogaty gospodarz Jon Hakonarson. My, żyjący dziś, wiemy niestety bardzo niewiele na temat tego gospodarza i gdyby ów gospodarz nie wpadł na pomysł przygotowania tej królewskiej księgi, później nazwanej Flateyjarbok, już dawno zostałby zapomniany. Spisanie manuskryptu zajęło wiele lat, ale większość została ukończona w roku 1387. W kolejnych latach dodano co nieco, a kronika kończąca księgę pochodzi z 1394 roku...*

...Nie da się zgadnąć, co kazało gospodarzowi Jonowi Hakonarsonowi dać te sagi do spisania, może rękopis miał być podarunkiem dla młodego człowieka, który w owym czasie przejmował ster rządów w królestwie norweskim, a był imiennikiem dwóch królów na długo przed nim noszących imię Olaf. Był trzecim królem Norwegii o tym imieniu, stąd oczywiście wiele się po jego panowaniu spodziewano. Skórzana księga była prawdziwym cacuszkiem i pewno znalazłaby poczesne miejsce w królewskich pałacach. Jednakże ów Olaf zmarł lub raczej przepadł w Danii mniej więcej w tym czasie, kiedy księga była na ukończeniu. Wraz z nim wygasła norweska dynastia wywodząca się od Haralda Pięknowłosego. Matka Olafa, Margret Valdimarsdottir, przejęła berło i panowała do 1412 roku...

6

Dochodziła siódma wieczór, gdy Grimur podpłynął pod przystań Eyjolfura na wyspie Flatey. Na brzegu czekał już Thormodur Krakur miętolący kapelusz w rękach. Obok stał wózek na wielkich drewnianych kołach, a dalej pastor w sutannie z księgą psalmów w ręku. Poza nimi nie było żywej duszy. Gromadka dzieci, tak widoczna wcześniej, gdzieś zniknęła. W oknach nie było zaciekawionych twarzy.

Osada zdawała się wyludniona.

Kjartan był wstrząśnięty.

— Gdzie się wszyscy podziali? — spytał Grimura. — Tu ludzie jedzą kolację o tej samej godzinie czy jak?

Grimur rozejrzył się po osadzie.

— Nie, nie mamy tu takiego zwyczaju. Ale ludzie czują jakiś lęk w związku z tym wydarzeniem. U nas śmierć ma dużą siłę przyciągania i ludzie wolą się odwrócić.

— To znaczy, że zamykają się w domach? — dociekał Kjartan.

— Dorosłych nie interesuje ten nasz transport, a dzieciakom zabrania się wyjść z domu, żeby nie stroiły sobie z tego niestosownych żartów — odpowiedział wójt poważnie.

Högni przycumował łódkę, a Grimur i Kjartan ostrożnie wnieśli skrzynię po schodkach i położyli na wózku.

Pastor liczył sobie koło siedemdziesiątki, był łysy, z długimi bokobrodami i w okrągłych okularach, i wyglądał posepnie. Ukłonił się w ich stronę i wymamrotał nad skrzynią coś, czego Kjartan ani wyraźnie nie dosłyszał, ani nie zrozumiał. Następnie skinieniem głowy wielebny dał znak Thormodurowi Krakurowi, a ten włożył na głowę kapelusz i pociągnął wózek. Zaraz też Grimur i Högni zaczęli go pchać. Za nimi szedł wielebny i wreszcie Kjartan.

Droga prowadziła pod górę, ale nie stanowiło to jakiegoś utrudnienia, bo ładunek okazał się lekki. Thormodur Krakur był najwyraźniej silny i samotne ciągnięcie wózka nie sprawiało mu kłopotów. Pozostali dwaj pchali go jednak dla pozorów. Szli powolnym, dostojnym krokiem, a koła wózka cichym piskiem wtórowały do taktu. Odległość nie była duża, ale Kjartan odniósł wrażenie, że dotarcie do celu zajęło im wieczność.

Thormodur Krakur wielkim kluczem otworzył drzwi kościoła. Skrzynia została wniesiona. Pośrodku nawy ustawiono dwa podnóżki, na których spoczęła trumna. Następnie wyszli z domu bożego, aby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Osada nagle ożyła. Dzieciaki biegały między domami. Trzej mężczyźni konwersowali na skrzyżowaniu i co rusz zerkali w stronę kościoła. Kobiety ścigały pranie ze sznurów. Pod zboczem jakiś młodzieniec gnał przed sobą trzy krowy. Zmiana ta nastąpiła jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Grimur odezwał się pierwszy.

— Poprosiłem doktor Johannę, żeby do nas wpadła i zajrzała do skrzyni. Ona bardziej temu zwyczajna niż my, myślę.

Pastor się pożegnał.

— Pamiętaj, żeby zamknąć na klucz, zanim odejdziesz, drogi Krakurze — rzucił przez ramię na odchodnym.

— Wielebny Hannes nie chce nadaremno tracić smaku przed kolacją —

mruknął Grimur, patrząc za duchownym.

— Znałem niegdyś człowieka — skomentował Högni — który popłynął do Oddbjarnarsker po wyrzuconego przez morze topielca. Zmarły tak cuchnął, że ten człowiek na trzy dni stracił apetyt, a mimo to był głodny. Tylko nie był w stanie zatrzymać w sobie jedzenia. Ale kazali mu wachać amoniak i doszedł do siebie.

— A lekarka wie, że już jesteśmy? — spytał Kjartan.

— Wszyscy wiedzą, że już jesteśmy — zapewnił go Grimur. — Johanna z pewnością zaraz przyjdzie.

— Czy nie jest ciężko kobiecie zajmować się leczeniem ludzi, kiedy komunikacja między wyspami jest taka trudna? — zastanawiał się Kjartan.

Grimur wysmarkał się, zanim udzielił odpowiedzi.

— Jak na razie nie mieliśmy z tego powodu kłopotów. Nikt nagle nie zaniemógł i nie ma wśród nas ciężarnych. A tych, co poważnie chorują, wysyła się do szpitala w stolicy. Najczęściej mamy tu do czynienia z reumatyzmem, hemoroidami, bólem zęba i to z tym kobieta musi walczyć. Ma silne ręce i szybko wyrwie ząb, jeśli zajdzie taka potrzeba. Natychmiast po przyjeździe na Flatey kazała też, by nauczyć ją sterowania motorówką. Sama przy sprzyjającej pogodzie chce odwiedzać chorych na wyspach, zamiast odrywać innych od ich zajęć.

— To żadna nowość u nas, że kobieta steruje łódką — dodał Högni. — Na przykład moja prababka była szyprem podczas wiosennych połowów w Olafsvik. Mój dziadek podobno urodził się w domu rybaka między rejsami.

— *...Kilkadziesiąt lat przed powstaniem rękopisu Europę spustoszyła czarna śmierć i komunikacja z Islandią w zasadzie zamarła. Język Norwegów ulegał zmianom i pewno nie byli już w stanie czytać tych manuskryptów, które wcześniej dotarły z Islandii. Sagi powstały w większości w celach eksportowych i były oczywiście doskonałym towarem, dopóki w Islandii i Norwegii mówiono tym samym językiem. Kraje nordyckie były wielkim rynkiem zbytu dla książek, a Heimskringla prawdopodobnie okazała się bestsellerem w Norwegii. Zarówno wtedy, jak i potem, kiedy już zaczęto drukować książki. Księga królewska Jona Hakonarsona natomiast pojawiła się dość późno i pozostała na Islandii przez wiele wieków...*

7

Grimur miał rację co do lekarki. Nie czekali długo, nim ciemno ubrana kobieta pojawiła się za cmentarzem. Szła w ich stronę najkrótszą drogą, między grobami.

— Sumienność nie potrzebuje szerokiej drogi — zauważył Grimur z błyskiem podziwu w oczach. — W naszej gminie Johanna Thorvald jeszcze nikomu bez powodu nie kazała na siebie czekać.

Johanna miała koło trzydziestki, bladawą twarz i długie ciemne włosy

zebrane w koński ogon. Nosiła okulary, a ubrana była w dżinsy i czarny płaszcz. W jednej ręce trzymała niewielką teczkę, w drugiej papierową torbę.

— Dziękuję, żeś do nas zajrzała — powitał ją Grimur.

Ledwo skinęła w ich stronę głową i spytała:

— Co mam robić?

Trzej mężczyźni spojrzeli po sobie. Wreszcie odezwał się Grimur:

— Możesz spojrzeć na tego w skrzynce. Zobaczyć, czy może ma coś w kieszeniach albo czy posiada jakieś znaki szczególne. Coś, co by mogło być jakąś wskazówką, kto to jest.

— Mogę to zrobić, ale któryś z was będzie musiał mi wszystko notować.

Grimur spojrział na Kjartana.

— To czasem nie pańska rola?

— Chyba tak — zgodził się Kjartan.

Johanna wyjęła z papierowej torby cienki foliowy fartuch i zarzuciła go na siebie. Miał kaptur, który nałożyła na głowę i zawiązała. Usta i nos zasłoniła białą maską i włożyła gumowe rękawice.

— Gotowy? — spytała Kjartana.

— Tak.

— To zaczynamy.

Weszli do kościoła. Kjartan zatrzymał się jakieś pięć kroków od skrzyni i wyciągnął swój notes i długopis. Johanna odłożyła otwartą teczkę na jedną z ławek kościelnych i zwolniła zamknięcia skrzyni.

Gdy tylko uniosła wieko, ze środka wyleciało kilka much, ale zaraz opadły na posadzkę. Mikstura, którą Grimur wlał do skrzyni, zrobiła swoje.

Johanna długo stała nad skrzynią bez ruchu i w milczeniu przyglądała się zawartości.

— Sądząc po ubraniu, mężczyzna — powiedziała wreszcie.

— Tak, to wiemy — odpowiedział jej Kjartan.

Spojrzała na niego.

— Tu nie ma znaczenia, co wy wiecie. Proszę notować to, co mówię. To ma być mój raport jako lekarza okręgowego.

Kjartan jęknął. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że zaczęło się śledztwo.

Lekarka dalej przyglądała się Kjartanowi.

— Pamiętam pana z liceum — powiedziała w końcu.

Wzdrygnął się i podniósł złęczony wzrok, ale nie był w stanie odgadnąć wyrazu jej twarzy pod maską. Nie bardzo ją kojarzył. Musiała być z młodszego rocznika, ale nie zdecydował się spytać. Chwilę patrzyli sobie w oczy, a potem ona znów spuściła wzrok na trumnę.

— *Corpus decompositum* — wymamrotała.

— Przepraszam? — Kjartan nie rozumiał łaciny.

— Ciało zgniłe — wyjaśniła.

„To raczej jasne” — pomyślał Kjartan, ale nic nie powiedział. Zanotował tylko.

Johanna chwyciła mocno za kurtkę i spodnie i jednym silnym ruchem przewróciła zwłoki. Ze skrzyni wyleciało jeszcze kilka much.

— Na twarzy żadnych pozostałości po skórze czy mięśniach, oczu też brakuje. — Wyjęła z teczki jakieś przyrządy i za ich pomocą rozwarła szczęki denata.

— Zęby niezepsute, ale starte. Kilka dobrze wykonanych złotych wypełnień. Człowiek pewno średni wiek miał już za sobą, ale był na tyle dobrze sytuowany, że stać go było na dobrego dentystę.

Obejrzała czaszkę skrytą pod kapturem.

— Resztki siwych włosów.

Przeszła do drugiego końca skrzyni i spojrzała na buty.

— Solidne traktory ze skóry. W bucie prawym brak sznurówki.

Następnie obejrzała dłonie.

— Żadnych ozdób na palcach.

Rozpięła kurtkę pod szyją i odsunęła suwak.

— Solidna kurtka z nierdzewnym zamkiem. Chyba zagraniczna, ciemnozielona. W zewnętrznych kieszeniach mamy... — zajrzała do jednej kieszeni, po czym wyjęła z teczki pęsetę i małą papierową torebkę — ...kilka małych muszelek, mała, niedużą rozgwiazdę, resztki... piaskówki chyba.

Wyławiając to wszystko z kieszeni, wkładała do papierowej torebki.

— Denat najprawdopodobniej tym się żywił w potrzebie. Trzeba się temu przyjrzeć podczas sekcji. I jeśli to możliwe, sprawdzić, czy nie zatrul się skorupiakami.

Obejrzała wewnętrzną stronę kurtki.

— Brak kieszeni wewnętrznych kurtki. Pod kurtką denat ma na sobie brązową wełnianą marynarkę. Żadnych wyraźnych oznakowań na marynarce. Kieszenie boczne. Skórzana portmonetka w prawej. — Podniosła pęsetę portmonetkę, włożyła do papierowej torby i podeszła do Kjartana. — Proszę to sprawdzić.

Otworzył portmonetkę i wyjął kilka banknotów i monet. Policzył.

— Siedem tysięcy, dwieście pięćdziesiąt dwie korony i piętnaście aurar. — W portmonetce nie było nic innego. Włożył do niej z powrotem pieniądze.

— To spora suma, żeby tak nosić przy sobie — powiedział.

Johanna sprawdziła pozostałe kieszenie. Pęsetą wyjęła małą złożoną kartkę papieru i podała ją Kjartanowi. Rozłożył ją i przeczytał na głos kilka zdań napisanych ołówkiem.

— „Księga niniejsza należy do mnie, Jona Finnssona, jako darowizna

uczyniona przez świętej pamięci przodka mego, ojca mego ojca, Jona Björnssona, o czym niechaj zaświadczą glejty, a wręczył mi ją osobiście mój świętej pamięci ojciec, Finnur Jonsson, i w taki sposób wszedłem w jej posiadanie. Znakiem tego imię moje widnieje tu poniżej” — głosił napis skreślony wprawną ręką.

Kjartan zastanawiał się nad tą kartką. Pod tekstem napisano inną ręką „*folio 1005*”. A na odwrocie widniało trzydzieści dziewięć liter w trzech rzędach, choć tekst ten nie niósł żadnego znaczenia.

DENDZRJZREAOK
EIWICÓZDĄDZDG
TARSUGZJHAEWT

Kartka została wyrwana z kołonotatnika — była nieduża, w niebieskie linie z małym światłem. Włożył ją do papierowej torby obok portmonetki, a torbę umieścił w kieszeni swojego płaszcza.

— No to na początek mamy imię. Jon Finnsson — powiedział. — To jest jakiś taki ekslibris, ale słownictwo trochę staromodne.

— Niektórzy mieszkańcy wysp są trochę staromodni — stwierdziła Johanna. Skończyła przeszukiwanie kieszeni i niczego więcej nie znalazła.

— Pod marynarką jasnobrązowa koszula bawełniana, zielona apaszka. Najwyraźniej starannie dobrane ubrania.

— To może być tutejszy człowiek? Wyspiarz? — zainteresował się Kjartan.

— Bardzo mało prawdopodobne — odpowiedziała. — Zauważono by jego nieobecność. Tu nikt nie jest aż takim samotnikiem, żeby się ludzie nie martwili o niego po dwóch czy trzech dniach. No i odzież nie jest zgodna z wyspiarskimi trendami.

— Może obcokrajowiec?

— Nie mam pojęcia — oznajmiła. — Ale to na razie musi wystarczyć. W tym stanie wyślemy go do stolicy. Tam go lepiej zbadają.

Położyła wieko na skrzyni i solidnie je przymocowała. Wyszli.

— Czy imię Jon Finnsson wam coś mówi? — spytał Kjartan trójki oczekującej na nich przed kościołem.

— W związku z czym? — zapytał Grimur.

Kjartan wyciągnął karteluszek i przeczytał tekst.

Po wysłuchaniu Grimur i Högni spojrzeli jeden na drugiego, a Thormodur Krakur wspiął się na palce i wyprężył klatę.

— Wiem, kim jest ten Jon Finnsson.

— Kto to? — zapytał Kjartan.

— To gospodarz z Flatey, ten sam, co wręczył *Flateyjarbok* Brynjolfurowi Sveinssonowi, biskupowi skalholtskiemu. A potem to biskup wysłał manuskrypt królowi, co nie?

Kościelny spojrział z dumą dookoła siebie.

— A działo się to jesienią 1647 roku — wtrącił Grimur.

— Słowa te — ciągnął Thormodur Krakur — widnieją na pierwszej stronie księgi i to z niej zostały przepisane na tę kartkę. Charakterystyczne, że jedynym człowiekiem, który oznaczył sobie własność manuskryptu, był ten, który pozbył się go potem z rodzinnego zbioru. — Krakur mocno gestykulował dla podkreślenia swoich słów.

— I *Flateyjarbok* jest teraz u króla w Kopenhadze — dopowiedział Grimur. — Tak że raczej nie przepisano tego z oryginału.

— A w jakim celu ktoś mógł nosić przy sobie kartkę z przepisaniem tekstem? — zastanawiał się Kjartan. — I co znaczy „*folio 1005*”?

Pozostali w osłupieniu patrzyli na siebie, ale nikt nie znał odpowiedzi. Wreszcie odezwał się Grimur.

— Czasem przyjeżdżają tu turyści, którzy coś tam przeczytali z *Flateyjarbok* i chcą się dowiedzieć czegoś na temat powstania i historii rękopisu.

— I kto im udziela takich informacji? — dociekał Kjartan.

— Raz ten, raz tamten — tłumaczył Grimur. — Większość mieszkańców jest w stanie opowiedzieć tę historię, jeśli ich o nią zapytać. Sigurbjörn ze Svalbardi dobrze ją zna i często księgę cytuje, ale lepiej po duńsku mówi wielebny Hannes i to on rozmawia z obcokrajowcami.

Podczas gdy panowie prowadzili konwersację, Johanna zdjęła foliowy fartuch, złożyła go i schowała do teczki. Potem zabrała sekretarzowi notatki.

— Przepiszę raport na czysto i dostarczę go wam jutro — oznajmiła i odeszła bez pożegnania.

Thormodur Krakur przekręcił klucz w zamku kościelnych drzwi, po czym mocno szarpnął za klamkę, aby się upewnić, że są dobrze zamknięte.

— Nikt tu nie wejdzie, chyba że w moim towarzystwie, i nikt stąd nie wyjdzie, chyba że z Bogiem — powiedział, uczynił przed drzwiami znak krzyża i schował klucz do kieszeni. — Chyba już starczy na dzisiaj, drogi wójcie?

— Tak, bardzo dziękuję za pomoc — rzucił Grimur.

Kościelny zabrał wózek i ruszył w dół. Pozwolił mu toczyć się przodem z górki, a gdy znalazł się na płaskim odcinku drogi, zaczął go ciągnąć. Zatrzymał się jednak wcześniej na chwilę, obrócił trzykrotnie zgodnie z ruchem słońca i trzykrotnie w przeciwną stronę, żegnając się po każdym obrocie. I dopiero potem pociągnął wózek do domu.

— Chłopina nie pozwoli, żeby jakakolwiek siła nieczysta polazła za nim dzisiaj do domu — uśmiechnął się Högni.

— Jest trochę dziwaczny i wierzy w nieco więcej niż inni — wyjaśnił Grimur Kjartanowi.

— I do tego ma profetyczne zdolności — dodał Högni.

— Jak to profetyczne? — zapytał Kjartan.

Odpowiedział mu Grimur.

— Krakurowi zdarza się zobaczyć coś nadprzyrodzonego, ale kiedy potrzeba, okazuje się nieprzydatny — uśmiechnął się.

— Porządne medium nie miałyby kłopotów z nawiązaniem kontaktu z tym tu nieboszczykiem w skrzyni — dodał Högni. — Kiedyś na przykład żył w Kjalkafjördur człowiek, który nigdy nie był w stanie milczeć podczas pogrzebu. Cały czas rozmawiał z duchami.

Kjartan uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Nie spodziewam się, by tę sprawę udało się wyjaśnić w ten sposób — powiedział, a potem zadał pytanie, żeby zmienić temat: — Thormodur Krakur żyje ze zbierania pierza?

— Tak — odpowiedział Grimur. — I z innego drobnego zbieractwa. Ma dwie krowy i produkuje dla nich siano na skrawku łąki, zaraz za moją. Mleko może sprzedawać. Jesienią pracuje też w rzeźni i ma prawo do korzystania z zasobów kilku holmów tu na północy. Ale pozwala się tym zajmować innym, pobierając w zamian opłatę w pierzu. Za młodu doznał wstrząsu i od tamtego czasu potwornie się boi morza. — Grimur spojrział na drzwi kościoła. — A w dodatku jest okropnie przesądny — dodał na koniec.

— Co to był za wstrząs? — zainteresował się Kjartan.

— Mój Krakur — odparł Grimur — wychowywał się u jednego z gospodarzy tu na wyspie i uchodził raczej za nierozgarniętego młodzieńca ze skłonnościami do kieliszka. Pewnego razu podczas rejsu gospodarz postanowił dać mu nauczkę i wysłał go na szkier, żeby ogłuszył młode foki. Ale nie zaczęli na chłopaka i popłynęli sprawdzić zastawione sieci. Kiedy wrócili, przyplływ zalał szkier i woda sięgała chłopakowi do brody. Na stojąco.

— I od tego czasu — wtrącił się Högni — Krakur tak chętnie staje na palcach.

Ale Grimur nie dał się zbić z pantafyku.

— Od tego czasu chłopina grzecznutki się zrobił, ale i bał się płynąć w morze. Za to pije, jak go gorzała poczęstować.

— To nigdy nie opuszcza wyspy? — dziwił się Kjartan.

Mężczyźni spojrzeli po sobie zamyśleni.

— Nie, ja sobie nie przypominam, żeby Krakur kiedykolwiek gdzieś wyjechał — odpowiedział Grimur. — To raczej jego żona Gudridur podróżowała. Odwiedzała córkę w Reykjavíku, zanim zachorowała na nogi.

Kjartan skierował rozmowę na inne tory.

— To co teraz zrobimy? Nieboszczyk nie ma przy sobie niczego, co by nam powiedziało, kim jest. Nie wiemy, czy ktokolwiek zaginał.

Grimur pogładził się po zaroście na policzku.

— Możemy go opisać. Jak był ubrany. I zawiesić kartkę na drzwiach sklepu.

Może ktoś się ujawni. Możemy też zatelegrafować na wyspy Inneyjar i spytać, czy tam gospodarze nie pamiętają czasem takiego turysty.

— A gdzie znajdę maszynę do pisania, żeby to napisać? — spytał Kjartan.

— Gmina ma maszynę. Jest u mnie w domu. Wracajmy więc już do chałupy. Zdaje mi się, że zdążyłem zgłodnieć.

Ruszyli drogą w dół. Kjartan wciąż się zastanawiał, co dalej.

— Prefekt mówił, żeby wysłać nieboszczyka do stolicy statkiem pocztowym w sobotę. Ale kto go nada do Reykjavíku w Stykkisholmur? Ktoś chyba musi go odwieźć? — zapytał.

— Nie ma takiej potrzeby. Skrzynka zabierze się autokarem, jeśli będzie miejsce. A jak nie, to pojedzie autem kooperatywy. Policjant w Stykkisholmur pomoże nam to jakoś załatwić — odpowiedział Grimur.

Kjartan skinął głową.

— Tak chyba będzie najlepiej. Porozmawiam też jutro z prefektem o dalszych działaniach — powiedział.

Ingibjörg przyjęła ich kolacją — gotowane pierś maskonura z kartoflami i masłem. Znów nakryto stół dla trzech, a gospodyni, podobnie jak podczas obiadu, nie usiadła z nimi. Tym razem przy stole panowała cisza. Była już dwudziesta i włączono radio. Nadawano wieczorne wiadomości. Lektor czytał informacje o najnowszych propozycjach rozbrojeniowych Chruszczowa, przywódcy Związku Radzieckiego. Potem przeszedł do nocnych obrad Althingu spowodowanych groźbą samorozwiązania się parlamentu.

Kjartan odzyskał apetyt i sporo zjadł. Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej nie jadł maskonura, ale smakował mu on znacznie bardziej niż podane na obiad mięso foki. Wiadomości dobiegły końca i Grimur wyłączył radio.

— Ot i polityka — zauważył. — Najlepiej zachować neutralność, jak się ma do czynienia z mocarstwami i zagranicą. Ale tu, w Islandii, głosujemy na ludowców — pouczył Kjartana. — Młodzi ludzie mają to do siebie, że zostają socjalistami, jeśli się ich nie naprostuje. Ale konserwa jeszcze gorsza.

Högni uśmiechnął się i puścił potajemnie oko do Kjartana.

— Myślę, że Chruszczow jest ludowcem — zażartował. — Po śmierci towarzysza Stalina nie ma już porządnym komunistów.

— On tylko tak sobie kpi — zwrócił się Grimur do Kjartana. — Högni to najbardziej oddany ludowiec, jakiego znam. Tylko że sam się jeszcze w tym nie połapał. Tak to jest z wieloma ludźmi, którzy błędzą i głosują na inne partie. Ale niech pan nie błędzi, przyjacielu.

Rozmowa na temat polityki skończyła się tym, że mężczyźni wyszli przed dom, niosąc szklanki z kawą.

Słońce schodziło nad horyzont na zachodnim niebie. Było chłodno.

— Ciekawe, ile on dni przeżył na tej wyspie? — zastanawiał się Kjartan.

— Trudno powiedzieć — zauważył Grimur. — Może kilka dób.

Högni upił łyk kawy.

— Pewnego razu — zaczął — była starucha, która zimą zajmowała się zwierzyną na jednej z odludnych wysepek u brzegu Skardsströnd. Była z nią jeszcze dwójka parobków: mężczyzna i kobieta. Po długim okresie izolacji chłopu zabrakło tabaki, a dziewczyna miała jakiegoś chłopaka na łądzie. Chcieli więc uzyskać zgodę na wyjazd, ale starucha im nie uległa, dopóki podstępem nie zgasili jej ognia w chacie. Wtedy musiała ich wysłać na łąd po ogień. Ale nocą nadszedł mróz z północy, przyplłynęła kra i nie dało się dojechać do starej przez następne osiem tygodni. Miała coś tam na wyspie do jedzenia, choć surowe, zwierzęta dawały jej trochę ciepła. Potem zawsze uważano ją za dziwną.

Högni spojrział znacząco na Kjartana.

— Ale ten na Ketilsey nie miał ani jedzenia, ani ogrzewania — zauważył Kjartan.

— Ma pan rację, przyjacielu — odpowiedział Grimur bardzo poważnie. — Mam nadzieję, że ten nieszczęśnik długo nie cierpiał.

Weszli z powrotem do środka i wójt wskazał Kjartanowi starą maszynę do pisania stojącą na sekretarzyku w salonie. Wydawała się być w przyzwoitym stanie, więc Kjartan wkręcił w nią dwie kartki papieru przedzielone kalką i odpowiednio ustawił marginesy. W myślach przypomniał sobie uwagi lekarki, po czym zaczął wystukiwać tekst. Umiał pisać na maszynie i łatwo mu było układać treść. Początek brzmiał tak: „Obwieszczenie dla mieszkańców gminy Flatey. Na Ketilsey znaleziono szczątki mężczyzny”.

Kiedy już opisał ubranie denata, dodał słowa Jona Finnssona, które widniały na kartce w kieszeni marynarki nieboszczyka. Na koniec napisał: „Jeśli ktokolwiek mógłby udzielić informacji na temat człowieka z Ketilsey, proszony jest o skontaktowanie się z Ellidagrimurem Einarssonem, wójtem gminy Flatey”.

— ...*Bohaterowie opowieści zawartych we Flateyjarbok nie należą do moich ulubionych. Jeśli dobrze rozumieć, w większości byli to najwięksi okrutnicy, uczciwych przywódców niewielu. Postępowanie Olafa Tryggvasona i Olafa Haraldssona podczas chrystianizacji Norwegów nie przynosi chluby tej religii. Przyczyn opóźnienia postępu cywilizacyjnego w północnej części Europy o całe wieki można się doszukiwać w wyprawach rabunkowych wikingów. Natomiast podziwiam islandzkich skrybów. Ludzi, którzy przechowywali te historie z pokolenia na pokolenie, najpierw w przekazach ustnych, a potem z pomocą prymitywnego pisma, z jednej skóry na drugą. We Flateyjarbok mamy niezliczoną ilość zdań, które dziś stały się przysłowiami i używane są bez umiaru, choć nikt nie ma świadomości ich pochodzenia. Zdania typu: „Nikt wielu nie zmoże”, „Piwo to inny człowiek”, „Równo mądry waży”, „Święta po to są, by urzekać” — to są powiedzenia, które naród przyswoił sobie i których używa, nie zastanawiając się*

szczególnie nad ich pochodzeniem. Niewielu dzisiejszych skaldów myśli tak przenikliwie...

8

Dom kościelny znajdował się w głębi wyspy. Był niewielki i niski. Niewysoki gospodarz musiał się schylić, aby odstawiwszy wózek pod ścianę, wejść do środka. Chata składała się z małego salonu wykładanego boazerią z nieheblowanych desek, kuchni i pokoiku służącego zarówno za pokój dzienny, jak i sypialnię. Ściany zdobiły różowe tapety, a sufit — ciemne drewno.

Thormodur Krakur zdjął swój odświętny garnitur, złożył go starannie i ułożył na samym wierzchu w pomalowanej na zielono skrzyni na ubrania stojącej przy łóżku. Potem wdział ubranie robocze: stary szarawy kombinezon, wełniane skarpety i sfatygowane gumki.

Jego żona Gudridur gotowała sfermentowaną raję i kartofle. Była tęgawa i niższa od małżonka. Z powodu chorych nóg siedziała na ławie przed kuchenką, a przesuając się na siedzisku, wspierała się obiema rękami. Sztuczna szczęka spoczywała w szklance z wodą stojącej na kuchennym stole. Proteza była tak duża, że Gudridur wkładała ją tylko wtedy, kiedy musiała coś zjeść.

— Ale piękny zapach jada! — zawołał Thormodur Krakur, wciskając się do kuchni. Małżonkowie zasiedli do stołu. Złożyli dłonie i gospodarz wymamrotał: — Dzięki ci, Panie nasz i Zbawicielu, za tę strawę, w imię Jezusa, amen.

Podczas posiłku Thormodur Krakur opowiedział małżonce o transporcie zwłok. Wprawdzie sam do skrzyni nie zaglądał, ale był w stanie zacytować słowa wójta i okrasić relację wytworami własnej wyobraźni. Temat konwersacji nie osłabił jednak apetytu małżonków, wręcz przeciwnie. Kawałki rai znikły jeden za drugim przy wtórce mlasków i cmokania. Gudridur ubiła sobie rybę z kartoflami w jedną papkę, bo choć włożyła do ust sztuczna szczęka, to przeżuwanie za jej pomocą sprawiało kobiecie sporo kłopotów.

Thormodur Krakur w długim monologu zastanawiał się nad zagadką śmierci na Ketilsey. Nie przypominał sobie, aby do podobnego wydarzenia doszło od dziesiątków lat. Tragedie morskie i wypadki były w czasach jego dzieciństwa nieuniknionym składnikiem życia na wyspach, ale nigdy się nie zdarzyło, żeby jakiś nieznajomy zmarł na bezludnej wysepce. Gudridur przytakiwała mu różnymi okrzykami, a w końcu zapytała:

— Myślisz, że nawiążesz kontakt ze swoim świętej pamięci ojczymem, jak siądziemy do wywoływania duchów? Może będzie miał jakąś wiadomość od tego nieznajomego?

Thormodur Krakur potrząsnął głową.

— Nie, za wcześnie. Mój świętej pamięci ojczym był bardzo nietowarzystki. Nigdy nie daje się namówić, żeby ot tak przekazać jakąś informację. Może

nawiedzi mnie wkrótce we śnie i wtedy da jakąś wskazówkę. Zobaczymy. Nie można wykluczyć, że człowiek, który ginie w tak tragicznych okolicznościach, to niespokojny duch.

Skończyli kolację. Gudridur sprzątnęła ze stołu i wstawiła naczynia do zlewu. Trwało to dość długo, bo siedziała na ławie i przesuwiała się po niej. Potem wyspała kawę do młynka, a Thormodur Krakur przyniósł z salonu paczkę książek. Książki były starannie zawinięte w stare gazety i przewiązane sznurkiem. Odwinął je ostrożnie i położył na stole kuchennym. Na samym wierzchu spoczywała *Biblia*, a pod nią wszystkie grube tomiska *Flateyjarbok*: pierwszy, drugi, trzeci i czwarty tom, wydrukowane i wydane w 1944 roku.

Zapalił świeczkę i otworzył *Biblię* w miejscu, gdzie wcześniej włożył zakładkę. Głośno przeczytał krótki fragment *Księgi Mojżesza*, a Gudridur w tym czasie nalała kawy. Thormodur Krakur zamknął *Biblię* i wziął do ręki drugi tom *Flateyjarbok*. Otworzył na zaznaczonej zakładką stronie w środku *Sagi braci przyrodnych* i podczas gdy raczyli się kawą, przeczytał długi fragment o Thorgeirze Havarssonie i swoim imienniku, Thormodurze Skaldzie Kolbruny. Po zakończeniu lektury owinął książki i zawiązał. Potem poszedł dokończyć codzienne czynności gospodarskie. Musiał jeszcze dosypać zwierzętom paszy na noc.

Przyprowadził krowy z pastwiska i wydoił je w oborze. Mały Nonni przyszedł po kwaterkę mleka, którą mężczyźni z Domu na Skraju codziennie kupowali, a wracający od wójta do szkoły Högni też zajrzał na chwilę. Pogadali krótko, po czym Thormodur Krakur przyniósł ze studni kilka wiader wody i nalał krowom do cebra. Wreszcie wrócił do domu na noc. Dochodziła północ, kiedy położył się do łóżka.

— ...*Flateyjarbok to największa znana księga spisana w Islandii na skórze. Liczy sobie w sumie dwieście dwadzieścia pięć kart, czyli czterysta pięćdziesiąt stron. Złożona została w taki sposób, że z jednej cielecej skóry uzyskiwano zaledwie dwie karty, zatem w sumie zużyto sto trzysta pięć skór. Z tego sto jeden na część główną, napisaną w Vididalstundze, i dwanaście na suplement, spisany w Reykholar jakieś dziewięćdziesiąt lat później. Taki sposób składania, gdy z jednego arkusza uzyskuje się dwie karty, nazywa się folio, a jeśli z arkusza składa się cztery karty, wówczas mówimy o quarto. Wysokość kart wynosi średnio czterdzieści dwa centymetry, a szerokość dwadzieścia dziewięć...*

...*Przygotowanie skór na Flateyjarbok nie było łatwe: garbowanie, czyszczenie, wytrawianie, dopóki nie powstał użyteczny pergamin, dlatego można powiedzieć, że księga jest wynikiem pracy wielu ludzi. Nie istnieją żadne relacje na temat wyprawiania skór do tej księgi, zatem metoda jest nieznaną. Chociaż pewno sposób, w jaki przygotowywano skóry, nie różnił się od metod stosowanych przez garbarzy na kontynencie, tyle że prawdopodobnie używano mniej wapna...*

Piątek, 3 czerwca 1960

9

Kjartana obudziło przeciągłe pianie koguta dobiegające gdzieś z osady. Przez chwilę nie był w stanie się zorientować, gdzie jest ani co to za dźwięk. Łóżko znajdowało się na strychu, ale na ścianie naprzeciwko wezgłowia wisiała przymocowana pinezkami kolorowa kopia obrazu. Przedstawiał prawdopodobnie jeden z norweskich fiordów i wielki nowoczesny statek pasażerski na tle wysokich zboczy i porośniętych lasami klifów.

Znów usłyszał pianie i dotarło do niego, że pora wstać, ale zaraz ogarnął go lęk. Znał to uczucie, czasem dopadało go z rana, zwłaszcza kiedy musiał się mierzyć z nieznanymi okolicznościami. Zagryzł jednak wargi i otrząsnął się z tego. Najbardziej przeszkadzały mu w życiu własna nieśmiałość i nieufność wobec ludzi. Dlatego tak bardzo starał się unikać sytuacji wymagających od niego kontaktu z licznymi nieznanymi. Ale teraz otrzymał zadanie, które odsyłało go od jednego nieznanego w objęcia kolejnych, i nic nie był w stanie na to poradzić.

Trzy tłuste plujki bzycały przy szybie nad wezgłowiem. Podniósł się z łóżka i wyrzwał przez okno. Na zachodzie wyspy dwoje dzieci zganiało czarną owcę z jagnięciem z łąki. Ogólnie panowała cisza i słychać było ich nawoływania. Owca się uparła i nie chciała się dać przegonić. Słońce świeciło, niebo było lekko zachmurzone.

Kjartan ubrał się i zszedł ze strychu po niemal pionowych schodach. Z kuchni dochodził silny aromat kawy, a na podwórku przed domem gospodyni wieszała pranie. Miała na sobie to samo ubranie co poprzedniego dnia, tyle że fartuch tym razem był w różę. Obok niej stała na oko ośmioletnia dziewczynka, która podawała klamerki, wyjmując je ze starej puszki po farbie.

Kjartan wziął z kuchenki dzbanek z kawą i nalał sobie trochę do filiżanki. Następnie wyszedł na podwórze i rozejrzał się po rozciągającej się w dole osadzie. Zaczynał się przypływ i domy odbijały się w morzu wlewającym się do zatoczek poniżej poziomu brzegu. Pojedynczy mieszkańcy krzatali się przy domach, ale nikt nie zdawał się śpieszyć. Kiedy się spotykali, rozmawiali ze sobą, tak młodzi, jak i starzy. Tylko niektóre kury odczuwały wyraźną potrzebę pośpiechu, biegając między podwórkami. Pomimo słońca było dość rześko, a to za sprawą chłodnej bryzy.

— Dzień dobry, młody człowieku — przemówiła Ingibjörg, zauważywszy, że Kjartan wyszedł na zewnątrz.

— Dzień dobry.

— Dziękować Bogu, nie pada.

— Hmm, tak.

Ingibjörg powiesiła ostatnią szatę.

— Do sianokosów jeszcze oczywiście sporo czasu, ale teraz będzie można rozłożyć na słońcu pościel puchową — zauważyła.

— Hmm, chyba tak. A gdzie Grimur? — zapytał Kjartan.

— Skoro świt poszli sprawdzić sieci na foki. Po południu powinni wrócić.

— Dobrze.

— Grimur powiesił pańskie pismo, zanim wypłynęli.

— Świetnie.

— A o dziesiątej otwierają centralę telefoniczną, to będzie pan mógł zadzwonić do swego mocodawcy. Dziękuję za pomoc, Rosa — zwróciła się do dziewczynki. — Idź już się bawić.

Dziewczynka odłożyła puszkę i oddaliła się w podskokach.

Ingibjörg zniknęła w domu z pustą balią w rękach.

Kjartan usiadł na walającym się pod ścianą starym kręgu wieloryba i siorbał kawę. Podziwiał widoki w słońcu. Zdawało mu się, że widzi nawet białe domy na kontynencie na północy, ale równie dobrze mogły to być pozostałości po śniegu.

Z Hafnarey dochodziły wrzaski ptaków skalnych, a gdzieś bliżej beczało jagnię. Wiatr niósł słony zapach morza.

Ingibjörg znów wyszła na zewnątrz, ale już bez fartucha. Włożyła za to czapkę z pomponem i narzuciła na ramiona wełniany szal.

— To teraz zaprowadzę pana do centrali telefonicznej — powiedziała wesoło.

Posuwali się w dół, ulicą wzdłuż brzegu. Ingibjörg raczej w wolniejszym tempie niż to, do którego przywykł Kjartan. Czasem zatrzymywała się, aby się czemuś lepiej przyjrzeć lub przywitać z kimś, kogo spotkali. On czekał cierpliwie i odpowiadał na kierowane wprost do niego słowa, gdy Ingibjörg przedstawiała go swoim rozmówcom. Za to onieśmiał go brak skrepowania tych, którzy przyglądali mu się podczas rozmowy z wójtową.

Wreszcie dotarli do sklepu kooperatywy. Na jednej połowie drzwi znajdowało się miejsce, na którym najwyraźniej regularnie wieszano zawiadomienia. Stare zardzewiałe pinezki sterczały tu i ówdzie, a niedawno wywieszono ogłoszenie o mszy z okazji Zielonych Świątek. Obok wisiała kartka z tekstem napisanym przez Kjartana, przytwierdzona czterema nowymi pinezkami. Ingibjörg zatrzymała się na chwilę, przeczytała ją i z uśmiechem skinęła głową na znak, że informacja przynosi im chwałę.

Centrala telefoniczna mieściła się w parterowym budynku na wysokim podpiwniczeniu, naprzeciwko sklepu.

Nad drzwiami niebieska tabliczka z białymi literami głosiła: „Poczta i Telefon”, a w środku znajdowała się sala z wieszakiem i niewielką ławką. Stamtąd przez otwarte drzwi wchodziło się do małego biura. Na jednej ścianie wisiało kilka

szarych automatów telefonicznych, a na przeciwnej — otwarta szafka z przegródkami do segregowania poczty. W rogu na podeście stała ciężka szafa pancerna.

Przyjęła ich drobna, elegancka i uśmiechnięta kobieta. Miała na sobie spodnie i sweter. Długie włosy zaplotła w gruby warkocz.

— To jest Stina, kierowniczką centrali telefonicznej i poczmistrzyni — przedstawiła ją Ingibjörg Kjartanowi, po czym wyłuszczyła powód wizyty: — Asystent prefekta musi zadzwonić do władz. Otworzyłaś już, Stino?

Ingibjörg zajęła miejsce przy stole i gestem nakazała Kjartanowi, by spoczął obok.

— Już otwieram. Muszę tylko włączyć agregat i centralkę — odpowiedziała Stina i założyła stare rękawice robocze, po czym wyszła na zewnątrz.

— To nasze jedyne źródło prądu tu na wyspie — wyjaśniła Kjartanowi Ingibjörg. — Z tego agregatu. To znaczy mamy drugi agregat w chłodni, gdzie sprawiamy i mrozimy ryby, ale tamten rzadko pracuje.

Za chwilę usłyszeli cichy warkot silnika i uśmiechnięta kobieta ponownie się pojawiła. Nałożyła na uszy ciężkie czarne słuchawki z mikrofonem. Włączyła sprzęt, naciskając kilka przełączników. Odczekała, aż nagrzeją się lampy, po czym odezwała się głośno i wyraźnie:

— Stykkisholmur. Stykkisholmur. Tu radio Flatey.

Powtórzyła to dwa razy.

Potem zdjęła słuchawki i powiedziała:

— Stykkisholmur zaraz odpowie. Czasem lubią kazać na siebie chwilę poczekać, żeby wszyscy myśleli, że mają pełne ręce roboty.

Okazało się, że ma rację. Za chwilę z głośnika na ścianie wydobyły się jakieś trzaski, po czym rozległ się męski głos:

— Radio Flatey. Tu Stykkisholmur.

— Dzień dobry, Stykkisholmur. Jest rozmowa do prefekta w Patreksfjörður.

— Chwileczkę — usłyszeli odpowiedź, po czym zapadła cisza. Stina i Ingibjörg czekały milczące i podekscytowane.

Kjartan wyrzął przez okno wychodzące na osadę i zauważył przy drzwiach sklepu dwóch mężczyzn. Zdawali się czytać ogłoszenie z wielkim zainteresowaniem, a potem wdali się w rozmowę, co rusz zerkając na budynek poczty.

— Radio Flatey. Tu Stykkisholmur. Mam prefekta z Patreksfjörður na linii.

— Proszę bardzo — zawołała Stina, wskazując czarną słuchawkę spoczywającą na stole przed Kjartanem.

Chwycił słuchawkę.

— Halo? Halo? Tu Kjartan na Flatey.

— Tak, halo, jak tam śledztwo? — Głos w słuchawce był niewyraźny.

— Sprowadziliśmy zwłoki, ale nie mamy pojęcia, kto to — odparł Kjartan.
— Prawdopodobnie był żywy, kiedy znalazł się na wyspie, ale potem zamarł czy umarł z głodu. I leżał tam przez kilka miesięcy po śmierci.

Nastąpiła krótka chwila ciszy.

— To dziwne — stwierdził prefekt. — Naprawdę nikt nie wie, kto to jest?

— Nie. Zwłoki są zupełnie nie do rozpoznania.

Znów zaległa cisza, podczas której prefekt analizował sytuację.

— No cóż, trzeba je wysłać do stolicy — powiedział po chwili.

— Tak. Jutro nadamy trumnę statkiem pocztowym.

— To dobrze.

— Czy nie powinienem dzisiaj wrócić?

— Dzisiaj? Nie, zostań tam trochę i pogadaj z mieszkańcami gminy. Na pewno uda się dowiedzieć, kto odstawił go na tę wyspę.

Kjartan nie był zadowolony.

— Ja się nie znam na takich śledztwach — powiedział.

— Nie, ale musisz mi wystarczyć. Przecież nie wezwę policji śledczej z Reykjavíku, jeśli sami nie uporamy się ze śledztwem. Wójt pomoże ci przygotować raport.

— No tak. A co z ogłaszaniem wyroków?

— To może poczekać dwa, trzy dni. Nie przejmuj się i skup się na zadaniu. A jutro się ze mną skontaktuj. Cześć i powodzenia.

Rozmowa została zakończona i Stina poinformowała Stykkisholmur, że na razie to wszystko.

Kjartan dał jej kopię ogłoszenia i poprosił, by przekazała treść przez radiostację do pozostałych wysp.

— Skaleyjar, Svefneyjar, Latur, tu radio Flatey — zawołała w mikrofon.

Powtórzyła to trzy razy, a potem zgłosiły się wyspy, jedna za drugą. Kiedy wychodzili, zaczynała już czytać treść ogłoszenia.

— Grimur zjawi się po południu i wtedy będziecie mogli sobie porozmawiać — powiedziała Ingibjörg, gdy znaleźli się przed budynkiem poczty. I dodała: — Oczekując na Grimura, powinien pan się wybrać na spacer. Może się pan rozejrzeć po wyspie. Przyjezdni chętnie podchodzą aż pod Lundaberg poobserwować maskonury — wskazała mu drogę.

Kjartan skinął głową na znak zgody, a Ingibjörg go pożegnała i udała się do domu, jeszcze wolniej niż przedtem.

Zwiedzanie wyspy zaczął od rozejrzenia się po osadzie. Drzwi do sklepu pozostawały otwarte, ale w środku nie było żadnego klienta. Za paczkarnią stała taczka z kilkoma workami cementu. Z agregatu w piwnicy dochodził cichy warkot, a z najbliższego domu — dźwięk radia. Te wszystkie odgłosy mieszały się z krzykami ptactwa ze skały na wyspie Hafnarey.

Dojrzała kobieta w jutowym fartuchu rozkładała koldry na asfaltowym chodniku nad nabrzeżem, a jakiś staruszek malował niedużą łódkę leżącą do góry dnem na brzegu. Z okna domu pastora ktoś go obserwował.

Kjartan ruszył na spacer wąską zwirową ścieżką między domami. W powietrzu unosił się mocny zapach kurzych odchodów zmieszany z zapachem roślinności, która w ciepłym słońcu pod ścianami domów znalazła doskonałe miejsce, by się rozwijać. Szczaw domowy, dzięgiel litwor i mlecz szybko rosły na nawozie, który kury zostawiały wszędzie wokół.

Koło jednej z szop stał w ubraniu roboczym Thormodur Krakur, a przed nim na płótnie żaglowym schło pierze. Zauważywszy Kjartana, serdecznie go pozdrowił:

— Powitać asystenta prefekta. A dokądże to się dziś udajemy?

— Rozglądam się po osadzie — odpowiedział Kjartan.

— Dobra decyzja — pochwalił Thormodur Krakur. — Mogę zaprosić na degustację sprawionego rekina?

— Nie, dziękuję.

— A może świeżutkie jajko mewy?

— Nie, dziękuję. Nie jestem głodny.

— No cóż, przyjacielu. Mamy jakieś wieści o tym nieszczęśniku z Ketilsey?

— Nie, żadnych.

— Trudno. No cóż. Ale to nie zapowiada niczego dobrego. Ostatnio moje sny źle zwiastują.

— Sny?

— Tak, miewam prorocze sny, przyjacielu. Wprawdzie nie bardzo potrafię je czytać, ale są w naszej osadzie kobity, które potrafią odczytać sens snu, jeśli opis jest wystarczająco wyraźny.

Thormodur Krakur uśmiechnął się szeroko, ukazując zęby w różnym stanie.

— Czasem wskazówki są tak mgliste, że nikt nie widzi kontekstu wcześniej niż po wydarzeniach — dodał.

— I jakie to były sny? — zainteresował się Kjartan.

Thormodur Krakur wysmarkał się w czerwoną chusteczkę i wszedł do szopy.

— To były złe sny, przyjacielu, złe sny. Niejeden wołałby ich nie śnić, niż śnić — powiedział i skinieniem ręki zaprosił Kjartana do środka. Kjartan musiał się nachylić, aby zmieścić się w drzwiach, a kiedy znalazł się wewnątrz i poczuł zapach, natychmiast chciał wyjść. W środku przechowywano żywność o różnym stopniu świeżości, a niektóre produkty albo zwisały z sufitu, albo spoczywały w beczkach — w soli lub kiszonce. W drugim, odgrodzonym drutem kolczastym końcu szopy uwiło sobie gniazda kilka kur.

Thormodur Krakur rozsiadł się na skrzynce, sięgnął po sporych rozmiarów drewnianą kratę i położył ją sobie na kolanach. Wzdłuż kratki przez dziurki w

krańcowych deseczkach przeciągnięto w jednocentymetrowych odstępach sznurki. Po obu stronach siedziska stały drewniane beczki.

— Śniło mi się, że byłem na sianokosach na Langey i leżałem w namiocie — zaczął kościelny. — Zimno strasznie było, pogoda sroga, a mnie się zdawało, że nie mogę się rozgrzać, niezależnie od tego, jak zawzięcie machałem kosą.

Thormodur Krakur wyciągnął garść nieoczyszczonych piór z jednej z beczek i położył na kracie. Potem zaczął potrząsać pierzem i sznurkami, tak że zanieczyszczenia spadały na ziemię.

— I wtedy ujrzałem nadlatującego kruka — kontynuował. — Usiadł na moim namiocie, który rozbiłem nieopodal. Chciałem go przegnać, ale nie mogłem się ruszyć, bo nogi zrobiły mi się ciężkie jak ołów. I wtedy nadleciał drugi kruk i usiadł obok tamtego, i oba siedziały na namiocie, kiedy się przebudziłem. Ten sen przesładował mnie co noc w tygodniu wielkanocnym. Nazywam go snem langejskim.

Thormodur Krakur zamilkł, wrzucił wstępnie oczyszczone pierze do drugiej beczki i sięgnął po następną garść.

— No i jak odczytano ten sen? — zapytał Kjartan.

— Ten akurat każdy może odczytać. To są zgony, dwa zgony, tyle co kruków. Wyraźniejszy sen być nie może. Kruk na namiocie zawsze oznacza śmierć jakiegoś człowieka, czy to we śnie, czy na jawie.

— Czyli że jeszcze ktoś ma umrzeć? — zdziwił się Kjartan.

— Niekoniecznie. Na Wniebowstąpienie na Inneyjar zmarła staruszka. Może to o nią chodziło. Może nie. To się okaże.

Dla podkreślenia swoich słów Thormodur Krakur uniósł palec wskazujący.

— Wiele pańskich snów się spełniło? — spytał Kjartan.

— Tak, przyjacielu. Niektóre nawet znalazły się w annałach. Najślawniejsze to te o Sigridur, o zatoce Hjallavik, o żaglach i o baranich jądach. Ale są jeszcze inne, których na razie nie udało się odczytać, chociaż wielu próbowało. Sen o wyspie Stagley, o cielętach czy o Popielcu. A może pan spróbuje?

Kjartan wzruszył ramionami.

— Sen o cielętach był taki: zdaje mi się, że jestem koło kościoła i widzę trzy orły nadlatujące od strony Mulanes. Krążą nad cmentarzem i jeden z nich siada na nagrobku, a pozostałe dwa odlatują w stronę łądu. Orzeł, który usiadł, macha zawzięcie skrzydłami i widzę, że jest cały we krwi i z piór bryzga ona wokół. W końcu ptak opuszcza skrzydła i odwraca się w stronę przystani. A tam widzę dwumasztowy żaglowiec na cumach i przeganiane ulicą stado młodych byczków, a za nim kroczących ludzi w koronach i szatach królewskich. I tu się obudziłem. Jak pan myślisz, co to znaczy?

— Nie wiem. Nie umiem rozwiązywać zagadek — odparł Kjartan.

— Sny to nie zagadki. Tylko trzeba odpowiednio odczytać wskazówki. Sen o

cielętach zwiastuje wielkie wydarzenia, to jasne. Trzy orły zawsze zwiastują wielkie wydarzenia, ale krew nie zapowiada niczego dobrego.

Kjartan uśmiechnął się.

— A więcej znaczeń pan zna? — zapytał.

— Tak, tak, pełno. Łabędź oznacza bogactwo, biskup samo zło, kwiat latem szczęście, a zimą smutek, król sławę i uznanie. No i różnie to się może plątać.

— Tutejsi ludzie w to wierzą? — zaciekawiał się Kjartan.

— Oczywiście, że wierzy w to każdy, komu chce się myśleć. Myślisz pan, że Stwórca każe bestii ludzkiej śnić dla przyjemności? Nie, kochanieńki. To przekaz, który ludzie pomaluśku poznają. Wszystko ma swój cel. Nawet duszki i elfy w pagórkach służą jakiemuś celowi.

— Elfy? — Kjartan nie był w stanie uwierzyć własnym uszom.

— No. Nigdyś pan elfa nie widział?

— Nie.

— Jeszcze pan zobaczysz, przyjacielu. Tylko nie wiadomo, czy go pan rozpozna, jak go zobaczy.

— A po czym miałbym go rozpoznać?

— Miej czyste serce i nie wążp niepotrzebnie. Ludzie za dużo wążpią. Trzeba wierzyć w to, co zapisane w sagach islandzkich i w *Biblii*, i w to, co mówią starzy ludzie. Wtedy sny i marzenia się spełnią.

Thormodur Krakur skończył i dalej czyścił pierze. Wydawało się, że nagadał się już do woli, więc Kjartan pożegnał go i wyszedł z szopy na upragnione świeże powietrze.

W najbliższym domu młody człowiek malował ramy okienne zieloną farbą. Jasna grzywka spadała mu na oczy i Kjartan przez chwilę się zastanawiał, czy to elf. Pewno nie, pomyślał, kiedy chłopak odłożył pędzel i zapalił papierosa. Potem przypomniał sobie, że widział tego chłopaka poprzedniego dnia, jak przybija foczą skórę do ściany szopy. Dom obity był pomalowaną na biało blachą falistą, a dach miał zielony. Nad drzwiami widniała tabliczka z napisem „Radagerdi”, a pod spodem data 1927.

— Pan z policji? — zawołał chłopak do Kjartana.

— Nie, nie jestem policjantem — odparł Kjartan i podszedł bliżej.

— Nie? A mnie mówiono, że pan to glina z Patro.

— Nie. Jestem przedstawicielem prefekta.

— No a to nie jest coś w rodzaju gliny?

— Nie.

— Ale to pan prowadzi śledztwo, kto zabił tego faceta na wyspie?

— Tak... Nie, próbuję ustalić, kto to taki ten facet. Wążpię, żeby został zabity.

— Myślałem, że z pana prawdziwy gliniarz — oświadczył chłopak,

rozczarowany. Przez otwarte okno usiłował włączyć czerwony radioodbiornik tranzystorowy stojący na półce przy oknie.

— Słyszał pan Elvisa Presleya? — zapytał.

— Nie, nie powiedziałbym — odparł Kjartan.

— Bo też właściwie nigdy go w radiu nie grają. Ale czasem w nocy przy dobrych warunkach udaje mi się złapać jakąś zagraniczną stację. Często puszczają Elvisa. Nawet wyciągnąłem sobie antenę — chłopak pokazał palcem miedziany drut rozciągnięty między szczytem domu a szopą. Do zaczepów przytwierdzono szklane izolatory, a drut łączący odbiornik z anteną wychodził przez otwarte okno. — W „Falkinn” napisali też artykuł o Presleyu — dodał.

Znów skierował uwagę na odbiornik, ale mimo że mocno nim potrząsał, nie wydobył się zeń żaden dźwięk.

— Baterie do bani — wyjaśnił. — Może jesienią kupię sobie gramofon i kilka płyt.

— Mieszkaś tutaj? — zapytał Kjartan.

— Tak, ale zastanawiam się nad przeprowadzką do Reykjavíku... albo do Stykkisholmur.

— Jasne.

— Nauczę się prowadzić traktor i może zrobię prawo jazdy.

— Macie tu traktor na wyspie?

— Nie, jeszcze nie, ale gmina ma kupić. Ale i tak nie ma nikogo, kto by nim umiał kierować.

Kjartan wpadł na pomysł, żeby spróbować trochę powęszyc, więc spytał:

— Pamiętasz może, czy widziałeś tu turystę w zielonej kurtce i skórzanych butach traktorach w ciągu ostatnich miesięcy?

— To ten trup?

— Tak. Starszy człowiek, siwy. Pewno podróżujący samotnie.

Chłopak podrapał się po głowie i zdawał się intensywnie myśleć.

— Zimą ani na wiosnę tu go nie było. Bobym go widział. Może zeszłego lata. Wtedy było tu trochę turystów. Niektórzy z zagranicy.

— Z zagranicy?

— Tak. Oni potrafią cały dzień gapić się na maskonury. Czasem sprzedają im jeże morskie albo czaszki.

— Czaszki?

— Tak. Czaszki fok. Babcia niekiedy wędzi focze łby, a potem robi z nich zupę. A ja czekam, aż mięso z nich odpadnie, i suszę je przez kilka tygodni.

— Dobrze się to sprzedaje?

— Nie. Tylko kiedy faceci sobie popiją. Wtedy coś kupią.

— No to nie odciągaj cię od roboty — powiedział Kjartan. — A jak masz na imię?

— Benjamin Gudjonsson. Mówią mi Benni, ale wolę Ben, jak Ben Hur.

— No dobrze... Ben.

Kjartan się pożegnał i wrócił, skąd przyszedł. Kiedy znalazł się na placu, ponad budynkiem zobaczył zbliżającą się do brzegu łódkę wójta Grimura.

— ...Gospodarz Jon z Vididalstungi nakłonił dwóch księży, aby napisali księgę królewską, a byli nimi Jon Thordarson i Magnus Thorhallsson. Poza imionami nic na temat tych ludzi nie wiadomo, ale można się spodziewać, że byli wykształceni i wprawni w piśmie. Manuskrypt jest starannie wykończony, pismo solidne, ładnie wykaligrafowane. Litery początkowe są kolorowe, zdobione rycinami przedstawiającymi ludzi, zwierzęta, kwiaty lub ornamenty. To pewno Magnus wykonał te ozdoby czy inicjały, jak je nazywamy. To był ogrom pracy; można przypuszczać, że każda strona wymagała całodziennej dźbaniny. Może to z powodu tych ozdób Flateyjarbok zachowała się w tak dobrym stanie. Od początku uważana była za skarb ze względu na wygląd i wykończenie. Czytelnicy przewracali jej karty ostrożnie i z szacunkiem. Nie było niebezpieczeństwa, że zostanie wykorzystana do wyrobu zelówek czy łat na ubrania, jak to się stało w przypadku innych manuskryptów, w których powstanie nie włożono tyle pracy. Tak oto kunszt rzemieślnika zachował opowieść autora...

10

Kjartan z łądu obserwował poczynania Grimura i Högniego, po czym zszedł nad zatokę i ruszył wzdłuż brzegu, gdy oni wpłynęli w nieduże zakole pod czerwonym barakiem nieco na zachód od osady. Łódkę przywiązali do przybrzeżnego głazu, z dziobem skierowanym do góry.

Kiedy Kjartan podszedł do nich, wyjęli z niej właśnie młodą fokę i nieśli ją we dwóch na brzeg. Potem wnieśli jeszcze dwie. Cielska były ciężkie, więc mężczyznom dość trudno było stąpać po mokrych, porośniętych wodorostami kamieniach, które akurat zaczęła zalewać woda.

— Dają popalić maleństwa — rzucił Högni, kiedy położyli ostatnie zwierzę na ziemi.

— Ale są mniejsze, niż się spodziewałem — zauważył Kjartan.

— To tylko kilkutygodniowe młode — odparł Grimur. — Nie mogą być duże. Ale są dorodne, tłuste i urodziwe.

Högni wrócił na łódkę, aby przenieść ją na przystań, a Grimur zażył tabaki i wciągnął jedną fokę na drewniany stelaż.

— Prefekt chce, żebym dokładnie sprawdził, czy ktoś tego człowieka nie rozpozna — powiedział Kjartan. — I spodziewa się, że mi pan pomoże.

— Możemy odwiedzić parę domów po robocie — rzucił Grimur, ostrząc noże. — Ale nie ma co biegać po ludziach, zanim nie przeczytają naszego ogłoszenia.

Podniósł nóż i naciął skórę dookoła foczego łba. Na czarnym futrze natychmiast pojawił się czerwony kołnierz.

— Wydaje mi się, że wieczorem coś się wydarzy — powiedział Grimur, po czym naciął skórę wokół przednich płetw, a potem z tyłu, nad tylnymi płetwami i dookoła ogona. Te nacięcia nie krwawiły, ale widać było biały tłuszcz i krwiste mięso.

— Dlaczego pan tak sądzi? — zapytał Kjartan.

— Całą drogę od łęgowiska fok płynęły za nami dwa morświny. Moje doświadczenie dowodzi, że jak za rufą płyną wieloryby, coś się wydarzy.

Grimur jednym wprawnym ruchem rozciął futro wzdłuż brzucha od szyi po ogonek. Potem zaczął zdzierać skórę razem z cienką warstwą tłuszczu.

— Pan w coś takiego wierzy? — zdziwił się Kjartan.

Grimur nie odrywał wzroku od roboty. Uśmiechnął się tylko.

— Jest i więcej wskazówek — powiedział, kierując zakrwawiony nóż w stronę osady. — Widzi pan dom wielebnego po tamtej stronie zatoczki? Widziałem, jak mały Svenni wybiegł stamtąd i pobiegł ulicą w górę. Potem na chwilę zniknął mi z oczu, a teraz widzę, jak leci brzegiem, jakby gonił go sam diabeł. — Grimur wskazał małego chłopca biegnącego w ich stronę. — Wielebny Hannes przysłał go do mnie z wiadomością i kazał mu się pośpieszyć.

Grimur dalej zdzierał skórę z foki i nie podniósł wzroku, dopóki chłopiec nie stanął przy nich.

— Wójcie Grimurze, wójcie Grimurze — wystękał zdyszany i zziębnięty. — Wielebny Hannes musi koniecznie z panem rozmawiać.

— A dał ci cukierka, żebyś mnie przyprowadził? — zapytał Grimur.

— Tak. — Chłopak włożył rękę do kieszeni, wyjął landrynkę i włożył do ust.

— A ile ci ich dał?

— Trzy duże.

— No, to sprawa jest istotnie ważna. Cóż, pójdę się z nim przywitać, jak tylko skończę sprawiać skóry focząt.

— A może zaraz pójdziemy? — zaproponował Kjartan.

Grimur spojrzął na Kjartana i zastanowił się chwilę.

— Niech pan idzie — odpowiedział po chwili. — Ja przyjdę później. Myślę, że ta sprawa również pana dotyczy. I niech pan weźmie coś ode mnie.

— ...*Nie wiadomo, jak w średniowieczu sporządzano w Islandii inkaust. Młodsze źródła mówią o wytwarzaniu inkaustu z mącznicy lekarskiej, ziemi i drewna. Niewykluczone, że metoda ta była znana i w ten sposób powstały te rękopisy. Ale możliwe też, że inkaust sprowadzano, bo za granicą wyrabiano go z surowców niedostępnych na Islandii. Do pisania prawdopodobnie używano piór łabędzich. Lepsze były z lewego skrzydła, bo wtedy dopasowywały się do kształtu*

dłoni. Zanim zaczęto pisać, zaznaczano kolumny i linie za pomocą jakiegoś ostrza...

11

Wielebny Hannes stał przy oknie w salonie swojego domu i obserwował ruchy po drugiej stronie zatoczki. Chłopiec, którego wysłał z wiadomością, zniknął mu z oczu już jakiś czas temu, ale pastor nie miał żadnego dowodu, że wiadomość dotarła do odbiorcy.

— Może sam powinienem iść porozmawiać z Grimurem — zastanawiał się nerwowo w obecności małżonki, która siedziała w wygodnym fotelu za jego plecami i wyszywała biały obrus.

Alfridur oderwała wzrok od robótki, spojrzała na niego znad okularów i potrząsnęła zdecydowanie głową.

Wielebny przestępował z nogi na nogę.

— Uważam, że władza musi pilnie dostać te informacje — powiedział zmartwiony.

— Nie, nigdzie nie pójdziesz — uparła się pastorowa. — Nie ma takiej możliwości, żebyś brodził w błocie koło Grimurowego baraku — dodała.

— Jak nie pada, to na brzegu przy odpływie nie jest tak źle. Mogę włożyć moje stare gumowe ochraniacze — upierał się duchowny.

— A pamiętasz, jak się wtedy, w słotę, poślizgnąłeś i zniszczyłeś spodnie?

Wielebny Hannes pamiętał, więc zrezygnował. Zauważył też, że brzegiem po tamtej stronie zatoki sunie niosący ciężkie wiadro przedstawiciel prefekta, a za nim podąża mały Svenni.

— A oto i przedstawiciel prefekta. Mam nadzieję, że idzie do nas. Ale wójta nie widzę. Widocznie jest zajęty.

Alfridur kręciła głową, mamrocząc.

— Myślę, że najlepiej będzie, jak powiesz o tym przedstawicielowi prefekta. Jest ważniejszy. I też nie chciałabym przyjmować u nas w domu nieumytego Grimura. Nie przystoi, żeby urzędnik nosił się jak flejtuch, a on sobie na to pozwala.

Wielebny Hannes postanowił zostawić to bez komentarza. Jego żona urodziła się i wychowała w Reykjavíku i najwyraźniej nie mogła pogodzić się z tym, że na wyspie ciężko pracujący ludzie myli się dopiero wieczorem, kiedy już zabezpieczyli jedzenie dla swoich bliskich. Sam bardzo lubił tych dwóch towarzyszy: wójta Grimura i nauczyciela Högniego, i starał się jak najczęściej ich widywać. Zawsze mógł się spodziewać jakiejś ciekawej opowieści albo przyjemnej rozmowy. To jasne, że czasem roztaczali mało piękną woń po całym dniu pracy, ale na wsi to nie raziło. Wielebny został wychowany w Dalir, ale nigdy nie odważył się zdradzić małżonce, że po prostu lubi zapach obory.

— Tak, pewno masz rację — odezwał się w końcu. — Przedstawiciel prefekta zdaje się godnym zaufania i dobrze wykształconym człowiekiem. On na pewno będzie wiedział, co należy zrobić. To jest poważna sprawa.

Pastor wyszedł i czekał na gościa pod ścianą domu. Ten wreszcie się zjawił.

— Mam nadzieję, że przyszedł pan spotkać się ze mną — powitał go wielebny.

— Tak, przysłał mnie wójt. Poprosił, żebym przyniósł pańskiej małżonce kilka kawałków świeżego mięsa foki — powiedział Kjartan i podał duchownemu białe metalowe wiadro pełne surowego mięcha.

— Bogu niech za to będą dzięki. Błogosławiony ratunek, jaki Bóg i ocean niosą człowiekowi — wyrecytował wielebny Hannes i wziął od przybysza wiadro. Potem zaprosił Kjartana do pakamerki, w której zwykł przyjmować swoich parafian, a wiadro zostawił w maleńkiej spiżarce w sieni.

— Bardzo jestem zaszokowany, bardzo zaszokowany. — Wielebny Hannes nalał kawy z termosu do dwóch filiżanek przygotowanych wcześniej na biurku.

— Tak? — Kjartan wziął od niego filiżankę.

— No tak, byłem dziś w sklepie i zobaczyłem wasze oficjalne ogłoszenie. Poszedłem sprawdzić, czy ogłoszenie o niedzielnej mszy aby na pewno wisi na swoim miejscu.

— I? — zapytał Kjartan.

— Tak... Hmm. Wydaje mi się, że wiem, kim jest nieboszczyk.

— Tak?

— Tak, niech mnie dunder świśnie. To na pewno jest profesor Gaston Lund z Kopenhagi we własnej osobie.

— A dlaczego pan tak przypuszcza?

— To trochę dłuższa historia. Profesor przybył tu z Reykholar na początku września zeszłego roku, razem z sezonowymi robotnikami, którzy na lądowych wyżynach zbierali jagody. Przekazał mi pozdrowienia od wielebnego Veigara z Reykholar oraz poprosił o nocleg i wikt na dwie noce, co było oczywiście zrozumiałe. To był najwyraźniej człowiek z wyższych sfer.

Wielebny zdjął pokrywę z patery z ciastem i poczęstował Kjartana.

— Proszę. Owsiane racuchy z cukrem.

— To znaczy, że on był Duńczykiem, powiada wielebny? — Kjartan poczęstował się racuszkiem.

— Tak, jak najbardziej. Był profesorem Uniwersytetu Kopenhaskiego. Całe lato podróżował po historycznych miejscach związanych z *Flateyjarbok*, a dokładnie z *Sagą Olafa Haraldssona* i *Sagą Olafa Tryggvasona*, w Norwegii oczywiście. A potem przyjechał tu na krótki rekonesans, jak zrozumiałem. Najpierw odwiedził Skalholt, gdzie onegdaj pełnił posługę biskup Brynjolfur. Potem zawędrował na północ do Vididalstungi, gdzie w istocie napisano i złożono

manuskrypt. Później udał się do Reykholar, gdzie przez jakiś czas rękopis przechowywano, a wreszcie trafił na Flatey. Doskonale rozumiał, że nikt nie może tytułować się ekspertem w dziedzinie naszej księgi, jeśli nie odwiedził miejsca, od którego księga wzięła nazwę. Chciał też zmierzyć się z prastarą zagadką, *Aenigma Flateyensis*, ale do tego jeszcze dojdę. Stąd pojechał wprost do Reykjavíku, żeby zdążyć na samolot do Kopenhagi. Miał się stawić na jakimś bardzo ważnym spotkaniu związanym ze sprawą rękopisów, a zaraz potem oczywiście zacząć wykłady.

— To w jaki sposób znalazł się na Ketilsey? — zapytał Kjartan.

— Tego zupełnie nie rozumiem. Pożegnał się ze mną, kiedy miał przybyć statek pocztowy, i poszedł na nabrzeże wystarczająco wcześnie, aby zdążyć się nim zabrać.

— A skąd wielebnny wie, że to on?

— Powinienem był go rozpoznać po opisie ubrania, ale jak się człowiek spodziewa, że on przebywa w Kopenhadze, to mu nawet coś takiego do głowy nie przyjdzie. Ale to ten karteluszek z cytatem z *Flateyjarbok* mnie przekonał. Najprawdopodobniej to mój charakter pisma.

— Tak? — Kjartan wyjął kartkę z torebki, w której ją umieścił poprzedniego wieczoru, i podał pastorowi.

Wielebny wziął od niego karteczkę, obejrzał ją dokładnie i skinął głową.

— Zdarzało się, że i wcześniej przyjmowałem zagranicznych turystów, którzy wędrowali śladami naszej *Flateyjarbok* — powiedział. — Dlatego też starałem się dokładnie poznać historię manuskryptu i jednocześnie wyrobiłem sobie własną opinię o jego dziejach. Stawiano tezy, że to mieszkaniec Flatey Jon Finnsson słowami znajdującymi się na tej kartce przypisał sobie tytuł własności księgi, przede wszystkim po to, by pozbyć się wątpliwości co do prawa do dziedziczenia. Ja jednak uważam, że napisał to w manuskrypcie, ponieważ wypożyczył go kiedyś do Skalhólt, o wiele wcześniej niż ten trafił w ręce biskupa Brynjólfa. Jestem też przekonany, że Jon Finnsson chciał ponownie pożyczyć rękopis Brynjólfurowi podczas wizytacji, w przekonaniu, że wróci do niego, jak skończą przepisywać treść i badać księgę. W przeciwnym razie byłby własnoręcznie napisał, że oddaje egzemplarz, zaraz za tym oświadczeniem własności. Człowiek nie oddaje swoich skarbów, chyba że za pisemnym aktem darowizny. Tak było kiedyś i tak jest teraz. No i to wszystko objaśniłem profesorowi i napisałem mu ten tekst na kartce. Nie zgadzaliśmy się bowiem co do tego, czy Duńczycy powinni oddać nam naszą własność. On był temu bardzo przeciwny i zbierał materiał do artykułu wspierającego jego pogląd. Niemniej sędzę, że udało mi się go skłonić do wysłuchania moich racji. Uważam, że rękopis *Flateyjarbok* jest własnością spadkobierców Jona Finnssona albo narodu islandzkiego.

Kjartan z powątpiewaniem słuchał tego wykładu.

— Ale przecież z pewnością zaczęto by go poszukiwać w Kopenhadze. Dlaczego go nie szukano? — dziwił się.

— Tego właśnie nie rozumiem. Napomknął coś wprawdzie, że nie chce wzbudzać swoją podróżą żadnej sensacji, i unikał spotkań ze swoimi islandzkimi kolegami po fachu i znajomymi. Ten spór o prawo do rękopisów to dość delikatna sprawa, a on chciał się uchronić od oficjalnych dyskusji podczas pobytu w Islandii. Profesor Lund jest bowiem jednym z najbardziej nieprzejednanych przeciwników naszej sprawy. Możliwe więc, że nikt w Kopenhadze nie miał pojęcia, że on chce tu przyjechać. Jest samotny i podczas podróży nie kontaktował się z nikim w Danii.

— Znał islandzki? — zapytał Kjartan.

— Tak, tak. Rozumiał niezłe język mówiony, radził też sobie z czytaniem i pisanem. Mówił dość pokracznie, jak większość Duńczyków, ale w podróży doskonale dawał sobie radę.

— A co to za zagadka, o której wielebny raczył przed chwilą wspomnieć? — dociekał Kjartan.

— To tak zwana *Aenigma Flateyensis*. Coś na kształt krzyżówki. Towarzyszyła reprintowi *Flateyjarbok*, który trafił do nas w 1936 roku, w setną rocznicę powstania biblioteki. Karteczki wciąż leżą luzem między kartami księgi, bo zdecydowano, aby ich nie usuwać z biblioteki ani nie kopiować klucza do rozwiązania. Co jakiś czas zjawiają się tu goście próbujący ją rozwiązać. Tylko jak na razie nikomu się to nie udało. Kilka wskazówek jest dość niejasnych, a klucz zupełnie niezrozumiały.

— A dlaczego ten człowiek usiłował rozwiązać zagadkę?

Wielebny Hannes uśmiechnął się pod nosem.

— Profesor jest, czy też raczej był, członkiem akademii naukowej w Kopenhadze. Raz w tygodniu spotykają się w słynnym lokalu Det lille Apotek. Członków dzieli się na dwa rodzaje. Mający ewidentne osiągnięcia w naukach humanistycznych zasiadają na ławie pod ścianą, tak że widzą cały lokal. Pozostali siedzą w przejściu i zdarza się, że kelner obleje ich piwem. Profesor miał nadzieję rozwiązać zagadkę i trafić do pierwszej grupy.

— Udało mu się?

— Nie wiem. Nie chciał o tym rozmawiać. Zmieniał temat. Ale podejrzewam, że miał zamiar pochwalić się tym po powrocie do Kopenhagi. Trudno powiedzieć. Dał mi odpis swoich odpowiedzi, ale nie mam pojęcia, czy pasują do klucza.

Wielebny Hannes otworzył szufladę w biurku, wyjął z niej złożoną kartkę i podał Kjartanowi.

— Proszę bardzo. Uważam, że ta kartka powinna się znaleźć u pana.

Kjartan wziął kartkę i dobrze się jej przyjrzał. Zdania skreślono po duńsku i

islandzku pismem niełatwym do odczytania.

— Muszę zadzwonić do stolicy i zapytać, czy to mogą być zwłoki profesora — powiedział. — No i wielebny będzie musiał zajrzeć do skrzyni, żeby stwierdzić, czy to ta sama odzież, w której swego czasu go pan widział. Samego ciała nie da się rozpoznać.

Wielebny Hannes drżącą ręką podniósł filiżankę do ust.

— Tak, pewno będę musiał to zrobić — przytaknął.

— Ale czy to możliwe — kontynuował Kjartan — że wypadł za burtę statku pocztowego i dopłynął do Ketilsey?

— Uważam, że to nieprawdopodobne. Wyspa leży kawał drogi od szlaku żeglugowego.

— A prąd jest silny?

— Tak, bez wątplenia, ale nie znam się na tym. Musi pan zapytać rybaków.

— I kiedy od pana wyjechał?

— Czwartego września. Sprawdziłem w kalendarzu. Pamiętam, że tego samego wieczoru nadali w radiu wiadomość o rękopisach.

— Nie miał bagażu?

— Mały nesesor podręczny na kilkudniową wyprawę, przybory toaletowe, bieliznę na zmianę i tak dalej. Aparat fotograficzny i małą lornetkę. O ile pamiętam, powiedział, że walizkę zostawił w przechowalni w Reykjavíku.

Kjartan podniósł kartkę spoczywającą między nimi na biurku.

— Co znaczy to, co jest napisane na kartce? „*Folio 1005*”?

— To sygnatura *Flateyjarbok* w rejestrze Kopenhaskiej Biblioteki Królewskiej. Pamiętam, że Lund dopisał to na kartce, którą mu dałem, a potem schował ją do kieszeni.

Kjartan odwrócił kartkę.

— Wielebny wie może, co oznaczają te litery na odwrocie? — zapytał.

Pastor obejrzał kartkę.

— Nie. Napisał to, jak już go tu nie było. Ale przypomina to sekwencję liter będących kluczem do zagadki. Wiedział, że nie wolno przepisywać klucza. Po tym, jak dałem mu tę kartkę, na pewno nie poszedł do biblioteki.

Kjartan zanotował sobie: „Gaston Lund z Kopenhagi, czwarty września”.

— Pójdę na pocztę i zadzwonię do ambasady duńskiej — powiedział i wstał.

Wielebny Hannes odprowadził go do drzwi i pożegnał, a potem wrócił do salonu do żony.

— Sprawa jest w dobrych rękach — oznajmił. — Najbardziej się boję, że będę musiał spojrzeć na zwłoki w trumnie. Bardzo tego nie lubię.

Wyrzwał przez okno. Długo gdzieś patrzył, zanim powiedział:

— Pamiętam, jakby to było wczoraj, kiedy Lund nas opuszczał. Odprowadziłem go do drzwi i pożegnałem uściskiem dłoni. Obiecał, że do mnie

napisze. Miałem podejrzewać, że coś jest nie tak, skoro nie dostałem listu?

Pastorowa odłożyła robótkę.

— A ty do niego napisałeś? — spytała.

— Nie, po prawdzie nie napisałem. Spodziewałem się raczej dostać list od niego.

Kobieta zamyśliła się,

— A może jechał do nas z drugą wizytą, kiedy Bóg Wszechmogący go do siebie powołał?

Pastor potrząsnął głową.

— Nie wiem, ale ciągle go widzę, jak idzie w górę ulicy ze swoim małym neseserkiem. Wyszedł tak wcześnie, żeby zdążyć na statek, bo chciał jeszcze wstąpić do doktor Johanny po tabletki na chorobę morską. Bał się rejsu, bo pogoda robiła się coraz gorsza.

Patrzył w milczeniu przez okno, a potem powiedział cicho do siebie:

— Jak on, na Boga, znalazł się na Ketilsey?

— *...Liternictwo średniowieczne zwiemy liternictwem karolińskim i przyszło ono do nas z Norwegii i Anglii, ale z różnymi suplementami, aby zaspokoić potrzeby staronorweskiego. Nad długimi samogłoskami pojawiły się kreski, doszły nowe litery. Z angielskiego p i ð...*

...Pismo we Flateyjarbok nosi cechy indywidualne skrybów, czyli Jona i Magnusa. Jon w większości napisał pierwszą część, a Magnus drugą. Z charakteru pisma można wyczytać więcej. W czterech miejscach pierwszej części za pióro chwycił człowiek nieznanymi i raczej kiepsko piszący. Pewno działo się to wtedy, kiedy Jon ostrzył pióro, bo pismo Jona jest przeważnie cieńsze zaraz za pismem nieznanego niż przed. To nie był jakiś stajenny z Vididalstungi, który postanowił spróbować swoich sił w pisaniu. Ksiądz by na to nie pozwolił. Pewno był to ktoś, kto mógł się księdzu postawić, a może nawet sam Jon Hakonarson? Myślę, że to całkiem możliwe...

...Pismo Magnusa Thorhallssona i jego opisy we Flateyjarbok to jedna z piękniejszych rzeczy w średniowiecznych islandzkich manuskryptach. Można sądzić, że ten artysta był bardzo pożądanym skrybą i sporządził wiele rękopisów. Zabierając się za Flateyjarbok, miał już sporą praktykę. Jego kreskę i rękę widać tylko w kilku słowach w dwóch innych manuskryptach. Można przypuszczać, że wielkie dzieło życia zostało zmarnowane...

12

Kjartan zakończył wizytę na poczcie i udał się do wójta do baraku. Grimur siedział na drewnianej skrzynce, kolana osłonił jutowym workiem. Na worku położył foczą skórę i właśnie zdierał z niej ostrym nożem warstwę tłuszczu. U jego stóp stała wielka balia z zabarwioną na czerwono wodą z mydłem, a w środku

moczyła się druga skóra. Trzecia, świeżo oczyszczona z tłuszczu i umyta, została przybita do ściany baraku.

Högni dzielił na przybrzeżnych skałach mięso i wkładał je do beczek, ale co jakiś czas rzucał kawałek tłuszczu w stado mew, które zebrało się na brzegu. Zauważywszy, że przyszedł Kjartan, odłożył tasak i zbliżył się do niego.

— I jak brzmiało dziś pastorskie kazanie? — spytał podekscytowany. Usiadł na zardzewiałej taczce. Sięgnął po termos z kawą i pudełko z prowiantem.

Kjartan zaczął opowiadać o rozmowie z Hannesem, a Grimur słuchał, w milczeniu skrobiąc skórę.

— Nic dziwnego, że nasz wielebny ma boja, kiedy okazuje się, że jego gość nie wrócił do domu — zauważył Högni. — Oj, chłopina dzisiaj wieczór na pewno zmówi paciorek.

— Zadzwoń do ambasady duńskiej w Reykjavíku — kontynuował Kjartan — i od razu wiedzieli, że profesor Lund zniknął. Zimą pisały o tym duńskie gazety. Podobno szukano go przez wiele miesięcy w całej Norwegii, ale nikt, zdaje się, nie podejrzewał nawet, że wyjechał do Islandii. Duński *chargé d'affairs* ma się dowiedzieć więcej. Potem zadzwoniłem do prefekta w Patreksfjörður, a on polecił nam postarać się o kolejne informacje. Policja śledcza w Reykjavíku czuwa i w razie czego przejmie śledztwo, jeśli nasze dochodzenie utknie w martwym punkcie. Mają też zasięgnąć języka w sprawie pobytu Lunda w Reykjavíku.

Grimur zastanawiał się chwilę.

— Trzeba się skontaktować z chłopakami ze statku pocztowego. Może zapamiętali tego pasażera. Wielu pasażerów wtedy pewno nie mieli.

Kjartan skinął głową.

— A gospodarz z Domu na Skraju? Mówił pan, że zwykł notować, kto przyplywa i odpływa statkiem pocztowym. Myśli pan, że może nam pomóc?

— Racja — powiedział Grimur. — Po kawie pójdziemy do Valdiego.

— ...*W okresie, kiedy powstawała Flateyjarbók, zmianom ulegała wymowa w języku islandzkim. Ale księga spisana jest na podstawie różnych innych manuskryptów, starszych i młodszych. Ortografia jest więc mieszaniną starego i nowego, bardzo niespójną, jak to zresztą bywa we wszystkich islandzkich manuskryptach, albowiem skrybowie nie mieli ani reguł ortograficznych, ani słowników. Każda grupa skrybów szła własną drogą, chociaż na początku XIII wieku można zauważyć, że wpływ zaczynał wywierać pierwszy opis gramatyki powstały w połowie wieku XII. Ale każdy pisał, jak mu w duszy grało, i tak to było przez kolejne wieki...*

zyskała u władz w Reykjavíku status priorytetowy, gdy okazało się, że zmarły był najprawdopodobniej duńskim nauczycielem akademickim, człowiekiem bardzo szanowanym w swoim kraju. Wprawdzie policja śledcza zajęła się sprawą od razu, gdy tylko dotarła wieść o znalezisku, ale wstrzymano się z wszelkimi działaniami, dopóki szczątki nie zostaną zbadane i dopóki tam, na miejscu, ludzie nie zbiorą jak najwięcej informacji. Kiedy już zidentyfikowano nieboszczyka, należało wyznaczyć kogoś do prowadzenia śledztwa. Trzeba było wyjaśnić tę sprawę i napisać raport.

Dagbjartur Arnason nie był najzdolniejszym śledczym policji w Reykjavíku i sam doskonale o tym wiedział. Nie narzekał specjalnie, kiedy powierzano mu zadania, które innym zdawały się nudne i nieistotne. Zresztą takich spraw było mnóstwo. Za jego specjalność uważano drobne fałszerstwa czeków, kradzieże sklepowe i temu podobne wykroczenia współobywateli, i głównie takie śledztwa mu przydzielano. Dagbjartur uchodził za nieco leniwego i powolnego, ale umiał także być wytrwały i sumienny, co stanowiło zaletę, kiedy trzeba było uzyskać informacje trudno dostępne, wymagające cierpliwości. Te właściwości były bardzo przydatne podczas większych śledztw. Ale akurat ten funkcjonariusz nie bardzo potrafił patrzeć szerzej na sprawy. Dlatego przy tego rodzaju zadaniach bywał przeważnie wyłącznie pomocnikiem. Nie posiadał też umiejętności przesłuchiwania zatwardziałych przestępców.

Oficer dyżurny wezwał Dagbjartura po południu i polecił mu zapoznać się ze szczegółami pobytu Gastona Lunda w stolicy pod koniec sierpnia ubiegłego roku. Czy na przykład był gościem któregoś z hoteli? Czy znali go jacyś mieszkańcy miasta?

Dagbjartur był dość ociężały i zmęczony. Nie dlatego, że w ciągu ostatnich dni się przepracował czy coś. Po prostu zjadł na obiad za dużo zupy mięsnej. Spodziewał się też spokojnego dnia i chciał wypocząć przed weekendem. Miał pomagać żonie w pracach ogrodowych, chyba że nadarzy się zadanie niecierpiące zwłoki. A to oznaczało nadgodziny i grubszą kopertę przy wypłacie. Nie ma tego złego...

Dagbjartur był raczej niezbyt dobrze zbudowany: najwęższy w barach, a im niżej, tym szerszy. Wielki brzuch, szerokie biodra i ciężki tyłek czyniły go dość niezgrabnym. Miał też pewne kłopoty z doбором ubrań, więc prezentował się dość szczególnie. Spodnie zostały najwyraźniej poszerzone niedostatecznym nakładem materiału i pracy, a podtrzymywane były przez cienkie szelki. Twarz zdobiły dwa podbródki, za to przyjazne lico emanowało zrozumieniem.

Poza Dagbjarturem nad sprawą pracowali wójt z gminy Flatey i przedstawiciel prefekta. Ponieważ Dagbjartur nie był najzdolniejszym pracownikiem policji, w razie gdyby tamci dwaj nie dali sobie rady, mogła zajść potrzeba poszerzenia ekipy śledczej. Niestety, zbliżały się Zielone Świątki i

większość funkcjonariuszy wzięła wolne. Śmierć ta najpewniej miała jakieś naturalne przyczyny, które zapewne rychło zostaną wyjaśnione. Zresztą i mieszkańcy Flatey spisali się na medal, identyfikując zmarłego, choć nie od razu było wiadomo, kto to.

Dagbjarturowi nadzwyczaj szybko udało się wyjaśnić kilka niewiadomych. Wziął taksówkę, pojechał prosto do hotelu Borg i w recepcji poprosił o wgląd w księgę meldunkową z sierpnia i września poprzedniego roku. Powolny recepcjonista, mężczyzna w średnim wieku, wyjął wielką księgę dotyczącą roku 1959, położył ją przed policjantem i otworzył w stosownym miejscu. Dagbjartur zaczął poszukiwania na początku sierpnia. Sumiennie czytał każde nazwisko i zatrzymał się dopiero przy ostatnim gościu z dziesiątego września. Lektura nie przyniosła żadnych owoców. Gaston Lund nie meldował się w hotelu, ale Dagbjartur nie bardzo się tym przejął. Powinien jeszcze odwiedzić pozostałe hotele w mieście, a potem może nawet i domy gościnne. Jeśli szczęście by mu sprzyjało, zadanie zajęłoby mu sporo czasu.

— Ale... ten, no... przepraszam. Kogo pan szuka? — spytał recepcjonista, kiedy Dagbjartur zamykał księgę.

— Profesora Gastona Lunda, narodowość duńska.

Recepcjonista skinął głową.

— Tak, pan Lund mieszkał tu u nas w zeszłym roku — oznajmił.

— Jak to? Przecież jego nazwiska nie ma w księdze meldunkowej?

— Wolał zameldować się pod pseudonimem.

— I pan to pamięta, po tylu miesiącach? — zdziwił się Dagbjartur.

Recepcjonista uśmiechnął się i rzekł:

— Tak. Bo prawdę mówiąc, to było coś niezwykłego. Takie rzeczy zapamiętuję.

Odwrócił księgę i wprawnymi palcami przewracał karty.

— O, tu się profesor wpisał — powiedział i wskazał jedną z linii pod datą dwudziestego czwartego sierpnia.

Na początku widniało coś, co można było wziąć za litery *G* i *a*, ale zostały one dwukrotnie przekreślone, a dalej napisano drukowanymi literami „Egil Sturluson”.

— Sam mam na imię Egill, więc wzbudziło to moje szczególne zainteresowanie, gdy zobaczyłem w ten sposób napisane imię — wytłumaczył recepcjonista.

— Tak, rozumiem, że to imię mogło budzić ciekawość — przytaknął Dagbjartur i skinął głową. Wyciągnął swój notes i zapisał te informacje. — Nie opatrzył pan tego komentarzem? — skierował pytanie do recepcjonisty.

— Nie. Ten człowiek wzbudzał zaufanie, zgodził się uścić rachunek z góry, a do tego wpłacił kaucję. Nie widziałem więc powodu, żeby robić z tego aferę.

Wyraźnie było widać, że to Duńczyk i do tego lekki egocentryk. Jeśli nie chciał używać swojego prawdziwego nazwiska, to musiał mieć jakiś powód.

— A skąd pan wie, że naprawdę nazywał się Gaston Lund?

— Bo tak w restauracji podpisał rachunek za pokój. Najpewniej się zapomniał. I to ja potem wprowadzałem ten rachunek, więc to zapamiętałem. A poza tym przyszedł tu jakiś człowiek i pytał, czy to prawda, że gości u nas profesor Gaston Lund.

— I co pan odpowiedział?

— Powiedziałem, że nie mamy gościa o takim nazwisku.

— Dlaczego?

— Bo gościowi zależało, żeby zachować anonimowość, więc zwyczajna grzeczność ze strony hotelu wymagała, by nie komplikować mu życia bardziej niż to konieczne. Zresztą kiedy padło to pytanie, już się od nas wymeldował, więc odpowiedź była zgodna z prawdą.

— Kiedy się wymeldował?

Egill przeglądał księgę.

— Bawił u nas dwie noce i wyprowadził się dwudziestego szóstego sierpnia. Zostawił walizkę, którą mu odniosłem do przechowalni.

— Zgłosił się po tę walizkę?

— Spodziewam się. Ale nie na mojej zmianie.

— Gdzie była przechowywana?

— Mamy specjalną przechowalnię w piwnicy.

— Mogę tam zajrzeć?

— Tak. Zaraz pana zaprowadzę.

Egill zniknął za drzwiami w recepcji, po czym zaraz się zjawił w towarzystwie młodzieńca, który zajął jego miejsce za ladą.

— Proszę za mną — odezwał się do Dagbjartura.

Zeszli po schodach do ciemnego korytarza. Tam Egill otworzył drzwi do małego pomieszczenia i zapalił światło. Na regałach leżało sporo walizek.

— Dużo walizek przechowujecie — zauważył Dagbjartur.

— To głównie niezabrane rzeczy, które zostały po gościach. Zdarza się, że zapominają nawet walizki. Niektóre należą do gości, którzy uciekli, nie płacąc rachunku. Nie spodziewam się, że ktoś je kiedyś odbierze.

— A widzi pan tu walizkę duńskiego gościa?

— Nie bardzo pamiętam, jak wyglądała. Ale na pewno była elegancka. Gość był bardzo schludny. — Egill wziął się za oglądanie walizek, kilka zdjęł z regałó*w* i otworzył. Jedna z nich była sporo cięższa od pozostałych i oprócz ubrań zawierała skoroszyty.

Dagbjartur wyciągnął jeden ze skoroszytów i przejrzał go. Zawierał gęsto zapisane kartki, w języku duńskim, a z tyłu kilka widokówek z Norwegii. Na

ostatniej kartce natknął się na przyklejoną wizytówkę z napisem „G. Lund”.

— To pewno ta walizka — oznajmił policjant.

Recepcjonista nie mógł uwierzyć.

— To naprawdę dziwne — powiedział. — Spodziewałem się, że gość odebrał walizkę, tak jak się umówiliśmy.

— Teraz ja ją zabiorę — powiedział Dagbjartur. — A kim był ten, co o niego pytał?

— Nie wiem, jak się nazywa, ale jestem pewien, że widziałem jego zdjęcia w gazetach. Jest znany z jakiejś działalności.

Dagbjartur uśmiechnął się przyjaźnie.

— Mam nadzieję, że w najbliższych dniach nie ma pan zbyt dużo do roboty, bo będziemy przeglądać stare gazety.

— ...*Flateyjarbok została spisana na podstawie wielu źródeł czy pierwowzorów, nie mniej niż czterdziestu. Prawdopodobnie większość materiałów dostarczyła biblioteka klasztoru w Thingeyri, w końcu ksiąg przechowywano tam dość...*

...Uwagę uczonych zwrócił fakt, że księża, którzy napisali Flateyjarbok, nie byli szczególnymi miłośnikami poezji. Wiersze przepisali dosłownie z materiałów źródłowych, z obowiązku, ale w wielu miejscach z błędami, gdyż najwyraźniej poezji nie rozumieli...

14

Do Domu na Skraju wiodła wąska kręta ścieżka, więc szli gęsiego: najpierw Grimur, za nim Högni, na końcu Kjartan. Mały Nonni siedział na zboczu i widział, jak się zbliżają. Zerwał się na równe nogi i popędził do domu, gdzie zniknął za drzwiami. Dom składał się z trzech małych segmentów z torfowym dachem i drewnianym frontonem. Tylna część była prawie cała wkopana w zbocze. Ze stromego dachu środkowego segmentu sterczał komin, z którego wydobywał się czarny dym. Na północ od chałupy znajdował się ogródek, a wyżej ziemianka będąca prawdopodobnie spiżarnią. Na podwórku przed drzwiami walało się kilka drewnianych skrzynek z sadzeniakami, przewrócona do góry nogami taczka i zamknięta klapą wielka beczka z wodą.

W niskich drzwiach pojawił się Valdi. Musiał się schylić, by do nich wyjść.

— Witam, witam! — zawołał Grimur.

Valdi skinął w milczeniu głową, po czym nabił cybuch tytoniem. Zdrowym okiem uważnie przyglądał się Kjartanowi.

Grimur przedstawił Valdiemu sprawę, z jaką przyszli. Czy to możliwe, że zapisał, kto wypłynął statkiem pocztowym w sobotę czwartego września ubiegłego roku?

Valdi zastanowił się.

— A dlaczego pytasz? — zapytał po chwili.

— Wielebny Hannes sądzi, że zna człowieka, któregoście znaleźli na Ketilsey, i twierdzi, że właśnie tego dnia miał odpłynąć tym statkiem do Stykkisholmur.

Valdi wszedł na powrót do chałupy i szybko wrócił z niebieskim zeszytem w linie. Przewracał kartki i czytał w milczeniu.

— Nie, wójcie. Tego dnia nie zapisałem sobie, kto odpłynął.

— Dlaczego nie, Valdi? — Grimur był mocno zdumiony.

— W tej chwili tego nie pamiętam.

— A może dlatego, że nikt tym statkiem nie odpłynął? — zapytał Kjartan.

Valdi spojrzał na niego.

— Może.

— Możemy zobaczyć tę stronę? — zaproponował Grimur.

Valdi patrzył na nich po kolei, po czym wyciągnął zeszyt i pokazał kartkę. Była gęsto zapisana ołówkiem, a pod datą czwartego września napisane było: „Mżawka, zimny wiatr, temperatura 4 stopnie. Pasażerowie ze Stykkisholmur — Hakon i Filippia. Byli w Akranes po nowe szczęki. Syn Gudrun z Domu Pośrodku przyjechał w odwiedzinę”. Potem puste miejsce.

Nagle z wnętrza domu dobiegł ich krzyk. Przez drzwi przykuśtykał, trzymając się za usta, Jon Ferdinand.

— Aj, aj, aj — jęczał. — Oparzyłem się w usta.

— Co się stało, do diabła? — zapytał wystraszony Valdi.

— Chciałem tylko spróbować wywaru z mewek siodłatych — powiedział ponuro starzec.

— Czyś ty już całkiem zwariował? Wywaru ci się zachciało, jak wywar wrze? — warknął Valdi i zdjął wieko z beczki z wodą. Zaczepnął chochlą wody i podał staremu.

— Masz, napij się zimnej wody.

Jon Ferdinand siorbał wodę, a Valdi spojrzał na przybyszów.

— Muszę go pilnować jak jakiegoś niemowlaka — powiedział.

Grimur obejrzał wargi starego Jona.

— Będzie miał bąble — zauważył. — Może powinniście iść z nim do lekarza.

— Nic innego nie mógłbym robić, jakbym za każdym razem, jak się oparzy w gębę, musiał go ciągać po lekarzach — odparł wściekły Valdi.

— Mogę przez chwilę przejrzeć zeszyt? — spytał Kjartan.

Valdi spojrzał na niego.

— Po kiego?

— Wielebny twierdzi, że gość przybył z Reykholar drugiego września. Odnotowuje pan także, jak statek przybywa stamtąd?

— Nie. Nie da się śledzić wszystkich, którzy przyjeżdżają do nas albo wyjeżdżają. Statki w różnych miejscach przybijają do brzegu, a człowiek ma dość roboty. Ja śledzę tylko, jak pocztowy przy pływa w soboty. Odbieram od nich cumy, bo mam najbliżej do nabrzeża. I potem zacząłem sobie zapisywać, kto przyjeżdża, tak dla zabawy i żeby wiedzieć. Tylko że nikt nigdy wcześniej nie prosił mnie, żebym mu to pokazał.

Grimur westchnął.

— No cóż, Valdi. To by było tyle. Może spróbujesz sobie przypomnieć, dlaczego tego nie zapisałeś w swoim kajecie tamtego dnia, i dasz mi znać.

Trzej przybysze pożegnali się.

— *...Manuskrypty średniowieczne zachowały się w różnym stanie. W XIII i pierwszej połowie XIV wieku prawdopodobnie wiele rękopisów wywieziono na handel do Norwegii. Tam ich wartość zmalała, kiedy pod koniec XIV wieku język zaczął się szybko zmieniać. Już nikogo nie interesowały skórzane inkunabuły, których i tak nikt nie mógł czytać. Na Islandii natomiast to częste użytkowanie miało najgorszy wpływ na ich stan. Ludzie pożyczali sobie księgi i wyczytywali do cna. Robiono też kopie, więc nikt nie dbał o najstarsze egzemplarze. Reformacja też nie była zdrowa dla starych mnisich płodów...*

...Nie wiadomo, kto po Jonie Hakonarsonie z Vididalstungi został posiadaczem Flateyjarbok, ale w drugiej połowie XV wieku należała do Thorleifura Björnssona, królewskiego namiestnika w Reykholar. Potem jej właścicielem został jego wnuk Jon Björnsson z Flatey, a on podarował księgę swojemu wnukowi Jonowi Finnssonowi, który także mieszkał na Flatey, i to z ich miejscem zamieszkania kojarzona jest księga...

...W XVI wieku w Europie budziły się świadomości narodowe. Kładziono nacisk na jedność i wzmocnienie władzy królewskiej. Ludzie zaczęli się interesować historią swoich narodów, a w krajach nordyckich świątli ludzie wiedzieli, że źródła można znaleźć na Islandii. W XVII i XVIII wieku król Danii wysłał do Islandii poszukiwaczy manuskryptów, wśród których najaktywniejszym był Arni Magnusson. Ale byli też inni. W sagach biskupich czytamy o gospodarzu Jonie z Flatey, który miał posiadać wielką i grubą księgę pergaminową ze starymi zapiskami mnichów, zawierającą sagi królów Norwegii i wiele innych, i już wtedy powszechnie nazywano ją Flateyjarbok...

15

Po wizycie w Domu na Skraju Kjartan i Grimur udali się na pocztę i zaczęli wydzwaniać. Przez radio Gufunes udało im się nawiązać kontakt ze statkiem pocztowym, który akurat znajdował się w zatoce Faxafloi i płynął do Stykkisholmur z ładunkiem cementu z Akranes. Członkowie załogi nie byli w stanie im pomóc w sprawie cudzoziemskiego pasażera. Całkiem możliwe, że

znalazł się na pokładzie, ale oni po prostu nikogo takiego nie pamiętali. Jeśli ktoś mógł go zapamiętać, to kuk, który najwięcej kontaktował się z pasażerami. Ale w tych tygodniach w zeszłym roku akurat przebywał na urlopie. W tym czasie zastępowała go młoda dziewczyna, absolwentka szkoły gospodyń. Teraz, według członków załogi, wyszła za mąż na Vestmannaeyjar.

Wielebny Veigar z Reykholar dobrze pamiętał Gastona Lunda, ale więcej nie miał z nim kontaktu i specjalnie się tego nie spodziewał. Duńczyk spędził w Reykholar tylko jedną noc. Kierownik hotelu w Stykkisholmur zapewnił, że Lund nie nocował u niego w noc po przybyciu statku z Flatey. Autokar do Reykjavíku odjeżdżał następnego ranka, więc jeśli w ogóle przyplłynął tym statkiem, musiał przemocować gdzie indziej w miasteczku.

Kierowcę autokaru ze Stykkisholmur zastali w jego mieszkaniu w Reykjavíku.

— Ja nie pamiętam nawet, kto wczoraj ze mną jechał — odpowiedział, kiedy Grimur spytał go, czy pamięta duńskiego pasażera, który miał podróżować autokarem czwartego września poprzedniego roku.

Wreszcie dotarły wieści od policji śledczej w Reykjavíku. Po przyjeździe do Islandii Gaston Lund spędził dwie noce w hotelu Borg i kazał przechować swoją walizkę, gdy wyruszył w podróż po kraju. Walizka wylądowała w hotelowej piwnicy i o niej zapomniano. Dlatego nikt się nie dziwił, kiedy jej nie odebrano.

Kjartan i Grimur siedzieli na poczcie do kolacji i prowadzili swoje śledztwo. Kierowniczką Stina i jej kolega z Stykkisholmur zostali długo po godzinach i w napięciu przysłuchiwali się rozmowom.

Kolejne informacje nadeszły z ambasady duńskiej. Gaston Lund wyjechał z Kopenhagi do Norwegii w połowie lipca. Był samotny, nieco egocentryczny w zachowaniu i chodził własnymi drogami. Jego koledzy z kopenhaskiego uniwersytetu wiedzieli, że ma zamiar odwiedzić Bergen, Trondheim i Stiklestad w Norwegii, ale nigdy nie wspominał o wyjeździe do Islandii. Wszczęto poszukiwania, kiedy nie stawiał się, aby wygłosić referat na konferencji poświęconej manuskryptom, i nie podjął pracy wykładowcy na uczelni. W Norwegii szukano go na szeroką skalę. Na początku września doszło do katastrofy promu pod Bergen i wszyscy pogodzili się z myślą, że profesor znalazł się wśród zaginionych. Dlatego w Kopenhadze bardzo się zdziwiono, że profesora znaleziono martwego na bezludnej wyspie u wybrzeży Islandii.

Wieczne wiadomości państwowej rozgłośni radiowej podały obszerną informację o sprawie — zacytowano nawet prefekta z Patreksfjördur, który zapewnił, że śledztwo trwa.

— ...*W roku 1647 biskup Brynjolfur wizytował Fiordy Zachodnie i w dwunastą niedzielę po Świętej Trójcy, przypadającą piętnastego września, wygłosił kazanie w kościele na Flatey. Brynjolfur usiłował kupić Flateyjarbok, najpierw*

oferując za nią pieniądze, potem ziemię, ale nic z tego nie wyszło. Ale kiedy potem Jon Finnsson odprowadzał biskupa na statek, podarował mu księgę. Można się spodziewać, że biskup chciał ją wydrukować z łacińskimi komentarzami dla uczonych. Ale nie udało się uzyskać królewskiego zezwolenia na otwarcie drukarni w Skalholt, bo wyłączne prawo do drukowania na Islandii miał biskup w Holar...

...Fryderyk III, król Danii, panował w latach 1648 – 1670. Bardzo interesowały go dawne nauki i w 1656 roku napisał do biskupa Brynjolfura, by wysyłał stąd te antiquitates, sagi i stare dokumenta, które zdobyć się uda Majestatowi dla użytku a przypodobania i aby rozbudować jego królewskie bibliothecam. Ogłosił biskup listownie to zarządzenie królewskie podczas stanowienia praw na Althingu i jeszcze tego samego roku wysłał Flateyjarbok za granicę, i od tego czasu pozostaje ona w bibliotece króla. Fryderyk III otrzymał Flateyjarbok jako król Islandii i dlatego należy postrzegać ją jako własność narodu islandzkiego. I tak się teraz argumentuje, kiedy Islandczycy życzą sobie powrotu księgi do Islandii. I tu się kończy historia Flateyjarbok.

16

Kiedy Grimur i Kjartan udali się na pocztę, Högni wrócił do sprawiania młodych fok. Wszystkie skóry zostały rozciągnięte na ścianie baraku, ale zostało jeszcze sporo mięsa do podziału, a tłuszcz trzeba było stopić.

Wzdłuż brzegu szedł z powyginaną kanką na mleko mały Nonni z Domu na Skraju. Nieśmiało pozdrowił nauczyciela.

— Nonni, przeczytałeś już książkę o Indianach, którą ci pożyczyłem? — zapytał belfer.

— Tak, dwa razy.

— Dwa razy? Po co? Możemy razem iść do biblioteki i zobaczyć, czy nie znajdziemy jakiejś fajnej książki, której jeszcze nie czytałeś.

— Teraz czytam *Latającego Holendra*. Tata ją pożyczył.

— To nie jest piękna książka.

— Wiem. Straszna. O duchach.

— Tak. Przerazająca. Nie pożyczalbym jej młodym chłopcom.

— Ja ją czytam tylko w dzień, a w nocy trzymam w ziemiance. Wtedy nie bardzo się boję.

— No tak. Posadziliście już kartofle?

— Tak, prawie wszystkie.

— Jakieś młode foki tej wiosny już wam się trafiły?

— Nie, żadne. Tata z dziadkiem popłynęli rano na Ketilsey sprawdzić sieci, ale nic nie było. Tata mówi, że to moja wina.

— Dlaczego twoja?

— Zrobiłem kupę na wyspie i teraz foki czują zapach, mówi tata. Ale ja

uważam, że to raczej wina tego nieboszczyka. On śmierdział o wiele bardziej.

Högni znalazł stare wiadro i włożył do niego kilka kawałków foczego mięsa.

— Masz, chłopcze. Zanieś to do domu do taty. A jutro oddaj mi wiadro. Przy okazji pójdziemy do biblioteki i znajdziemy coś fajnego. Pamiętaj, książka to twój najlepszy przyjaciel — powiedział z uśmiechem.

Nonni wziął od niego wiadro. Potem w skupieniu ruszył do domu, nie pożegnawszy się i nie podziękowawszy.

— *Może mi pani pomóc zrozumieć pytania i odpowiedzi zagadki flatejskiej?*
— *zapytał.*

— *Mogę spróbować* — *odpowiedziała.*

Potem przeczytała wszystkie pytania, jedno po drugim, spoglądała na odpowiedź, którą miała zapisaną na kartce, i wprawnymi palcami szukała odpowiedniego fragmentu w kopii Munksgaarda. Palcem przesuwała po tekście, czasem przeczytała głośno kilka linijek, ale zazwyczaj opowiadała tylko własnymi słowami, o co w danym fragmencie chodzi. On w milczeniu kiwał głową, jeśli odpowiedzi się zgadzały, a jeśli nie, czytał drugą wersję odpowiedzi. Tak przebrnęli przez wszystkie czterdzieści pytań, jedno po drugim.

W nocy wschodni wiatr zelżał i kiedy zaświtało, nad Breidafjörður pojawiło się słońce i delikatna bryza. Sundy między wysepkami były gładkie jak lustro, głęboko granatowe i tylko tam, gdzie przyływy i odpływy tworzyły silne prądy w wąskich przesmykach między wysepkami a mieliznami, marszczyła się tafla wody.

Kjartan wyrzał przez okno i przypomniało mu się przysłowie, że słońce na zewnątrz słabo służy tym, którzy nie mają słońca w duszy. Wziął kilka głębszych oddechów, po czym zaczął się ubierać.

Grimur i Högni już dawno wypłynęli sprawdzić zastawione sieci na foki, kiedy Kjartan w końcu zwłókł się na dół. Ingibjörg mieszała w kuchni ciasto, słuchając radiowego szlagieru. Lewym ramieniem obejmowała wielką misę z żółtą masą, prawą zaś, wyposażoną w wielką kopyść, mieszała. Przy tej robocie trochę mąki wysypało się na kuchenny stół. Kjartan zauważył, że jajka, których używa do wypieków, są wielkie i czarno nakrapiane.

— To mewie jajka zebrane tej wiosny — stwierdziła, kiedy podniósł jedno z nich, żeby się przyjrzeć. — Nie oszczędzam ich w kuchni. O tej porze roku mamy ich tu w bród i do wypieków całkiem dobrze się nadają, chociaż w niektórych zaczął się już zawiązywać zarodek — dodała.

Kjartan wypił kawę i zjadł sznytkę z baranim pasztetem. Czuł się coraz lepiej. Przyzwyczał się już do gościny u wójtostwa, ale wciąż jeszcze ciążyła mu troska o śledztwo. Udało mu się na chwilę o tym zapomnieć, gdy zapatrzył się przez kuchenne okno na dwie pliszki skaczące między kamieniami na brzegu. Nawet zagwizdał fragment melodii płynącej z radioodbiornika.

Ingibjörg krzątała się w kuchni. Nie zagadywała go. I był z tego zadowolony. Dobrze się czuł, siedząc tak z własnymi myślami. Obawiał się, że jeśli zaczną gawędzić, rozmowa szybko zejdzie na jego życie prywatne, a tego pragnął uniknąć. Nie chciał kłamać, więc najlepiej było milczeć.

Ale przecież miał robotę do wykonania. Miał zamiar spotkać się z tymi mieszkańcami wyspy, którzy posiadają motorówki na tyle solidne, by we wrześniu wybrać się w rejs na Ketilsey, i teraz zapytał o nich gospodynię. Odpowiedziała mu, że takich jest zaledwie pięciu, a właściwie trzech, jeśli odliczyć Valdiego z Domu na Skraju i samego wójta Grimura.

Pozostałych Ingibjörg wymieniła, wbijając jajka do ciasta.

— Właściciel sklepu Asmundur posiada Falę, piękną białą łódkę z silnikiem zaburtowym, mój brat Gudjon w Radagerdi ma Ellidiego, sześciotonowy kuter z niedużą sterówką, a gospodarz Sigurbjörn ze Svalbardi jest właścicielem Żywego Srebra, staroświeckiej zielonej motorówki. To wszystko przyzwoici ludzie,

rozważni, prawdomówni i uczciwi.

Kjartan aż podskoczył. Żywe Srebro to nazwa łodzi. Że też mu wcześniej do głowy nie przyszło. Rzecz jasna niekoniecznie musi to mieć związek z wiadomością, jaką zostawił nieboszczyk z Ketilsey, ale powinien o tym pamiętać, prowadząc śledztwo.

Kjartan znał drogę do Radagerdi, ale zastał tam tylko Benniego, który nadal malował okna. Chłopak najwyraźniej ucieszył się z odwiedzin, odłożył pędzel i zapalił papierosa.

— Mama i siostra, Rosa, poszły do obory krowy doić, a tata jest u Sigurbjörna w Svalbardi. Strzyże go przed jutrzejszą mszą — odpowiedział na pytanie Kjartana o domowników.

— Strzyże? — Kjartan nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

— Tak, tata zna się trochę na stryżeniu włosów. Tylko że zawsze strzyże cholernie krótko i potem człowiek się wkurza, że nie ma włosów, takie kiepskie to jego stryżenie. Dlatego nie chcę, żeby mnie strzygł. Czasem przyjeżdża tu statkiem pocztowym fryzjer ze Stykkisholmur i strzyże ludzi, jak statek płynie do Brjanslaekur. On jest o wiele lepszy. Umie strzyc po męsku. A brylantynę można kupić u Asmundura w sklepie.

Benni włożył papierosa do ust, wyciągnął grzebień z tylnej kieszeni i odgarnął nim grzywkę z czoła.

— Tak się czesze Elvis — wyjaśnił, a wtedy papieros wypadł mu spod warg.

Kjartan pożegnał go i ruszył w stronę Svalbardi, a Benni zaczął szukać niedopałka w ciągnącej się wzdłuż ściany domu rabarbarowej rabacie.

Szczęśliwie więc Kjartan spotkał gospodarzy Sigurbjörna i Gudjona za jednym zamachem. Sigurbjörn siedział na stołku przed drzwiami domu, ze starym prześcieradłem na ramionach zawiązanym wokół szyi. Gudjon stał obok niego i ścinał mu włosy. Poza nimi na podwórzu znajdowały się dwie kobiety, pewno matka i córka. Prały pościel w wielkiej balii. Młodsza z nich, urodziwa dziewczyna piętnasto-, może szesnastoletnia, z zaciekawieniem przyglądała się Kjartanowi, ale gdy ten spojrzał na nią, zawstydzona odwróciła wzrok.

Gudjon z Radagerdi był mężczyzną schludnym, koło pięćdziesiątki, świeżo ogolonym, z ciemnymi włosami dokładnie zaczesanymi do tyłu na pomadę. Miał na sobie uprasowane w kant spodnie koloru popielatego i kraciastą bawełnianą koszulę, a wokół szyi czerwoną apaszkę. Sigurbjörn natomiast zdawał się nieco starszy. Miał zmierzwioną siwą czuprynę po tej stronie głowy, której Gudjon jeszcze nie zdążył ostrzyc. Policzek po drugiej stronie był gładko wygolony, skóra szarawa. Spod prześcieradła wystawały stopy odziane w wełniane skarpety i gumowe ochraniacze.

Kjartanowi te postrzyżyny przypominały bardziej stryżenie owiec niż

człowieka. Przycinanie szło wolno również dlatego, że Sigurbjörn miał bardzo wrażliwą skórę głowy i wzdrygał się przy każdym dotknięciu nożyczek.

Kjartan przedstawił się i wszyscy go powitali.

— Piękna pogoda — powiedział przybysz, żeby cokolwiek powiedzieć.

— Tak — odparł Sigurbjörn. — Tak to wygląda od początku wiosny. Myślę, że czegoś takiego nie pamiętają nawet najstarsze kobity. Rybitwy nigdy chyba tak wcześniej nie zaczęły się nieść, myślę. Zdaje się, że to się skończy czymś strasznym. Aj, aj, Gutti, uważaj na te moje kołtuny.

— To myślicie, że się pogorszy? — zapytał Kjartan. Podniósł wzrok, lecz nie zobaczył ani jednej chmurki. Kontynuował więc: — Ale... ten... Pewnie wiecie, w jakim celu znalazłem się tutaj. Prawda? Mogę wam zadać kilka pytań?

Gudjon przestał zajmować się strzyżeniem i wyprostował się.

— Tak, to chyba oczywiste — odparł zaciekawiony.

— Wyjaśniło się, że nieboszczyk znaleziony na Ketilsey to Duńczyk, który w zeszłym roku gościł tu u wielebnego. Profesor Gaston Lund — wyjaśnił Kjartan.

— Tak, tego dowiedzieliśmy się jeszcze wczoraj — powiedział Gudjon.

— Pamiętacie tego człowieka?

Gudjon potrząsnął głową, a Sigurbjörn skinął i rzekł:

— Tak, tak, tak myślę. Doskonale go pamiętam. Trochę się nawet z nim posprzeczałem.

— O? — zainteresował się Kjartan.

— Tak, to znaczy na ile się dało. Próbował mówić po islandzku, biedaczek, ale nie za bardzo można go było rozumieć.

— Ale chyba potrafił przekazać, o co mu chodzi?

— Znał trochę staroislandzki i takie tam. Nauczył się go z manuskryptów, powiedział. A poza tym ćwiczył się trochę we współczesnym, rozmawiając z islandzkimi studentami w piwiarniach w Kopenhadze. Oczywiście nauczyli go przeklinać i świntuszyć.

— Dużo przeklinał? — zapytał Kjartan.

— Nie, nie — uśmiechnął się Sigurbjörn.

— A o co się spieraliście?

— Spytałem go, kiedy ma zamiar oddać *Flateyjarbok*, a on odpowiedział, że jej miejsce jest dalej w Kopenhadze. Bo tam są najlepsi uczeni, powiedział. No to spróbowałem go trochę przeegzaminować z *Sagi Sverrira*, ale niewiele znał odpowiedzi. Potem próbowaliśmy jeszcze na ten temat dyskutować, ale prawdę mówiąc, myślę, że jeden drugiego nie rozumiał.

Sigurbjörn uśmiechnął się na to wspomnienie, ale potem spoważniał i rzekł:

— To oczywiście okropne, że tak skończył na Ketilsey.

Gudjon przyznał mu rację, kiwając głową.

— Gdzie się spotkaliście? — spytał Kjartan.

— W bibliotece. Hallbjörg z Domu Pośrodku wpuściła go, żeby obejrzał nasze wydanie Munksgaarda. Bardzo mu się spodobało, jak księga się prezentuje w szklanej gablocie. Oryginalny rękopis chyba jest przechowywany w gorszych warunkach, myślę. Nawet zrobił kilka zdjęć. A potem chciał spróbować swoich sił, rozwiązując starą zagadkę. I to wtedy zapytałem go, czy nie mają zamiaru oddać naszego manuskryptu, ale on nawet słyszeć o tym nie chciał.

— Wiemy, że nieboszczyk wyszedł od wielebnego czwartego września z zamiarem udania się na pokładzie statku pocztowego do Stykkisholmur — skomentował Kjartan. — Nie wiemy, czy pojawił się na pokładzie. Jeśli nie, to czy istnieje możliwość, że zabrał się z wyspy jakąś inną łodzią? Czy możliwe, żeby wypłynął stąd łodzią któregoś z was?

Gudjon i Sigurbjörn spojrzeli jeden na drugiego, po czym obaj pokręcili głowami.

— Na początku września mało wypływamy, chyba że po przegniłe siano — powiedział Sigurbjörn. — Później płyniemy kilka razy na ląd, żeby ściągnąć zwierzynę z pastwisk. Do Stykkisholmur, ani w ogóle na południe, o tej porze roku nigdy nie płyniemy. Każdy, kto ma potrzebę, płynie statkiem pocztowym.

Kjartan nie poddawał się.

— Czy to możliwe, żeby ktoś go przeprowił łódką któregoś z was bez waszej wiedzy? — zapytał.

Gudjon odpowiedział mu pytaniem.

— Znaczą, że niby ktoś pożyczył sobie naszą łódkę?

— Tak.

— To by się tutaj zdarzyło pierwszy raz.

— Ale czy mogło? Wszystko kiedyś jest pierwszy raz.

Gudjon i Sigurbjörn znów spojrzeli na siebie i znów pokręcili głowami.

— Nie — odpowiedzieli zgodnym chórem, a Sigurbjörn dodał:

— Myślę, że od razu bym zauważył, gdyby ktoś inny niż ja postawił łódkę na lądzie.

Gudjon przytaknął skinieniem głowy.

— A jesteście w stanie wyobrazić sobie, w jaki sposób nieboszczyk mógł się znaleźć na Ketilsey?

— Jestem pewien, że nie wypadł za burtę statku pocztowego po drodze do Stykkisholmur — odparł Gudjon. — Załoga na pewno by zauważyła, gdyby pasażer, który wsiadł na Flatey, nie zszedł na ląd w Stykkisholmur. Zwłaszcza we wrześniu, kiedy zabierają niewielu pasażerów. To bystrzy i sumienni chłopcy.

Kjartan zastanawiał się, czy powiedzieć, że Duńczyk utworzył z małych kamyków na Ketilsey napis mający najprawdopodobniej brzmieć Żywe Srebro, lecz tego nie uczynił. Nie wiedział, czy ma to jakiś związek z łodzią Sigurbjörna, ani nie miał pomysłu, jak o tym zakomunikować. Uważał, że w tej sytuacji żaden z

gospodarzy nie jest już w stanie mu pomóc. Pożegnał się i wrócił do osady. Kiedy się odwrócił, zauważył, że obaj są pochłonięci dyskusją. Wydawało się, że zapomnieli o postrzyżynach.

— *Pierwsze pytanie — przeczytała. — Lecz nie mogli powstrzymać. Siódma litera. W tej samej chwili wyłowili zwłoki, a król Sverrir ogłosił, że to ciało króla Magnusa. Położyli ciało na tarczy, zanieśli na łódź i popłynęli ku lądowi. Łatwo było je rozpoznać, albowiem jeszcze jego lico się nie zmieniło, twarz wciąż miał rumianą i jeszcze nie stężał. I zanim królewskie zwłoki owinięto w sukno, kazał król przyjść ludziom, którzy byli przy boku króla Magnusa, i poprosił, aby nieboszczyka rozpoznali. Podeszli do ciała i prawie żaden z nich lecz nie mógł powstrzymać. Podchodzili do ciała i wspominali. Odpowiedź brzmi „ludzie Magnusa”, a siódma litera to M...*

18

Śledczy Dagbjartur siedział w bibliotece narodowej z Egillem, recepcjonistą z hotelu Borg, który przeglądał gazety z ostatnich miesięcy. Miał zidentyfikować człowieka, który ostatniej jesieni wypytywał o profesora Lunda. Recepcjonista był przekonany, że widział go na zdjęciach w gazetach, a teraz miał wertować czasopisma, dopóki go nie znajdzie. Siedzieli tam już drugi dzień i nie posuwali się naprzód. Egill dokładnie oglądał wszystkie przedstawiające ludzi zdjęcia, a czasem, kiedy go coś zainteresowało, przeglądał artykuł. A Dagbjartur siedział cierpliwie, ziewał i czyścił paznokcie. Oto miał jasne i wyraźnie określone zadanie, które w najlepszym wypadku mogło potrwać jeszcze dzień lub dwa. W tym czasie nie musiał się zajmować drobnymi przestępcami i raportami. Do dzienników wysłano tego ranka ogłoszenie, w którym policja prosiła, by pytający o profesora się ujawnił. Brzmiało tak: „Mężczyzna, który pod koniec sierpnia ubiegłego roku pojawił się w hotelu Borg i pytał o Gastona Lunda z Danii, proszony jest o kontakt z policją śledczą w Reykjavíku”. Miało się ono jednak ukazać najwcześniej dopiero w następną środę. Zbliżały się Zielone Świątki, a wtedy gazety nie wychodzą.

Na stole przed nimi leżały wielkie grube skoroszyty z gazetami. Dagbjartur dbał tylko o to, by uzupełniać stos, kiedy ten zaczynał się kurczyć. Była to spokojna praca w piękny czerwcowy dzień i dawała powód, by czuć się komfortowo. Tej soboty w bibliotece panował spokój i jedynie niewielka grupka stałych gości robiła swoje. Co rusz rozlegało się zduszone kasznięcie, odgłos smarkania, jakiś szept czy skrzypienie krzesła. Poza tym panowała grobowa cisza.

Dagbjartur drzemał na swoim krześle, kiedy recepcjonista nagle oznajmił:

— Mam go!

Policjant ocknął się.

— Jest pan pewien? — spytał, rozczarowany.

— Tak — odparł Egill. — Absolutnie.

Dagbjartur spojrział na gazetę. Zdjęcie przedstawiało dobrotliwego siwego człowieka, a podpis pod fotografią głosił: „Fridrik Einarsson”. Tytuł artykułu brzmiał „Strategia walki w *Sadze mieszkańców Orkadów*”.

Śledczy spojrział na zegarek. Zostało jeszcze wystarczająco dużo czasu, aby tego samego dnia odnaleźć Einarssona i z nim porozmawiać. Tego nie da się uniknąć. Dagbjartur westchnął ciężko.

— *Drugie pytanie. Najokrutniejsza z kobiet. Szósta litera. W Thatturze o Grenlandczykach czytamy o Freydisie, córce Eryka Rudego, która umówiła się z braćmi Helgim i Finnbogim, że razem popłyną do Vinlandii. A kiedy tam dotarli, doprowadziła Freydisa do konfliktu z braćmi i w końcu nakłoniła swoich ludzi, aby napadli na tamtych w domu i pozabijali. Kiedy już wszyscy mężczyźni zostali zabici, zostało pięć kobiet, których nikt nie chciał mordować. Wówczas Freydisa wzięła topór do ręki, zamachnęła się po kolei na kobiety i wszystkie je uśmierciła. Odpowiedź brzmi „Freydisa”, a szósta litera to I.*

— *Tutaj jest napisane inne imię, Sigrida Tostadottir* — stwierdził.

Przewertowała karty książki.

— *To też możliwe* — powiedziała. — *Król Harald Grenski zjawił się w mieście królowej Sigridy Tostadottir. Jeszcze tego samego wieczoru przyjechało tam sześciu innych królów i wszyscy poprosili ją o rękę. Władców zakwaterowano w starym pałacu. Nie brakowało tam trunków tak mocnych, że wszyscy się popili, a strażę posnęły. W nocy Sigrida kazała napaść na nich z ogniem i bronią. Spalił się i pałac, i znajdujący się w nim królowie, i ich ludzie. Potem Sigrida kazała przyprowadzić do siebie pomniejszych władców z innych krajów, aby prosili o jej rękę. W takim razie litera to D.*

19

Sklep znajdował się w piętrowym domu, przy Thyskuvör, opodal budynku kooperatywy kupieckiej. Drzwi sklepu zwrócone były na zachód, a przy ścianie wschodniej była dobudowana sień i drugie drzwi. Stamtąd prowadziły schody na piętro, gdzie w niedużym mieszkanku mieszkał właściciel sklepu Asmundur wraz z żoną. Sklep i magazyn znajdowały się na parterze. Kiedy Kjartan otworzył drzwi, uderzyły w mały dzwonek, który zabrzmiał donośnie w pustym pomieszczeniu. Przybysz rozejrzał się wokół i wziął głęboki oddech. Zapach był intensywny, ale przyjemny. W symfonii aromatów ton narzucało drewniane wyposażenie, ale wtórowały mu rozmaite grupy towarów. Landryny, pasta do butów, kawa, gwoździe, książki, płatki owsiane, haczyki, kartofle, igły, proszek do pieczenia, dzbanki do kawy, rodzynki, kosy, cukier puder, farby, lemoniada, kamienie szlifarskie, tabaka, czapki z daszkiem, zielony groszek, gumki, aromat waniliowy, grabie, czekolada i boje do sieci. Było tam tego o wiele więcej, wszystko bez ładu i składu porozrzucane na półkach i zasłaniające każdą ścianę w

tej dziupli. Niektóre towary leżały na podłodze, inne na ladzie.

Kupiec Asmundur zjawił się szybko. Był niski i tłusty, łysy, z okrągłą miłą twarzą, odziany w biały fartuch związany na grubym brzuszysku. Z kieszeni na piersi wyzierały dwa ołówki i metrówka. Wesóło przywitał gościa.

— Dzień dobry, młody człowieku. W tym tygodniu mamy wyprzedaż scyzoryków oraz witamin i dodatków do pasz. Znow pojawiła się maść na wymiona i najmodniejsze eleganckie buty z Reykjavíku.

— Ja nie chcę nic kupować, przepraszam za najście. Mam do pana inną sprawę — powiedział Kjartan po powitaniu kupca i zadał mu te same pytania co wcześniej gospodarzom. Odpowiedzi Asmundura brzmiały podobnie. Dobrze pamiętał duńskiego gościa. Mężczyzna przyszedł do sklepu i pytał o klisze do aparatu.

— Niestety, nie miałem żadnych klisz. Zamawiam je specjalnie w Reykjavíku, kiedy ktoś sobie zażyczy. A że Duńczyk i tak zaraz tam jechał, to nie zamówiłem dla niego klisz — powiedział Asmundur. — Ale udało mi się sprzedać mu dwie pary wełnianych skarpet. — Zastanowił się chwilę i dodał: — W tym czasie na pewno nikt nie ruszał mojej łódki.

— A do czego pan używa łodzi?

— Głównie do drobnych przewozów towaru w związku ze sklepem — odpowiedział kupiec. — Solidna motorówka przydaje się, żeby wyskoczyć na ląd albo inne wyspy, kiedy gospodarze nie bardzo mogą sobie pozwolić latem na zostawienie domu. Kooperatywa zdecydowanie nie oferuje tak dobrych usług i dzięki temu mam klientów. Natomiast nigdy nie pływam na południe do Stykkisholmur, bo co tydzień stamtąd przypląwa statek pocztowy z dostawami. A po okresie uboju wciągam łódkę na ląd i na zimę chowam do hangaru. Nie przepadam za wyprawami morskimi zimą, bo jestem zmarzlakiem i mam kurzą ślepotę. A poza tym gospodarze mają zimą więcej czasu i lubią dla odmiany wpaść do sklepu.

— A może potrafi pan sobie wyobrazić, w jaki sposób ten Duńczyk znalazł się na Ketilsey? — zapytał Kjartan.

— O niczym innym się teraz u nas nie mówi — odparł kupiec. — Ale nikt tego nie rozumie. Kto, na Boga, mógł tego człowieka zostawić na tej wysepce? Znam każde dziecko na wyspie i mogę zapewnić, że nikt tu muchy by nie skrzywdził, a co dopiero coś takiego. Może to był wypadek? Może wsiadł na statek pocztowy, a załoga go nie zauważyła? I może potem wychylił się za burtę, zakreśliło mu się w głowie i wpadł do wody? Oprzytomniał i machał rękami, dopóki nie trafił na jakiś kawał drewna, którego się chwycił. Jeśli przypląw był szybki, to może istnieje szansa, że dopłynął aż do Ketilsey. Tyle że to jest tak dalece nieprawdopodobne, że człowiek w to żadną miarą nie wierzy.

Kjartan zaczął się poważnie zastanawiać nad rezygnacją ze śledztwa. Nadal

nic nie wiedział na temat losów Gastona Lunda.

— To po ile ma pan te scyzoryki? — zapytał.

— *Trzecie pytanie. Zjadł zabójcę swego ojca. Pierwsza litera. Sneglu-Halli powiedział: „Nie znam nikogo, kto by równie okrutnie pomścił swego ojca co Thjodolf, bo on zjadł zabójcę swego ojca”. A król na to: „Wyjaśnij to, co mówisz”. A Halli rzekł: „Thorljot, ojciec Thjodolfa, prowadził cielaka na powrozie, a dotarwszy do ogrodzenia swej posiadłości, postawił cielaka na ogrodzeniu. Potem sam jął się wspinać, ale ciele spadło z płotu. A pętla, co była na końcu powroza, zacisnęła się wokół szyi Thorljota, który nie sięgał nogami do ziemi. I wisiał każdy po swojej stronie ogrodzenia, obaj martwi, nim ktokolwiek zdążył się zjawić. Dzieci zaciągnęły cielaka do domu, ugotowały go i, jak sądzę, Thjodolf dostał swoją porcję”. Odpowiedź brzmi „Thjodolf”, a pierwsza litera to T...*

20

Kjartan wracał do domu wójtostwa, kiedy nagle przypomniało mu się, że w związku z duńskim gościem wypłynęło nowe imię. Sigurbjörn powiedział, że Hallbjörg z Domu Pośrodku wpuściła gościa do biblioteki. Nie zaszkodziłoby dowiedzieć się czegoś więcej o tej części historii.

Na drodze pojawił się chłopiec, ten sam, który przyniósł wójtowi wiadomość od pastora. Wskazał Kjartanowi drogę do Domu Pośrodku. Nie była specjalnie skomplikowana. W tamtym kierunku prowadziła tylko jedna ścieżka, a Dom Pośrodku był ostatnim domem przy drodze od strony morza. Przed schludnym domkiem powitały go przyjaznym beczeniem dwa chowane przy domu jagnięta. Przed domem na zydełkach siedziały dwie kobiety dziergające wełniane skarpety. Starsza zbliżała się do osiemdziesiątki, była potężnie zbudowana i barczysta. Druga mogła mieć nieco ponad pięćdziesiąt lat, była krucha i drobna.

Kjartan przywitał się i przedstawił. Kobiety odpowiedziały na powitanie, ale nie zdradziły swych imion.

— Która z pań to Hallbjörg? — zapytał Kjartan.

— Cóż, to zdaje się ta stara ja, kochanieńki — odpowiedziała starsza.

Kjartan opowiedział o swojej rozmowie z Sigurbjörnem ze Svalbardi i spytał, czy Hallbjörg kojarzy duńskiego gościa.

— Tak, bo to moje zadanie tu w naszej osadzie, żeby pilnować klucza do biblioteki. Jak kto chce książkę jaką pożyczyć, to musi ode mnie wziąć klucz. A jak nieznamomi jacyś chcą tam zajrzeć, wtenczas idę z nimi sama. Taka zwyczajnie jest reguła, kochanieńki.

— A pamięta pani tego Duńczyka? — indagował Kjartan.

— Tak, tak. Chciał spróbować rozwiązać starą zagadkę.

— Te pytania z *Flateyjarbok*?

— No. To taka niewinna zagadka, ale nie udało się im jeszcze jej rozwiązać.

— Komu?

— A różnym takim nadętym, co to im się zdaje, że wszystko wiedzą o naszej *Flateyjarbok*.

— Wie pani, czy profesorowi Lundowi to się udało?

— Nie. Myślę, że nie. Ale przecie nie stałam nad nim, jak się z nią zmagał. Siedział długo w noc.

— A mógłbym zobaczyć te kartki z pytaniami?

— No, myślę, że to nie zaszkodzi. Pożyczę panu klucz i sam pan sobie poradzi. Słabam coś dzisiaj w nogach.

Kobieta wstała sztywno i zniknęła w chatynce.

Druga kobieta wbijała milcząco wzrok w Kjartana, a gdy on spojrzał jej w oczy, spuściła je i z pasją zajęła się drutami. Kiedyś musiała z niej być urodziwa niewiasta, ale teraz wiek rzucał cień na jej aparycję. Choć wciąż jeszcze można było dojrzeć w niej dużo wdzięku.

Kjartan pochylił się nad jagniętami, które położyły się u jego stóp, i głaskał je, dopóki znów nie pojawiła się Hallbjörg.

— Proszę — powiedziała, podając mu stary klucz.

Kjartan wziął go od niej.

— Sam ją znajdę? — zapytał.

— Tak. Księga Munksgaarda jest w szklanej gablocie przy ścianie północnej. Nie da się jej nie zauważyć. To nie jest wielki budynek. Otworzy pan szufladę i kartki z zagadkami będą na samym początku księgi. Tylko proszę mi pamiętać, żeby nie wynosić ich z budynku. Jak kto je wyniesie, to skazuje się na nieszczęścia i zgubę.

— A dlaczego?

— No, taka prawda i każdy ją zna. Dawna klątwa, kochanieńki. Na kartce jest stara runa magiczna i nikt nie wie, jakie nieszczęścia może uwolnić, jeśli się nie będzie postępować ostrożnie. Klucz do rozwiązania zagadki jest tylko na tej jednej kartce i nie można go zabierać z biblioteki. No chyba, że po jej rozwiązaniu. Wtedy zwycięzca może sobie wszystkie kartki zabrać.

— To nagroda dla zwycięzcy?

— Tak. I zaszczyt. Ten, kto rozwiąże zagadkę, będzie sławny.

— Stara ta zagadka?

— Nie tak bardzo. Chociaż liczy sobie więcej niż sto lat.

— I te kartki przez cały czas znajdowały się w bibliotece?

— Nie, nie. Stary księgarz, co przyjmował księgę Munksgaarda na setny jubileusz biblioteki, dostał razem z nią tę zagadkę. Przechowywana była rzekomo u króla w Kopenhadze. To bardzo ciekawe dokumenty.

Kjartan już chciał się pożegnać, kiedy Hallbjörg skinęła na niego. Włożyła mu coś w dłoń.

— Masz tu cukru kandyzowanego, kochanieńki. Zaslugujesz na odrobinę słodkości — uśmiechnęła się do niego zalotnie.

Kjartan spojrział na ciemną kostkę w dłoni i podziękował. Dopiero wtedy. A kiedy odchodził, jagnięta odprowadziły go do drogi.

— *Czwarte pytanie. Reakcja Buiego na utratę brody. Pierwsza litera. W bitwie wikingów jomskich z jarlem Hakonem Thorkell przeskoczył ze swojej łodzi na łódź Buiego z mieczem w ręku i obciął mu brodę i wargę, które razem z zębami spadły na pokład. A gdy Bui został raniony, rzekł: „Najgorsze, że Dunka z Bornholmu nie będzie mogła nas całować, jeśli tam przyjedziemy”. A potem zamachnął się na Thorkella i przeciął go wpół. Mój ojciec uważa, że odpowiedź to słowa: „najgorsze, że Dunka” i tak dalej. A pierwsza litera to N.*

Spojrzał na karteluszek z odpowiedziami i zauważył:

— *Tamten odpowiedział: „Przeciął Thorkella wpół”.*

— *Czyli mamy dwie możliwe odpowiedzi: litery N i P.*

21

Śledczy Dagbjartur znalazł Fridrika Einarssona, nauczyciela akademickiego wykładającego filologię islandzką, w jego schludnym jednorodzinym domku przy Aragata. Minęły dwie godziny, odkąd Dagbjartur opuścił swego „współpracownika” Egilla. Zadzwoił od woźnego w bibliotece i zaraz udało mu się połączyć z człowiekiem, którego Egill rozpoznał w gazecie. Umówili się i Dagbjartur, czekając, aż Fridrik będzie mógł go przyjąć, udał się do Hressingarskalinn coś zjeść. Potem, korzystając z ładnej pogody, pospacerował sobie wzdłuż miejskiego stawu, aż wreszcie zatrzymał taksówkę, która minąwszy uniwersytet, zawiozła go na Aragata.

Dagbjartur został zaproszony do salonu, gdzie gospodarz posadził go w głębokim fotelu. Ściany były gęsto zakryte książkami, a na eleganckim stole pyszniła się szachownica z rzeźbionymi figurami. Policjant przyjrzał się im i zdały mu się nieco dziwne.

— To wikińskie szachy — powiedział Fridrik, wysoki szczupły mężczyzna przed siedemdziesiątką. — Oprócz normalnych figur jest dodatkowo dwóch wikingów w każdej drużynie. Szachownica ma zatem dziesięć pól z każdej strony zamiast tradycyjnych ośmiu.

Fridrik poprawił figury na polach i cierpliwie czekał, aż Dagbjartur przedstawi mu cel wizyty.

Policjant przez długą chwilę przyglądał się szachom i w końcu powiedział:

— Pod koniec sierpnia ubiegłego roku pytał pan w hotelu Borg o niejakiego profesora Gastona Lunda z Kopenhagi. Zgadza się?

Fridrik zdziwił się bardzo. Zastanawiał się chwilę, po czym odrzekł:

— Tak. Pewno ma pan rację. Skąd, na Boga, pan o tym wie?

— To nie jest najważniejsze. Proszę mi powiedzieć: co spowodowało, że pytał pan o tego człowieka?

— Czyżby pańskie śledztwo miało związek z okrutną śmiercią profesora Lunda w Breidafjörður? Słyszałem o tym.

— Tak, prowadzimy śledztwo w sprawie jego śmierci — odpowiedział Dagbjartur. — Dlaczego pytał pan o tego człowieka?

Fridrik znów musiał się zastanowić.

— Jechałem samochodem ulicą Posthusstraeti i przejeżdżając obok hotelu, zjrzałem przez okno do restauracji — powiedział wreszcie. — Wyraźnie widziałem profesora siedzącego przy stoliku. Znałem go dobrze od czasu mojej pracy w Kopenhadze. Jego obecność w Reykjavíku wydawała mi się nieprawdopodobna, bo ani mnie nie odwiedził, ani się ze mną nie skontaktował telefonicznie. Cały dzień nie dawało mi to spokoju, dlatego następnego dnia z rana poszedłem do hotelu i spytałem, czy jest tam gościem. Okazało się, że to wszystko było złudzeniem.

Dagbjartur popatrzył badawczo na Fridrika.

— Ale teraz wie pan, że był wtedy tutaj, prawda?

— Tak, jak już powiedziałem. Słyszałem o tym koszmarnym wydarzeniu na wyspie, musiałem mieć jakieś przeczucie. Już wcześniej mi się coś takiego zdarzyło. Jestem przekonany, że widzę jakiegoś znajomego, ale okazuje się to złudzeniem. A wkrótce potem spotykam tę samą osobę w zupełnie innym miejscu. To taki niewyjaśniony zmysł.

Dagbjartur potrząsnął głową.

— Tym razem pewno dobrze pan widział. Tylko otrzymał pan nieprawdziwe informacje w hotelu.

— No cóż. Nieprawdziwe informacje. Mogłem się tego domyślić. Widziałem Lunda tak wyraźnie.

— Powiedział pan, że spodziewałby się jego odwiedzin?

— Tak, oczywiście. Wiele lat pracowaliśmy razem w Kopenhadze. Nieraz dyskutowaliśmy o tym, co zrobimy, kiedy następnym razem przyjedzie do Islandii. Był tu dwukrotnie w latach dwudziestych i trzydziestych, ale niewiele podróżował. Natomiast znał miejsca historyczne z opisów tak dobrze, że potrafił opowiadać o nich ze szczegółami. Na pewno chciał mi sprawić niespodziankę podczas swojego pobytu, ale potem przydarzyło mu się to nieszczęście.

Fridrik spuścił wzrok na blat stołu.

Dagbjartur odczekał chwilę, po czym zauważył:

— Wygląda na to, że nikt nie wiedział o tej wyprawie profesora.

— Naprawdę? Ale to nic dziwnego.

— Jak to?

— Profesor nie miał rodziny, a kiedy blisko się znaliśmy, podczas swoich

wakacji zwykł podróżować samotnie. Nikomu nic nigdy nie mówił i włóczył się po Europie, gdzie mu przyszło do głowy. Po powrocie do Kopenhagi zawsze miał w zanadrzu wiele ciekawych opowieści. Uważał, że łatwiej kontaktować mu się z tubylcami, jeśli podróżuje sam.

Fridrik wstał i podszedł do regałów.

— Wielebny na Flatey powiada, że unikał swoich znajomych na Islandii z powodu różnicy zdań w sprawie manuskryptów. Sądzi pan, że tak mogło być? — spytał Dagbjartur.

Fridrik uśmiechnął się lekko.

— No cóż. Czyżby? To prawda, że stał po przeciwnej stronie barykady niż większość jego islandzkich przyjaciół, ale nie słyszałem, by ktokolwiek w jakikolwiek sposób go za to zwalczał. Choć jestem też przekonany, że Lund był przeciwnikiem, z którym najtrudniej nam się walczyło w tych sprawach. Nosił te rękopisy głęboko w sercu, głębiej niż ktokolwiek inny. I znał zarówno argumenty, jak i kruczki prawne pozwalające walczyć przeciwko ich zwrotowi.

Tłumacząc to Dagbjarturowi, Fridrik zdjął z półki skoroszyt, otworzył go i wyjął zapisaną maszynowo kartkę.

— Zbieram materiały dotyczące sporu o manuskrypty — powiedział. — Tu jest artykuł Gastona Lunda, który przetłumaczyłem. Proszę posłuchać: „Po rozpadzie zbiorów coraz trudniej będzie prowadzić międzynarodowe prace badawcze rękopisów. Wyniki badań prowadzonych w Kopenhadze publikowane są we wszystkich językach europejskich, a w Reykjavíku podobne wnioski publikowane byłyby jedynie w nowym islandzkim. Wszyscy przedstawiciele nauk humanistycznych w Kopenhadze oprotestują zwrot manuskryptów”.

Fridrik schował kartkę z powrotem do skoroszytu i odłożył go na miejsce. Potem wyjął album ze zdjęciami i położył na stole obok szachów.

— A czy Gaston Lund nie miał tu przez to wrogów? — spytał Dagbjartur.

— Nie można wykluczyć, że niektórzy nasi rodacy wyzywali go, kiedy podczas spotkań wytrącał im argumenty z ręki. Lund także potrafił działać szybko i raptownie. Ale niechęć nigdy nie była aż tak głęboka, by nie zmył jej kieliszek dobrej okowity. Jednak sądzę, że znam prawdziwy powód, dla którego mógł chcieć przebywać tu *incognito*.

— Tak?

— Po raz pierwszy Gaston Lund przyjechał tu w 1926 czy 1927 roku. Z grupą bardzo obiecujących młodych duńskich uczonych. Wieść niesie, że we wschodniej części kraju zawarł bliższą znajomość z urodziwą młodą panną, która wydała na świat owoc tego związku. Tu poznamy gorszą stronę jego osobowości, bo nie chciał mieć z dzieckiem nic wspólnego. Kolejny raz przyjechał z dworem króla Danii w 1936. Matka jego dziecka chciała mu przedstawić syna, ale Lundowi to spotkanie nie było w smak i przegonił oboje. Dowiedzieli się o tym Islandczycy

w Kopenhadze i nie byli zachwyceni. Myślę, że to jego zachowanie nie było świadome. Sądzę, że sama myśl o roli ojca do tego stopnia go przygniała, że tak się zachował. Zresztą później już zawsze postępował z kobietami bardzo ostrożnie. I nie przyjeżdżał do Islandii ze strachu, że znów spotka matkę swego dziecka. Teraz, kiedy wreszcie się odważył, starał się dość niezdarnie ukrywać.

— Groziło mu coś ze strony tej kobiety?

— Nie, na pewno nie. Ale i tak bał się jej tak, że przez wiele lat nie odważył się do nas przyjeżdżać.

— Wie pan, jak ona się nazywa?

— Nie. Słyszałem tylko tę historię i nigdy nie czułem potrzeby szukania informacji.

— A mógłby mi pan napisać listę Islandczyków, o których pan wie, że znali go osobiście?

— Mogę — powiedział Fridrik, wertując karty albumu. — Oto jedyne zdjęcie Lunda, jakie posiadam. Zostało zrobione podczas krótkiego wypadu do Szwecji.

Dagbjartur ujrzał postawnego człowieka stojącego na czele grupy.

— Jeśli miałoby panu pomóc wyliczenie innych wad profesora, to powiedziałbym, że był bardzo apodyktyczny — wyjaśnił Fridrik. — Podczas takich wypadów zawsze nieproszony zaczynał rządzić, a to było bardzo męczące. Wobec nieznanym wyglądało to na bezczelność i arogancję. Potrafił być także wyjątkowo prózny i zajęty swoją karierą. Był zupełnie niepodobny do innych Duńczyków, jakich znam. Zazwyczaj są miłsi i przyjaźniejsi od profesora Lunda.

— Mogę pożyczyć to zdjęcie? — spytał Dagbjartur.

Fridrik ostrożnie wyłuskał zdjęcie z albumu i podał Dagbjarturowi, który włożył je do swojego notesu.

— Na Flatey ludzie mówią, że Gaston Lund przyjechał tam, aby spróbować rozwiązać zagadkę związaną z *Flateyjarbok*. Zna pan tę historię?

Fridrik uśmiechnął się.

— *Aenigma Flateyensis*. Rozwiązując zagadkę, profesor Lund z pewnością zyskałby rozgłos. Na pewno lubiłby się tym chwalić.

— Co to za zagadka?

— To zaledwie kilka pytań z sag opublikowanych we *Flateyjarbok*, ale ja nie jestem zbyt dobrym znawcą tej historii. Najlepiej zna ją poeta i historyk Arni Sakarias.

— *Piąte pytanie. Śmierć Erlinga Hakonarssona. Trzecia litera. Erling był zdolnym siedmiolatkiem, kiedy jego ojciec, jarl Hakon z Lade, odpierał najazd wikingów jomskich na Norwegię. Bardzo źle wiodło się jarlowym ludziom w walce i wtedy poprosił Hakon Thorgerdę Hörðabrudę, by przyjęła od niego ofiarę w osobie jego syna Erlinga. I nagle nastąpiła wielka odmiana, niebo zakryły chmury i spadł*

wielki grad, z którym wikingowie jomscy musieli się zmierzyć. Wcześniej zdjęli z siebie szaty z powodu upału, a teraz bardzo zimno się zrobiło. Potem zauważyli też wśród ludzi jarla Thorgerdę, a ze wszystkich palców trollicy leciały strzały. A każdy, kto na jej drodze się znalazł, padał martwy. Odpowiedź brzmi „ofiara”.
Trzecia litera to I...

22

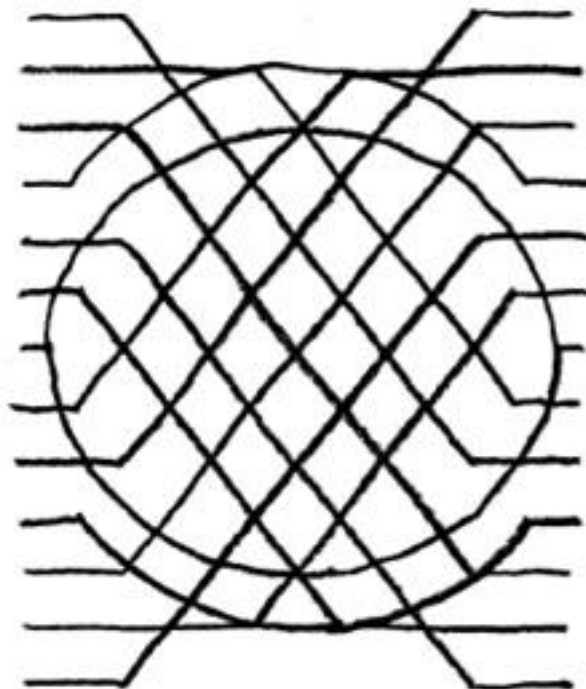
Biblioteka Postępowej Diecezji Gminy Flatey znajdowała się w najbardziej eksponowanym miejscu wyspy, kilka kroków za kościołem. Podszedłszy do bramki w niskim ogrodzeniu, Kjartan przyjrzał się budynkowi. Był niewielki, może nawet mniejszy, niż mogło się zdawać z osady. A kiedy wszedł do środka, okazało się, że to tylko jeden ciasny pokój z regałami wzdłuż ścian. Wójt powiedział mu, że najcenniejsze zbiory biblioteki: papierowe rękopisy, dzienniki i dokumenty, już dawno zostały wywiezione do Reykjavíku, gdzie obecnie przechowywane są w bibliotece narodowej. To, co pozostało, to literatura popularna, wciąż wypożyczana i czytana przez mieszkańców gminy. Kjartan obejrzał grzbiety książek i zajrzał do kilku. Była tu i Selma Lagerlöf, i *Statek płynie dalej* Nordahla Griega, i *Anna z Heidarkot* Elinborgi Larusdottir. Zbiór, prawdę mówiąc, nie najnowszy.

Nie ulegało wątpliwości, gdzie znajdował się egzemplarz Munksgaardowskiej *Flateyjarbok*. Przy północnej ścianie między dwoma oknami stała niska szklana gablota z szufladą, w której spoczywała otwarta księga. Kjartan obejrzał karty przez szkło. Były to czarno-białe zdjęcia stron w skali jeden do jednego. Pismo było wyraźne, ale Kjartan nie potrafił go odczytać. Otworzył szufladę i przewrócił kartki. Z przodu znalazł kilka starych, zapisanych ręcznie skrawków papieru. Tu pismo rozczytał. Na samej górze pierwszej karteczki napisano „*Aenigma Flateyensis*”, a pod spodem widniał wiersz:

Ponad lądy spływa czarny mrok,
Lecz żeglować musimy przez wody.
Brzegu śmierci nie dostrzega jeszcze wzrok,
Najmężniejszy pyta o powody.
Nieczysta siła toczy naszą łódź,
W ruch wiosła więcej dajem pary.
Głód odpowiedzi wciąż będziemy czuć;
W zmaganiach naszych pokładamy wiarę.
Szarawy pada i zmrożony śnieg
I klucza każdy żąda jak na dłoni.
*Niech myśli twoje rozpoczną bieg
W świecie mierzonym od skroni do skroni.*

Ostatnie dwie linijki napisano innym charakterem pisma niż pozostałe wersy, a na dole widniał podpis: „Tako poeta chciał być rzec”.

Pod spodem znajdował się dziwaczny rysunek wykonany grubym ołówkiem. „To pewno ta stara runa, o której wspominała Hallbjörg” — pomyślał Kjartan.



Na kolejnych kartkach znajdowały się jakieś pytania, w sumie czterdzieści, wykaligrafowane wprawną ręką:

1. Łez nie mogli powstrzymać. Siódma litera.
2. Najokrutniejsza z kobiet. Szósta litera.
3. Zjadł zabójcę swego ojca. Pierwsza litera.

Kjartan sięgnął do kieszeni, wyciągnął odpowiedzi profesora Lunda, które dostał od wielebnego, i porównał je z pytaniami.

1. Ludzie Magnusa — M.
2. Sigrida — D.
3. Thjodolf — T.

Niczego nie rozumiał. Pytania zdawały się dziwne, a odpowiedzi nic mu nie mówiły. Czterdzieste i ostatnie pytanie brzmiało tak: „Jaka jest największa mądrość?”. A za nim napisano trzy rzędy liter.

DENDZRJZREAOK
EIWICÓZDĄDZDG
TARSUGZJHAEWT

Kjartan wyciągnął kartkę, którą Johanna znalazła w kieszeni Gastona Lunda, a którą rozpoznał pastor. Przyjrzał się kolejności na odwrocie i porównał z kolejnością na kartce z pytaniami. To były te same litery w tej samej kolejności.

Profesor Gaston Lund przyszedł do tego budynku po rozstaniu z pastorem i przepisał klucz. Zgodnie z ludowym przesądem nie wolno mu było tego robić pod groźbą nieszczęścia. I spotkało go poważne nieszczęście. Kjartanowi zrobiło się nieswojo. Nie wierzył w takie klątwy, niemniej nie czuł się komfortowo.

Pod literami napisano: „Trzydzieści dziewięć prawidłowych odpowiedzi należy ułożyć w taki sam sposób jak trzydzieści dziewięć liter odpowiedzi na czterdzieste pytanie i w ten sposób otrzyma się rozwiązanie”.

Kjartan schował kartki do książki. Długo wbijał wzrok w notatkę znaną przy nieboszczyku i w końcu zdecydował, że najlepiej będzie, jeśli ona też znajdzie się w książce. Najszczęśliwiej będzie wierzyć, że klucz powinien pozostać w bibliotece i nigdzie indziej. Nie czułby się dobrze, nosząc go w kieszeni, zorientowawszy się już, co to takiego. Odłożył książkę tam, gdzie ją znalazł. Zamknął gablotę. Zamyślony wyszedł na słońce.

Co skłoniło Gastona Lunda, by po drodze na statek zejść do biblioteki i zapisać klucz? Czyżby tak zależało mu na rozwiązaniu tej zagadki, że świadomie sprzeniewierzył się starym, surowym zasadom? I jak dostał się do zamkniętego budynku?

— *Szóste pytanie. Najlepszy narciarz. Piąta litera. Znaleźli się pod ogromną górą. Jej zbocze schodziło stromo do morza, ale gdyby iść pieszo, po zboczu, to była tam ścieżka. Król Harald Sigurdsson odezwał się do Heminga: „A teraz zabaw nas swoim kunsztem narciarskim”. Heming na to: „Nie pora, aby na nartach jeździć, bo śniegu nie ma, za to ślisko i twardo, jak się obalić”. Król zaś: „A cóż to za próba narciarska, kiedy z każdej strony doskonale warunki?”. Wówczas Heming włożył narty i nuże szusować to w górę, to z góry. Wszyscy zachwycili się, że nigdy widzieli nikogo, kto by równie miękko sunął. Ani razu nim nie rzuciło i cały czas miał narty na nogach. Odpowiedź brzmi „Heming”, a piąta litera to N...*

23

Thormodur Krakur stał na czatach na wzgórzu pod masztem przed kościołem przez dwie godziny, po czym zbiegł na dół i uroczyście oznajmił, że oto widać zbliżający się od południa statek pocztowy. Kilku mężczyzn ruszyło więc w stronę nabrzeża, ciągnąc dwa wózki. Przed nimi biegła gromadka dzieciaków.

Zauważywszy poruszenie tłumu, Benni z Radagerdi odłożył pędzel i z przyzwyczajenia poszedł za nimi bez jakiegokolwiek celu. Życie na wyspie nie oferowało młodym ludziom wielu atrakcji, więc cotygodniowa wizyta statku stanowiła jakąś odmianę. Może zna któregoś z pasażerów? Można się było spodziewać kupców w drodze na wyspy.

Kiedy dzieciaki wybiegły zza rogu chłodni, statek mijał pierwsze wysepki. Była to stara, pomalowana na biało dębowa krypa, ciężka i powolna, ale

kapitanowi udało się zgrabnie podpłynąć do pirsu. Valdi z Domu na Skraju chwycił rzuconą z tego wieloryba cumę i założył pętlę na poler. Mały Nonni krok w krok podążał za ojcem i zupełnie nie interesował się innymi dziećmiakami na nabrzeżu.

Przy burcie stało dwóch młodych, odświętnie ubranych chłopców. Po chwili zniesiono ich na pirs, a za nimi związaną sznurkiem brązową walizkę. Przywitała ich dorosła kobieta, która obu naraz uściskała i nazwała swoimi kruszynkami. Ze statku podano także trzy worki z pocztą, które zostały załadowane na jeden wózek. Potem tą samą drogą przekazano cztery skrzynki podpiwku i dwa worki mąki, które znalazły się na drugim wózku. Wyglądało na to, że tym razem to cały ładunek. To, co miało zostać wysłane do Stykkisholmur, zostanie załadowane, gdy statek zawita tu w drodze powrotnej, później tego samego dnia.

Członkowie załogi zaczęli przygotowania do wyjścia i wtedy w bulaju ukazała się zmęczona twarz i na pokład wspiał się na sztywnych nogach rosły mężczyzna w brudnym jasnym prochowcu i brązowej czapce z daszkiem. Niósł ciężką torbę i rozejrzał się po molu.

— Młody człowieku — zawołał schrypniętym głosem do Benniego stojącego koło statku. — Weź no to ode mnie — powiedział i wyciągnął torbę. — Tylko ostrożnie, bo mam tam swoje jaja życia — dodał, gdy Benni sięgnął po torbę. Potem mężczyzna zszedł sam na pirs, lecz gdy już stanął, zachwiał się i chwycił Benniego za ramię. — Cholerne morze — rzucił. — Chyba zdrzemnąłem się chwilę po drodze. Myślałem, że to się nigdy nie skończy. — Spojrzał ku lądowi i przyjrzał się chłodni na brzegu. — A więc to jest ta słynna Flatey na Breidafjördur. I to jest cały jej urok?

— Samej osady stąd nie widać, bo jest po drugiej stronie wyspy — wyjaśnił Benni. — Tam są wszystkie domy.

— Tak, tak, przyjacielu. Jak masz na imię?

— Benni... Ben.

— Benni Ben. Właśnie o to chodzi. A ja mam na imię Bryngeir, poeta i pisarz. Czasowo pismak dla reykjavickiej gadzinówki.

— Benni Ben... to znaczy Benni — szybko poprawił Benni. Już właściwie zrezygnował z nowego imienia, które postanowił przyjąć po całonocnej lekturze *Ben Hura* dwa tygodnie wcześniej. Przecież nawet on sam nie pamiętał, by go używać.

— Towarzyszu Benni Ben, odłóżcie no teczkę, ale ostrożnie — powiedział Bryngeir. — Muszę zerknąć na jaja życia.

Kiedy torba zetknęła się z powierzchnią pirsu, szkło w środku głośno zadzwoniło. Bryngeir opadł na kolana, odsunął zamek i wyciągnął opróżnioną do połowy flaszkę rumu. Odkręcił nakrętkę i nalał do niej nektaru. Napił się. Potem pociągnął z gwinta, po czym przytrzymując się latarni, postawił się do pionu.

Benni usiłował odgadnąć wiek Bryngeira. Twarz miał kostropatą i ogorzałą,

niemniej było w niej coś, co kazało sądzić, że nie jest taki stary, na jakiego na pierwszy rzut oka wygląda. Pewno miał koło czterdziestki. Ciemne włosy ani jeszcze nie zaczęły siwieć, ani się przerzedzać. Tyle że jedna brew była zupełnie siwa, podobnie jak rzęsy po tej stronie.

Bryngeir znów nalał do nakrętki.

— Nie chciałbyś spróbować rumu, młody człowieku? — zapytał Benniego.

Benni spojrzał na pirs, gdzie ostatni wyspiarze schodzili już na wyspę. Pozostał tylko Valdi, który zwalniał cumy statku. Mieszkańcy wyspy nie lubili, gdy ktoś pił alkohol w środku dnia, on jednak był gotów orzeźwić się nieco. W końcu była sobota.

— Dzięki — powiedział. Wypił i zakaszał.

Bryngeir wyłowił nadpalone cygaro z przepastnej kieszeni prochowca i po kilku próbach udało mu się je zapalić.

— Jakież wieści o nieboszczyku, tym, co go tu na wyspach znaleziono? — zapytał.

— Rzekomo Duńczyk. Zabiorą go statkiem na ląd w drodze powrotnej — odparł Benni i zapalił papierosa, Bryngeirowi dla towarzystwa.

Bryngeir pociągnął rumu z flaszki i potem wychrypiął:

— Tak, słyszałem już, że to duński profesor, jedyny w swoim rodzaju Gaston Lund. A kto go zostawił tam na tym szkieście?

— Nie wiadomo. Facet z Patro to bada.

— Facet z Patro?

— No. Przedstawiciel prefekta. Nazywa się Kjartan.

— Prawnik?

— No. Dopiero zaczął pracę u prefekta.

Bryngeir w zamyśleniu palił cygaro.

— Słuchaj, a ten szpieg to może ma taką dużą bliznę na czole? Od lewej brwi aż do włosów? — Bryngeir podniósł palec i nakreślił niewidzialną linię.

— Tak, ma taką bliznę.

— No tak. Zdawało mi się, że to też słyszałem już w Reykjavíku. Że Kjartan dostał robotę w Patreksfjörður. — Bryngeir zdjął czapkę, potrząsnął nią i przyglądał włosy, nim znów nakrył głowę.

— Zna go pan? — spytał ciekawski Benni.

— Nie bardzo, ale chyba i tak za dużo.

— Co?

Bryngeir wywinął się od odpowiedzi.

— Gdzie człowiek może przenocować w tej pipidówie? — zapytał.

— Przenocować? — zastanowił się Benni. — Normalnie, u kogoś, kto ma wolne łóżko.

Bryngeir uśmiechnął się.

— Oczywiście. Tak. W chrześcijańskim kraju nie powinno być hoteli, napisał jakiś boży kmiotek, który chciał tanio podróżować. Słuchaj. Ruszajmy i zapoznajmy się z warunkami. Ty poniesiesz torbę, dopóki nie minie mi chód marynarski. — Pociągnął z gwinta i schował flaszkę do kieszeni prochowca.

Valdi obserwował, jak schodzą z pirsu, i zanotował to w swoim zeszycie. Na polderze przycupnął mały Nonni. Patrzył za odpływającym statkiem, który znajdował się już na zachód od wyspy na kursie północnym.

Benni przyglądał się uważnie profilowi swego nieoczekiwanego towarzysza. W końcu nie wytrzymał i spytał:

— Co się panu stało w oko? Dlaczego ma pan taką białą brew?

— Kobieta, młody człowieku, kobieta, którą dmuchnąłem w noc świętojańską, mi to zrobiła — odpowiedział zapytany, nie patrząc na Benniego. — Powiedziała, że od tej chwili mam się odróżniać od pozostałych mężczyzn, innym ku przestrodze. I kiedy spojrzełem w lustro, to już tak wyglądałem. Uważaj na baby, młodzianku, bo nigdy nie wiadomo, czy to nie czarownica.

Minęli chłodnię i wkrótce ich oczom ukazał się dom lekarki.

— To mi wygląda na schludny dom — zauważył Bryngeir. — Ciekawe, czy da się tu załatwić nocleg?

Benni wątpił.

— Nie sądzę, chyba że człowiek choruje. Tu mieszka lekarz.

Bryngeir zatrzymał się.

— I jak ten lekarz ma na imię? — zapytał.

— To kobieta. Na imię ma Johanna — odparł Benni.

— Doktor Johanna? Ale chyba nie Johanna Thorvald?

— Właśnie ona. Pan zna wszystkich?

— A to ci dopiero. Coraz tu więcej diabłów w szeregach moich wrogów — zamyślił się Bryngeir, jakby nie słyszał pytania Benniego. — Nie, tu nie będziemy pytać o nocleg. Idziemy dalej, druho mój, Benni Ben.

Bryngeir szybko minął dom lekarki, a Benni potruchtał za nim z torbą.

— Słuchaj — odezwał się znowu Bryngeir. — Czy on czasem nie nocował u pastora? Świętej pamięci Gaston Lund?

— No.

— To może i ja powinienem tam zanocować?

Benni spojrział na torbę, którą trzymał w ręku.

— Ale z tym mogłyby być kłopoty. Oboje należą do łoży i nie cierpią pijaństwa.

— Masz rację, przyjacielu. Nie prowokujmy zamieszek. To dokąd trafimy, młody człowieku? Czy mieszka tu ktoś, kto zechce wypić kieliszek rumu, ma wolne łóżko i zna prastarą *Flateyjarbok*?

Benni uśmiechnął się szeroko.

— Tak. Sigurbjörn ze Svalbardi.

— *Siódme pytanie. Wojowie Jana, króla Anglii. Ósma litera. Wcześniej tegoż lata król Anglii wysłał królowi Sverrirowi, gdy ten znajdował się w Bergen, dwustu wojów nazywanych ribbaldami. Byli szybcy niczym zwierzęta i doskonali w sztuce strzelania z łuku, niezwyčajnie odważni i nie wzdragali się przed żadnym niecnym czynem. Odpowiedź brzmi „ribbaldowie”, a ósma litera to O...*

24

Kiedy koło domu lekarki przetaczano wózek kooperatywy, ptasi pisk wyrwał jego mieszkankę z zamyślenia. Wyrzała przez okno kuchenne i obserwowała, jak towarzystwo znika w dole zbrocza przy cmentarzu. Zaraz korespondencja dotrze na pocztę i wtedy będzie mogła pójść po swoje gazety. Ale lepiej było trochę poczekać. Poczmiistrzynie Stina sprawnie segregowała przesyłki, lecz niektórzy wyspiarze zaraz się tam pojawiają, żeby poczekać na pocztę i poplotkować. A tego popołudnia Johanna nie miała ochoty nikogo spotykać. Usłyszała jeszcze kroki jakichś ludzi, którzy przechodzili obok domu, po czym w okolicy zapanowała cisza. Krwawodziób, który uwił sobie gniazdo przy drodze, uspokoił się i przestał ostrzegawczo piszczeć. Dziwne, że wybrał sobie na siedzibę tak niespokojną lokalizację, skoro okolica obfitowała w ciche zakątki. Jaja zniósł w tym samym miejscu co rok temu.

Pół godziny później Johanna podniosła wzrok znad książki, którą przeglądała. Usłyszała cichy jęk z pokoju obok. Wstała i poszła do ojca.

— Znowu cię boli, tato? — spytała.

— Nie tak bardzo, ale dobrze by było już dostać popołudniową dawkę — odpowiedział ojciec. Leżał pod białą kołdrą w wysokim łóżku szpitalnym, słaby i cierpiący.

Spojrzała na zegarek i przeszła do apteki, która mieściła się w niedużym pokoiku za salonem. Ojciec stęknął cicho, gdy podłączała kroplówkę do wenflonu w przedramieniu, ale środki przeciwbólowe szybko zaczęły działać i zaraz zamknął oczy.

— Chcesz, żebym ci chwilę poczytała? — spytała.

— Nie, odpocznię sobie.

— Przyplłynął statek pocztowy. Zaraz pójdę po gazety. Poczytamy sobie, kiedy wrócę. Idę tylko na chwilę.

Usiłował się uśmiechnąć.

— Wydaje mi się, że już się dość naczytałem — wyszeptał. — Myślę, że niedługo spotkam się ze swoim imiennikiem Sturlusonem i z tym, który napisał *Sagę Njala*.

Zamknął oczy i odplłynął. Przykryła go szczelnie kołdrą i delikatnie pocałowała w policzek.

— Ósme pytanie. Rozdarta przez dziób łodzi. Trzecia litera. W Thatturze o Sörlim opisane są nieszczęścia, jakie dotknęły króla Hedinna. Opętany czarami kazał wziąć Hervöreg, żonę króla Högniego, i położyć pod dziobem statku przed spuszczeniem go na wodę, i w ten sposób ją rozszarpał. Potem Hedinn i Högni pojedynkowali się. Powiada się, że taka zawziętość towarzyszyła tej walce, iż rozłupani po bary wstawali i walczyli dalej. Czternaście dziesiątek i trzy lata trwała walka, dopóki jeden z hirdmanów króla Olafa nie uwolnił ich od tego nędznego przeznaczenia. Odpowiedź brzmi „Hervöra”, a trzecia litera to R...

25

Bryngeir i Benni kontynuowali swój marsz drogą wiodącą do osady. Benni był wścibski z natury, więc zapytał przybysza o cel jego wizyty na Flatey, ale Bryngeir, pochłonięty widokami, zwlekał z odpowiedzią.

— Przyjacielu Benni Benie — odpowiedział w końcu. — Reykjavickie gadzinówki nie zwykły wysyłać swoich najlepszych reporterów śledczych w dalekie podróże, nawet jeśli na jakiejś bezludnej wyspie ktoś znajduje kości. Ale kiedy okazało się, że to duński spekulant manuskryptami, który zapuścił się przed zimą na wody zatoki Breidafjörður i zapomniał poprosić, by ktoś po niego przyjechał, wyczuli zapaszek sensacji. A kiedy ja usłyszałem, że ów nieboszczyk to Gaston Lund i że w tle pojawił się mój ulubiony staroksiąg *Flateyjarbok*, natychmiast zaproponowałem, że tam pojedę i wyjaśnię tę zbrodnię.

— A co takiego ciekawego jest we *Flateyjarbok*? — zdziwił się Benni.

Bryngeir spojrział na swego towarzysza.

— Młody człowieku, czyś ty kiedykolwiek czytał tę księgę?

— Za długa jest. Raz zacząłem, ale mnie znudziła. I jeszcze do tego te słowa tak dziwnie są pisane.

Bryngeir kręcił głową.

— To nie będę w stanie wyjaśnić ci magii tej księgi, chłopcze. Tak samo jak nie mógłbym opisać obrazu Rembrandta ślepej szczotkarce albo dramatycznej opery Wagnera głuchemu inkasentowi lub seksapilu młodziutkiej marokańskiej kurewki wykastrowanemu impotentowi. I uważam to za skandal, że ten skarb i cacko w jednym kojarzone jest z tak nieistotnym, nędznym szkierem tylko dlatego, że jest tu pod jakąś poduszką przechowywane od kilkudziesięciu lat. Równie dobrze można by ją nazwać *Hunvetningabok*, *Księgą z Tunga* czy *Księgą z Vididalur*, na cześć skrybów z Vididalstungi za to, że ją napisali i wykonali. Toż to geniusze byli, mój chłopcze. Absolutni geniusze. Wypijmy za nich, panie Benni Ben! — I łknął prosto z flaszki.

Benniego to zupełnie nie interesowało.

— Mnie tam wszystko jedno, jak się ta książka nazywa. Kiedyś może ją przeczytam — powiedział z pełnym nadziei wzrokiem utkwionym w butelce.

Zatrzymali się na chwilę na skale nad osadą i Bryngeir przyglądał się domom. Pytał o nie Benniego. O zamieszkujących je ludzi także. Benni odpowiadał mu bez entuzjazmu, bo temat raczej go nie ciekawił.

Bryngeir szczególnie wypytywał o wójta.

— W porządku gość, często wypływa na połowy fok, na maskonury, ale obija się podczas sianokosów — mówił Benni. — Högni, nasz nauczyciel, zwykle kosi jego część, ale Grimur grabi. No i czyta gazetę ludowców i gada o polityce.

— Myślisz, że to on zawiózł Duńczyka na tę wyspę? — zapytał Bryngeir.

— Nie, na pewno nie. Ale to on ma najlepszą łódź. Silnik nówka. I na jesieni nie wciąga łodzi na ląd, chyba że szlaki żeglugowe całkiem zamarzną. A naprawdę myśli pan, że ktoś stąd celowo wysadził Duńczyka na wyspie?

— W mojej pracy dziennikarskiej wszyscy są winni, dopóki nie udowodni się im niewinności. Coś muszę tu wygrzebać, skoro już naczelny wykosztował się dla mnie na tę podróż, kupując bilet na autokar i dając napiwek, który nie wiedzieć czemu nazwał dietą i który nie wiedzieć czemu wyschnął już na samym początku podróży.

Bryngeir znów pociągnął łyk rumu z butelki i tym razem wreszcie poczęstował Benniego.

— Myślisz, że mój gospodarz da mi coś do jedzenia? — zapytał.

Benni uważał to za prawdopodobne. Zeszli dalej ulicą, przez osadę i do Svalbardi.

Dom był duży, drewniany, miał betonowe podpiwniczenie, parter i strych. Na parceli stały składzik, obora i stodoła. Gospodarz Sigurbjörn siedział na podwórzu przy ostrzałce, nogą napędzał kamień i ostrzył duży nóż.

— Fachowo się bierzecie do broni siecznej — odezwał się do niego Bryngeir.

— Toż to nóż kuchenny mojej starej, ale dobrze go mieć pod ręką, jak trzeba gospodarstwa bronić — odparł rozbawiony Sigurbjörn.

— Oto przybywam w pokoju — uśmiechnął się Bryngeir. — A o mieszkańcach tego domu powiada się, że nie przegonią podróżnego szukającego noclegu.

Sigurbjörn odłożył nóż i obejrzał przybysza od stóp do głów.

— Dla porządnego gościa może się znajdzie łóżko — powiedział.

Bryngeir wyjął flaszkę z rumem, łyknął i podał gospodarzowi.

— To może znajdzie się i coś na ząb, jeśli gość dorzucił co nieco od siebie? — zapytał.

Sigurbjörn wziął od niego butelkę, powąchał zawartość i opróżnił ją jednym haustem.

— To już całe co nieco? — spytał i oddał flaszkę.

Bryngeir kiwnął na Benniego, by mu podał torbę.

— Tu mam mały dodatek. — Wyciągnął z torby pełną butelkę i odkręcił. Sigurbjörn wstał od ostrzałki.

— Wejdźmy zatem do środka i rozejrzyjmy się po spiżarni.

— *Dziewiąte pytanie. Przyczyna śmierci króla Haralda Gormssona. Druga litera.* Saga wikingów jomskich opowiada o Palnatokim, który mieszkał na Fionii, był wikingiem i jednym z najmożniejszych, obok króla Haralda Gormssona, ludzi Danii. Powadzili się ci dwaj możni, a właśnie skończyły się tak, że Palnatoki odnalazł króla odpoczywającego po bitwie przy ognisku. Król grzał kości, pochylał się nad ogniem, zbliżając klatkę piersiową, zadkiem do góry. Palnatoki usłyszał głos króla, wycelował z łuku i strzelił. Powiadają, że strzała trafiła króla prosto w odbyt i wyszła ustami. Natychmiast padł martwy. Przyczyną śmierci była strzała w zadek, a druga litera to T...

26

Pisarz Arni Sakarias nie posiadał telefonu, dlatego Dagbjartur nie miał innego wyjścia, jak pójść do niego do domu i sprawdzić, czy go zastanie. Arni mieszkał w niedużej kamienicy przy Raudararstigur. Drzwi zewnętrzne nie były zamknięte na klucz. Dagbjartur odnalazł właściwe drzwi na pierwszym piętrze, ale dzwonek nie działał. Kiedy po raz czwarty zapukał do drzwi pisarza, jeden z sąsiadów wystawił głowę na klatkę i poprosił policjanta, by przestał hałasować. Dodał, że literat poszedł na basen, jak zwykle o tej porze dnia.

Dagbjartur znalazł Arniego Sakarias w płytkim basenie, gdzie ten wygodnie unosił się na plecach, z nadmuchanym balonem pod głową, wśród tłumu dzieciaków radośnie taplających się w wodzie. Policjant znał pisarza z widzenia — wysoki, potężny, brodaty i długowłosy Arni Sakarias odciskał swoje piętno na życiu miejskim.

Trochę trwało, nim udało się Dagbjarturowi zwrócić na siebie uwagę pisarza, a gdy już miał to za sobą, przedstawił się i spytał:

— Zna pan historię starej zagadki kojarzonej z Flatey?

Arni Sakarias spojrział na niego przez grube, zmoknięte okulary.

— Flatejska zagadka. *Aenigma Flateyensis*. Tak, młody człowieku. Tę historię znam dość dobrze.

Dagbjartur nie przywykł, by w ten sposób się do niego zwracano. Miał pięćdziesiątkę na karku, a wyglądał na jeszcze starszego, ale Arni Sakarias pewno kiepsko widział pomimo okularów. Zresztą Dagbjartur mógł uchodzić za młodego w porównaniu z literatem, który zbliżał się do osiemdziesiątki.

— Mogę zadać kilka pytań w tej sprawie?

Pisarz machnął rękami. Zanim odpowiedział, przybił do brzegu.

— Tak, oczywiście, że możesz, ale najpierw wyjdę z basenu, wytrę się i ubiorę. Spodziewam się, że policja śledcza postawi mi kawę w pobliskim lokalu z

wdzięczności za pozyskane informacje. Poza tym kawa odświeża pamięć. A to w moim wieku bardzo potrzebne, młody człowieku.

Dagbjartur skinął głową i pół godziny później siedzieli w kawiarni przy Laugavegur. Byli jedynymi klientami i Arni Sakarias poprosił kelnerkę o to co zwykle. Zrozumiała i przyniosła dzbanek kawy, bułkę i croissanta. Dagbjartur poprosił o to samo i o rachunek, który zapłacił.

Delektując się wiktuałami, Arni Sakarias opowiedział Dagbjarturowi historię zagadki fletejskiej.

— Późnym latem 1871 roku kilku islandzkich studentów płynęło statkiem do Kopenhagi kontynuować studia. Był to parowiec Diana, który w tamtych latach obsługiwał linię pocztową do Islandii. Czytałem, że to doskonała jednostka pełnomorska, z pierwszą i drugą klasą dla podróżnych. To było kilka lat po tym, jak *Flateyjarbok* została po raz pierwszy wydana drukiem za sprawą i na koszt państwa norweskiego. Wydawnictwo przygotowali do druku Gudbrandur Vigfusson i Unger, a książkę wydrukowano w Oslo, ostatni tom w 1868. Publikacja ta była chętnie czytana przez studentów w Kopenhadze, a w bagażu jednego z pasażerów statku pocztowego, islandzkiego naukowca, akurat znajdował się egzemplarz. Studenci na pokładzie Diany różnie umilali sobie czas podróży, między innymi zadając sobie pytania z treści sag zawartych we *Flateyjarbok*. Oczywiście w tych wszystkich opowieściach występuje wiele postaci, a studenci znali te historie w różnym stopniu. Niemniej zabawa była wyborna i pewnego wieczoru postanowiono urządzić oficjalną zgaduj-zgadulę. Zadanie zorganizowania tego konkursu przypadło młodemu chłopakowi z Fiordów Zachodnich, początkującemu poecie i literatowi, który także płynął tym statkiem, słyszał on bowiem z tego, że doskonale orientuje się w literaturze średniowiecznej. Usiadł nad wydaniem norweskim i następnego wieczoru dzieło było gotowe. Całą noc nie spał, a pytania pomagała mu układać butelka brennivina. Przedstawił listę czterdziestu pytań, z których ostatnie zależało od odpowiedzi na wszystkie pozostałe. Kluczowi towarzyszył niedokończony wiersz, a rozwiązanie zagadki miało być jego pointą. Jedna litera z każdej odpowiedzi miała stanowić część klucza, a ostatnie pytanie tłumaczyło, w jaki sposób ułożyć litery hasła. Następnie autor złożył pisemną deklarację, że jeśli podczas tego rejsu zagadka nie zostanie rozwiązana, klucz do niej należy przechowywać w bibliotece na Flatey i nie wolno go stamtąd wynieść, póki ktoś nie rozwiąże zadania. Na pierwszej stronie narysowano dziwny rysunek i wieść gminna niosła, że jest to magiczna runa, która stoi na straży woli autora. Mieszkańcy Fiordów Zachodnich od dawna słyną z rozmaitych mocy. Wieczorem studenci pochylili się nad zagadką, próbując jakoś sklecić odpowiedzi. Pytania uznano za dość dziwne, na wiele z nich można było odpowiedzieć na kilka sposobów, a czasem taka odpowiedź była bardziej sprawą gustu niż logiki. Kilku chłopców znalazło jednak odpowiedzi na te pytania, a tym samym trzydzieści

dziewięć liter, tyle że nikomu jak na razie nie udało się ułożyć hasła do ostatniego pytania, tak żeby pozwoliło ono otrzymać zakończenie wiersza.

Tu Arni Sakarias przerwał i przez chwilę obserwował przez okno przechodniów na Laugavegur. Dagbjartur cierpliwie milczał razem z nim.

Wreszcie pojawił się dalszy ciąg opowieści.

— Jeszcze tej samej nocy na statku zdarzyła się niewyjaśniona tragedia. Poeta, który ułożył zagadkę, znikł z pokładu i nikt nie miał pojęcia, w jaki sposób. Oczywiście wśród załogi i pasażerów zrobiło się straszne poruszenie i zainteresowanie zagadką nieco przygasło. Niemniej jeden ze studentów zatrzymał na wszelki wypadek kartki, zapisał sobie ich historię i postanowił dostarczyć je na Flatey zgodnie z życzeniem literata. Z jakichś powodów jednak nie nastąpiło to od razu. Student zmarł w Kopenhadze i kartki trafiły do Biblioteki Królewskiej. Tam schowano je do archiwów razem z innymi materiałami dotyczącymi *Flateyjarbok* i kartki przeleżały wiele dziesiątek lat w zapomnieniu. Ale historia zagadki była znana i krążyła wśród kopenhaskich studentów z pokolenia na pokolenie. Zimą 1935 roku pewien islandzki naukowiec poszukiwał czegoś w archiwach biblioteki i natknął się na te kartki. Uparł się i zaczął nalegać na włodarzy biblioteki, by postąpili zgodnie z wolą autora i oddali kartki do biblioteki na Flatey. Rozmowy na ten temat trwały miesiącami, co zakrawało na złośliwość. Ale traf chciał, że w 1936 roku biblioteka na Flatey obchodziła jubileusz stulecia i wydawca, Munksgaard, postanowił podarować jej fotokopię książki, która ukazała się w 1930 roku. Włodarze biblioteki zwietrzyli tu doskonałą okazję, aby pozbyć się utrapienia, za jakie uważali zagadkę, i wsunęli kartki do egzemplarza fotokopii Munksgaarda, który przygotowywano do wysyłki na Flatey. A rolą owego islandzkiego naukowca było dostarczyć to wszystko razem do odbiorcy. Tym dandysem byłem ja, przeto uważa się powszechnie, że wiem na ten temat więcej od innych. To mnie można winić albo dziękować mi za to, że te kartki znalazły się na Flatey.

— Ktoś kiedyś napisał na kartkach słowa „*Aenigma Flateyensis*” — dodał poeta po chwili namysłu. — To po łacinie „zagadka Flatey”. Przez analogię do łacińskiego tytułu *Flateyjarbok*, *Codex Flateyensis*. Ta sama osoba odgadła zakończenie wiersza, ale nikt nigdy nie udowodnił, że jest to prawidłowe rozwiązanie. Tak wygląda historia tej zagadki.

Arni Sakarias włożył do ust ostatni kawałek croissanta i dolał kawy do filiżanki.

— To znaczy, że jeszcze nie rozwiązano tej zagadki? — spytał Dagbjartur.

— Nie, nic mi o tym nie wiadomo.

— I nie da się jej rozwiązać, nie jadąc na Flatey?

— Nie, nie da. Klucz jest tam i nigdzie indziej nie może być. Na pytania można się natknąć w wielu innych miejscach, ale klucz, czyli ciąg liter, istnieje

jedynie na kartce schowanej w kopii wydanej przez Munksgaarda i spoczywającej w bibliotece na Flatey. Jeśli zatem ktoś chciałby rozwiązać zagadkę, musi tam pojechać.

— Dlaczego nikt tego klucza nie przepisał?

— Bo nie wypada. Bibliotekarze we flatejskiej placówce pilnowali dobrze tego skrawka papieru, a jeśli ktoś chce spróbować swoich sił, odpowiadając na pytania, musi przyrzec, że klucza nie przepisze. Towarzyszy temu także wiara, że tego, kto złamie ten zakaz, spotka nieszczęście. Losy literata i studenta tylko podtrzymują tę historię. Powiada się, że na kluczu spoczywa klątwa, która pozostaje uśpiona, dopóki kartki znajdują się w czterech ścianach biblioteki.

— A wielu próbuje swoich sił?

— Nie, nie sędzę. Ale zdarza się, że studenci kończący filologię islandzką pielgrzymują na Flatey, aby zmierzyć się z zagadką. Tu potrzeba dość dobrego odczytania, żeby mieć pojęcie o odpowiedziach. Amatorzy nie mają co sobie łamać głowy.

— A pan próbował ją rozwiązać?

— Kiedyś przyjrzałem się jej. Zagadka składa się w istocie z dwóch zadań. Zauważyłem, że najpierw trzeba rozwiązać klucz zawarty w czterdziestym pytaniu. Bez niego nie da się potwierdzić prawidłowości odpowiedzi na pozostałe trzydzieści dziewięć pytań. Trochę się nad tym kluczem głowiłem, ale nie znalazłem rozwiązania.

— Co będzie, jeśli ktoś rozwiąże zagadkę?

— Co będzie? Właściwie nic. Zwyczajca nacieszy się tą chwilą, zdobędzie uznanie, podziw i zazdrość akademików. Mam nadzieję, że szybko się to nie stanie, bo wielu czerpie złośliwą radość z dyletanckich prób rozwiązania zadania. A może zagadka jest nierozwiązywalna? Kto wie?

— *Dziesiąte pytanie. Co trzasnęło z takim hukiem? Siedemnasta litera. Wtedy odezwał się jarl do Finna Eyvindarsona: „Zastrzel tego przed lyptingiem”. A Finn odparł: „Nie mogę zastrzelić tego, co śmierci nieprzeznaczony. Ale mogę łuk mu złamać”. I wystrzelił belt, a trafił w sam środek łuku Einara, kiedy ten po raz trzeci naciągał cięciwę. Łuk rozpadł się z głośnym trzaskiem. Wówczas zapytał król: „Co trzasnęło z takim hukiem?”. A Einar odpowiedział: „Norwegia w twoich rękach, królu”. Siedemnasta litera to E...*

27

Zrobiło się późno i lada moment należało się spodziewać wracającego do Stykkisholmur statku pocztowego z Brjanslaekur. Thormodur Krakur stawiał się ze swoim wózkiem przed drzwiami kościoła, gdzie czekała nań trójca: Grimur, Kjartan i Högni. Czas był najwyższy odstawić zwłoki na pirs. Wkrótce też zjawiał się wielebny Hannes w sutannie. Tym razem miał zamiar odprowadzić swego

gościa na statek. Grimur i Högni wynieśli skrzynię z kościoła i umieścili na wózku. Leżał na nim pojedynczy zalakowany worek pocztowy, zdawał się jednak niemal pusty. Poczmiistrzynie Stina wykorzystała okazję, żeby odesłać pocztę na statek.

Ruszyli w drogę. I znów, podobnie jak podczas poprzedniego przewozu zwłok przez osadę, ta zdawała się opustoszała. Mieszkańcy się ukryli. Kjartan zastanawiał się, jak to możliwe, że wszyscy są tak solidarni. Zupełnie jakby niewidzialna ręka w jednym czasie zagnała wszystkich mieszkańców Flatey do domów.

Ale dwóch mężczyzn stało przy ulicy na brzegu, a potem przyłączyło się do konduktu. Jednego z nich, Benniego z Radagerdi, Kjartan znał. Drugiego z tak dużej odległości nie kojarzył.

— Kto to tam idzie z chłopakiem? — Kjartan szturchnął Grimura i pokazał za plecy.

Grimur obejrzał się.

— Jakiś dziennikarz z Reykjavíku. Zdaje się, że rano, jak przyjechał statkiem, był pod dobrą datą, i teraz mu się nie poprawiło. Wygląda mi na to, że znalazł sobie kumpla do kieliszka.

— I będzie pisał o profesorze Lundzie? — spytał Kjartan.

— Najpierw pewno będzie się chciał wyspać. Myślę, że Sigurbjörn ze Svalbardi udzieli mu gościny na czas jego pobytu.

Statek pocztowy zbliżał się do wysp od północy, więc karawaniarze przyśpieszyli kroku. Nie było potrzeby kazać załodze czekać.

Valdi, stary Jon Ferdinand i mały Nonni z Domu na Skraju przebywali na molu sami, kiedy zza budynku chłodni wychynął ciągnący wózek Thormodur Krakur. Statek właśnie przybijał i tym razem rzucono tylko jedną cumę. Mieszkańcy Flatey szybko się uwijali. Wrzucili worek z pocztą na pokład, po czym wielebny Hannes wygłosił odpowiednie kazanie, a pozostali czterej zdjęli skrzynię z wózka i podali na pokład. Tam odebrali ją dwaj członkowie załogi, a przez okno sterówki przyglądał się temu wszystkiemu kapitan z fajką w kąciku ust i ponurą miną.

— Kto opłaci fracht? — zawołał jeden z dwóch odbierających skrzynię.

Wszyscy przenieśli wzrok na Kjartana.

— Rachunek zapłaci prefekt z Patreksfjörður — odpowiedział po krótkim wahaniu.

Potem Valdi zwolnił cumę i statek zaczął się oddalać od wyspy.

— Łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa i pokój niechaj będą z wami. — Wielebny Hannes zakończył swoje kazanie i uczynił znak krzyża za statkiem.

Wszyscy jakby poczuli ulgę, widząc statek kierujący się na południe.

Benni i jego towarzysze od kieliszka obserwowali wszystko spod chłodni, a gdy kondukt ruszył w drogę powrotną z pustym wózkiem, zniknęli.

Wójtowi Grimurowi dopisywał humor. Gadał bez przerwy. Teraz życie na wyspie miało wrócić na swoje normalne tory. Wprawdzie nadal pozostawało zagadką, w jaki sposób Gaston Lund znalazł się na Ketilsey, ale to wszystko drobiazgi w porównaniu z obecnością obcych zwłok wystawionych w kościele. Wójt oparł ramiona na barkach Högniego i Kjartana i rzekł:

— No, chłopcy. To dziś wieczór robimy sobie wolne i łupniemy partyjkę wista z moją Imbą, a jutro idziemy do wielebnego Hannesa na mszę z okazji Zielonych Świątek. Mam nadzieję — spojrzał na Kjartana — że gra pan w wista?

— Raczej tak — odparł wysłannik prefekta i po raz pierwszy od wielu dni się uśmiechnął.

Po powrocie do Bakki na wójta czekał długi telegram od śledczych z Reykjavíku. Dokładne streszczenie dzisiejszych ustaleń śledztwa. W zasadzie nie było to nic nowego, poza tym, że w roku 1927 Gastonowi Lundowi prawdopodobnie urodziło się nieślubne dziecko, ale on nie chciał go uznać. Matka dziecka mogła chcieć krzywdy Lunda. Wójta proszono, aby przyjrzał się temu aspektowi sprawy.

— *Jedenaste pytanie. Przed nim nie ukryjesz. Siódma litera. Thormod poszedł do kucharza i wziął kielbasę, przelał i połowę zjadł. A kucharz rzecze: „Mało zacna drużyna króla otacza i nie spodoba się jej, jak się dowie, coś zrobił”. Thormod odparł: „Może się dowie, może się nie dowie”. A kucharz: „Przed Chrystusem nie ukryjesz”. „Nie mam takiego zamiaru — odparł Thormod — ale albo więcej niż pół kielbasy potrzeba, bym się z Chrystusem poróżnił, albo i tak pozostaniemy w zgodzie”. Odpowiedź brzmi „Chrystus”, a siódma litera to U...*

28

Bryngeir i Benni obserwowali załadunek skrzyni z ciałem na statek pocztowy. Bryngeir nie chciał podchodzić bliżej, ale kazał Benniemu przedstawić sobie ludzi na molu.

— Wójt, nauczyciel, kościelny i pastor — powiedział chłopak. — A ten najmłodszy to przedstawiciel prefekta — dodał.

— A czyje te łódki? — Bryngeir wskazał na łodzie bujające się po wewnętrznej stronie pirsu.

— Przyjezdnych, którzy chcieli łowić dla chłodni. Ale nic nie złowili i zaraz pewno przeniosą się gdzie indziej. A ta czarna należy do Valdiego z Domu na Skraju. To ten, co znalazł trupa na Ketilsey — powiedział Benni.

— A jakie łodzie tu były w zeszłym roku, kiedy przyjechał Duńczyk?

— Tu przy pirsie? — upewnił się Benni.

— No.

— Zeszłej jesieni nikt stąd nie pływał.

— To nie było tu żadnej łódki?

— Co najwyżej Valdiego. Ale na zimę zabiera ją do hangaru. Nie pamiętam, kiedy zrobił to w zeszłym roku.

— A na wyspie nie ma więcej łodzi?

— Są, ale jesienią wszystkie leżą po drugiej stronie, w Vogur. Lepiej je widać z osady w razie, jak się zepsuje pogoda.

Statek pocztowy odpływał od mola, a orszak skierował się na brzeg. Bryngeir pociągnął Benniego za węgiel i szybko puścili się za wschodnią ścianę budynku chłodni. Stało tam kilka beczek, za którymi schowali się podczas przemarszu tamtych. Benni dziwił się temu postępowaniu, ale rozpiekała go duma, że przebywa w towarzystwie takiego światowca. Poza tym fajnie trochę sobie pospieszować.

Z kryjówki obserwowali, jak piątka mężczyzn mija dom lekarki. Na czele kroczył ciągnący wózek Thormodur Krakur, za nim duchowny, a dalej Grimur, Högni i Kjartan.

— Gdybyś koniecznie musiał się dostać do Stykkisholmur i nie mógł czekać na statek pocztowy, co byś zrobił? — zapytał Bryngeir.

— Poprosiłbym tatę, żeby mi pożyczył swoją łódkę — odpowiedział Benni, ale nie dodał, że na pewno nie dostałby łódki, żeby popłynąć do Stykkisholmur. To zbyt daleko, a on nie znał szlaków żeglownych na południu zatoki.

— A nieznamy? Jak on by się dostał? Co ja bym zrobił, gdybym musiał się dostać na ląd dzisiaj wieczór?

Benni zastanowił się głęboko. Trudno mu było wyobrazić sobie, że komuś może się aż tak spieszyć.

— Na pewno dałoby się namówić tatę, żeby popłynął z panem do Brjanslaekur. Albo Sigurbjörna ze Svalbardi, albo może sklepikarza Asmundura. Stamtąd można pójść na drogę, którą jeździ autokar do Isafjördur. Można też zejść na ląd w Vatnsfjördur, jeśli prąd sprzyja. Stamtąd jest krócej na piechotę.

Bryngeir stracił cierpliwość.

— A do Stykkisholmur, chłopcze?

— Może i dałoby się kogoś namówić na rejs, jeśli pogoda nie jest fatalna. Tylko że to trochę daleko jak na nocny rejs odkrytą łodzią.

Bryngeir wyszedł przed chłodnię i wszedł na opustoszały pirs. Przyjrzał się uwiązany tam łodziom.

— A ten, co ma tę czarną łódź? — zapytał. — On by mógł przewieźć mnie do Stykkisholmur?

— Raczej nie — odpowiedział Benni. — Valdi z Domu na Skraju właściwie nigdy nie ma forsy, żeby kupić odpowiednią ilość paliwa. Zresztą on za darmo pływa pocztowym, bo zawsze kiedy przyplływają, pomaga im cumować.

— To go odwiedzimy. Wskaż mi drogę.

Benni ruszył przodem. Zeszli z pirsu i ruszyli ścieżką za Trölllaendi. Na

plaży zauważyli małego Nonniego, który również ich dostrzegł.

— Tato, tato! — krzyknął chłopak w stronę domu. — Dwóch dużych panów tu idzie. Benni, no wiesz, Benni z Radagerdi, i ten drugi pijak.

Valdi wyszedł na podwórze, kiedy doszli tam Bryngeir i Benni. Bryngeir w milczeniu przyglądał się Valdiemu. Benni trzymał się z tyłu.

— Czego? — warknął w końcu Valdi.

— Możesz mnie odwieźć dzisiaj do Stykkisholmur? — spytał Bryngeir.

— A dlaczego nie zabrałeś się pocztowym? — odpowiedział Valdi.

— Spóźniłem się i mi uciekł.

Valdi zamyslił się, a w tym czasie na podwórzu pojawił się Jon Ferdinand.

— Nic nie widzę, nic nie widzę — kwiczał stary.

— Otwórz oczy, to zobaczysz, kretynie — burknął Valdi.

— Tak, teraz widzę światło, Valdi kochany. Aleś ty dla mnie dobry — zapiął zadowolony Jon Ferdinand.

— Ale ty pieprzysz, stary. Wstyd nam tylko przynosisz — powiedział wściekły Valdi, a potem zwrócił się do Bryngeira: — Możesz poprosić któregoś z gospodarzy z okolicznych wyseppek, żeby cię podrzucili jutro po mszy. Wszyscy przyjadą do kościoła na Zielone Świątki — powiedział.

— Ale ja muszę być w Stykkisholmur dzisiaj wieczorem. Ile mam ci zapłacić?

Valdi potrząsnął głową.

— Nie mogę zostawić gospodarki. Muszę być przy synu i tacie. On słabuje już na umyśle.

— A jak ci zapłacę trzy tysiące?

— Trzy tysiące koron?

— Tak.

— To duże pieniądze. — Valdi liczył w myślach. — Jakies pięć wyprawionych foczych skór. Prawie.

— Tak, to niemało, ale bardzo mi zależy. — Bryngeir wyjął portfel z kieszeni spodni.

Valdi nabił fajkę i zapalił.

— Ale będę musiał zabrać ze sobą tatę — odpowiedział. — No i najpierw kupić paliwo. Musisz zapłacić z góry.

— Widzisz — Bryngeir uśmiechnął się i odwrócił do Benniego. — To tylko kwestia ceny. Słuchaj — zwrócił się ponownie do Valdiego. — Właściwie to aż tak mi się do tego Stykkisholmur nie śpieszy.

— Jaja sobie ze mnie robisz? — wycedził Valdi.

Bryngeir roześmiał się.

— Sprawdzalem tylko cenę biletu, przyjacielu.

— Wynocha mi stąd — wściekł się Valdi i prowokacyjnie ruszył w stronę

Bryngeira, który cofając się z uśmiechem, potknął się o kępę trawy i upadł na tyłek. Benni stanął między nimi.

— Zabiorę go stąd i dopilnuję, żeby już się tu nie pojawił — zwrócił się do Valdiego. Pomógł Bryngeirowi wstać i odciągnął go.

— Niech pan nie prowokuje Valdiego — powiedział, kiedy oddalili się trochę od chaty. — Może całkiem stracić panowanie nad sobą. Kiedyś to prawie udusił jednego przyjezdnego w czasie bójki. Facet uratował się, wkładając Valdiemu palec w oko. Dlatego na jedno nie widzi.

Bryngeir nie był zadowolony z tego nieplanowanego odwrotu.

— Można uwolnić go od drugiego oka, jeśli zajdzie taka potrzeba — rzucił ze złością.

— *Dwunaste pytanie. Posiłek huskarłów Haralda. Czwarta litera. Król Olaf zbliżył się do stawu, nad którym bawili się chłopcy. Zawołał ich i spytał Guttorma: „Czego najbardziej byś pragnął, krewniaku?”. „Pól” — odparł chłopak. „A jak wielkie pola chciałbyś posiadać?”. „Żeby cypel cały był zasiany każdego lata” — odparł Guttorm. Na cyplu stało dziesięć gospodarstw. Wtedy zapytał król Halfdana: „A ty najbardziej co byś chciał mieć?”. „Krowy” — odparł pytany. „Ile?” — dociekał król. „Tyle, żeby stanęły na brzegu dookoła jeziora i żeby ciasno im było u wodopoju”. A król na to: „Zaprawdę skromny z ciebie człowiek, gdy o trzodę chodzi, krewniaku”. I pytał dalej. „A ty, Haraldzie, co chciałbyś mieć najbardziej?”. „Huskarłów” — odparł zapytany. „Ilu?”. „Policzyć ich nie umiem, jak i nie policzę innych rzeczy, ale bardzo bym chciał, aby było ich tylu, że na jedną wieczerzę zjedliby wszystkie krowy mojego brata Halfdana”. Król się roześmiał i powiedział: „Zdaje mi się, matko, że oto wychowujesz króla imieniem Harald”. Odpowiedź to „krowy Halfdana”, a czwarta litera to W...*

29

Po kolacji i wieczornych wiadomościach w radiu Grimur przyniósł talię kart i rozdał je w salonie na stole, przy którym Högni i Kjartan popijali kawę. Zawołał Ingibjörg, która kończyła sprzątać w kuchni, i zaczęli partyjkę. Kjartan z lubością obserwował wyspiarzy przy grze. Przeważnie milczeli, poza karcianymi odzywkami i skromnymi okrzykami odnoszącymi się do przebiegu gry. Dało się także zauważyć różne miny i łypanie oczami. Grimur był w walecznym nastroju i nie lubił przeciwności losu. Natomiast Ingibjörg była sprytna i nieźle radziła sobie z mężem.

— Często gracie tutaj na Flatey? — spytał Kjartan.

— Latem nie — odparł Grimur wpatrzony w swoje karty. — Zimą natomiast częściej. Dla zabicia czasu. Bez lew!

Kiedy zrobili sobie przerwę w grze, Kjartan opowiedział im o swoim odkryciu podczas wizyty w bibliotece. Profesor Lund nie był w stanie rozwiązać

zagadki, dlatego napisał klucz na kartce i zabrał ze sobą. I wtedy Kjartanowi przypomniało się, że nadal ma w kieszeni klucz do biblioteki.

— Odniosę klucz Hallbjörg — zaproponowała Ingibjörg. — Idę później do Domu Pośrodku zanieść im kawałek ciasta, żeby miały do kawy w Zielone Świątki.

— Mieszkają same? — spytał Kjartan.

— Żadna z nich za mąż nie wyszła, ale Gudrun ma syna, który urodził się poza małżeństwem — odpowiedział Grimur. — Chłopak teraz jest rybakiem w Akranes i czasem tu przyjeżdża z wizytą. Gudrun jest trochę psychiczna, czasami zupełnie traci kontakt z rzeczywistością. Hallbjörg wzięła ją do siebie z powodu pokrewieństwa i bardzo dobrze się nią opiekuje. My, wyspiarze, lubimy wszyscy te kobiety o dobrych sercach i czasem im coś dobrego podrzucimy. A one też nigdy nie odkładają drutów i to dla nich zawsze jakiś ratunek. Hallbjörg sumiennie zajmuje się naszą biblioteką i dostaje za to jakiś grosz z gminy. W tym roku to, zdaje się, wartość dwóch jagniąt. No i mają emeryturę Hallbjörg. Gudrun i Sigurbjörn ze Svalbardi to bliska rodzina. On też się nimi troskliwie opiekuje.

Po dwóch godzinach kart Grimur i Kjartan poszli na pastwisko po krowy. Nocą bywało jeszcze chłodno i lepiej było bydło zabrać. Ale nie na długo. Noce były coraz jaśniejsze i lato miało się niebawem zadomowić. A wtedy doi się na łące, a krowy całą dobę pozostają na zewnątrz.

Po drodze na pastwisko Grimur opowiedział Kjartanowi o hodowli krów na Flatey. Problemem na dzisiaj pozostawał brak porządnego buhaja rozplodowego. W ostatnich latach na wyspie nie wyhodowano żadnego byczka, więc po rozplodowca jeżdżono na sąsiednie wyspy. A przetransportować takiego na niewielkiej łódce było zadaniem nie lada, choć zazwyczaj obywało się bez wypadku. Tyle że byczek potrzebował zawsze nieco czasu, by dojść do siebie po rejsie, nim był w stanie zająć się krowami.

— My, tutejsi gospodarze, zastanawiamy się nad kupnem na lądzie porządnego byka dobrej krwi. Jeszcze tego lata. Przydałoby się wzbogacić trochę naszą rasę — powiedział Grimur.

Krowy spodziewały się, że ktoś je zaprowadzi do obory, więc czekały, mucząc przy bramie. Thormodur Krakur swoje dwie już zabrał, ale krowy Gudjona z Radagerdi jeszcze się pasły.

— Zabierzemy wszystkie ze sobą — powiedział Grimur. — Zabieramy je na zmianę, ja i szwagier Gudjon.

W drodze do domu spotkali na ulicy mieszkańców Domu na Skraju. Valdi pchał wielką taczkę, a kiedy się zbliżyli, okazało się, że wiezie martwą owcę. Z taczki zwisał rogaty łeb, a szara wełna była mokra i lepiała się od piasku i wodorostów. Valdi ustąpił drogi krowom, które kroczyły dumnie ulicą, a kiedy zbliżyli się prowadzący zwierzęta, postawił taczkę.

— Wójcie — zagał i zaczął nabijać fajkę.

— Tak, Valdi? — zatrzymał się Grimur.

— Słuchaj no. Przypomniało mi się, dlaczego nie zapisałem w zeszycie, jak statek pocztowy odpływał na ląd czwartego września zeszłego roku. I ty też to, wójcie, powinieneś pamiętać.

— Tak?

— Tak, bo dokładnie tego dnia zabrałem się pocztowym do Brjanslaekur, żeby się z moją spotkać. Dlatego nie było mnie tutaj, kiedy statek odpływał. Poprosiłem ojca, żeby zapamiętał, kto się nim zabrał, ale on oczywiście zapomniał i nic nie zapisał.

— Aj — jęknął Grimur. — A dlaczego, drogi Valdi, miałbym pamiętać, że popłynąłeś na ląd?

Valdi zapalił zapalką fajkę i rzekł:

— Kiedy wróciłem tydzień później, okazało się, że ktoś mi ukradł całe paliwo z łodzi. Zgłosiłem się ze skargą, pamiętasz?

— Tak. — Grimur przeniósł przepaszający wzrok na Kjartana. — Teraz pamiętam. Nie udało mi się znaleźć złodzieja.

Valdi schował swój zeszyt do kieszeni, chwycił za taczki i bez pożegnania ruszył z miejsca z dymiącą fajką między zębami. Mały Nonni i Jon Ferdinand szli za nim, trzymając się za ręce.

— Ojoj, zawsze ten pośpiech — usłyszeli głos starego.

— Prawdę mówiąc, były to pamiętne dni — stwierdził Grimur, kiedy cała trójka już się nieco oddaliła. — Valdi popłynął na ląd, żeby zabrać swoją żonę Thorę z tej roboty przy budowie dróg, ale zdecydowanie mu odmówiła. Ona już nie ma cierpliwości do tutejszej biedy. Dopóki żyła stara, matka Valdiego, wytrzymywała jakoś ten znój. Stara była dobrą kobietą, serdeczną wszystkim. Ale po jej śmierci Jon Ferdinand i Valdi schamieli. Młoda kobieta nie powinna mieszkać w takich warunkach. Valdi oczywiście wrócił bez kobiety, rozjuszony do czerwoności, i z każdym darł koty. Wreszcie dorwał się do gorzały i przez wiele dni chodził pijany. Prawdę mówiąc, nie potraktowałem tej kradzieży paliwa poważnie, ale to najwyraźniej głęboko w nim siedzi.

— A co oni zrobią z tym ścierwem owcy? — spytał Kjartan.

— To owca, którą razem z dwoma jagniętami stracił Sigurbjörn ze Svalbardi podczas poniedziałkowego przyptywu na jednym ze szkierów. Słyszałem, że dzisiaj ją tu na brzeg wyrzuciło. To jedna z niedogodności gospodarowania na wyspach. Człowiek traci mnóstwo owiec w morzu. Wiele lat temu w jednej powodzi w gminie utonęło ponad sto zwierząt. Dla tak nielicznej społeczności to wielka strata.

— Ale co oni z tym zrobią? — znowu spytał Kjartan, oglądając się przez ramię na trójkę.

— Dostali pozwolenie, żeby zabrać sobie ścierwo. I zrobią pasztet morski —

odparł Grimur.

Kjartan nie był pewien, czy się nie przesłyszał.

— Pasztet morski?

— Tak. Z mięsa i łoju gotują pasztet. Mięso jest już wystarczająco słone i miękkie po wymoczeniu w morzu i będzie z tego przyzwoite jedzenie. Tyle że niewielu chce się coś takiego robić. Ale dla nich to zawsze jakieś poratowanie.

— *Trzynaste pytanie. Ząbkowe jarla Hakona z Lade. Druga litera. Hakon stał się tak wielkim psem na kobiety, że sięgał po wszystkie, matki czy siostry, dziewice czy mężatki. A i w innych czynach wobec swoich podwładnych stał się okrutny i nadano mu przydomek, który potem do niego przyłgnął — Hakon Okrutny. Gospodarze zebrali siły i ruszyli na wojnę z jarlem, lecz udało mu się ukryć razem z thraellem Karkiem, którego otrzymał jako ząbkowe. W końcu Kark zabił jarla w kryjówce, a jego głowę zaniósł Olafowi Tryggvasonowi. Król zaś odplacił za to Karkowi w ten sposób, że ściął mu głowę. Odpowiedź brzmi „Kark”, a druga litera to A...*

30

Późnym wieczorem małżonkowie w Radagerdi siedzieli w kuchni przy partyjce szachów, gdy usłyszeli, jak Benni wraca do domu. Przy kuchence było ciepło i miło, a w powietrzu unosił się aromat kawy.

— Jest coś do żarcia? — zapytał chłopak.

— W spiżarni są gotowane piersi maskonura — odpowiedziała jego matka Hildur.

— Włóczyłeś się z tym z Reykjavíku? — zaczepił go Gudjon, kiedy Benni wrócił ze spiżarni, odkroił sobie scyzorykiem kęs mięsa i włożył do ust.

— Tak, ale już mi się znudziło. Nie chciał za bardzo rumem częstować. Sam tylko pił.

— Za młody jesteś, żeby pić cały dzień z dorosłymi, Benni — ofuknęła go matka.

— Wcale nie jestem za młody, żeby się trochę napić. A tutaj nigdy nic ciekawego się nie dzieje — rzucił Benni i wyszedł z kuchni. Słyszeli, jak idzie do siebie na strych i włącza swoje radio.

— Wydaje mi się, że chłopak się od nas wyprowadzi, jeśli dłużej będziemy tu mieszkać — zauważyła Hildur. — Już dawno by go tu nie było, gdyby trochę nie kochał się w małej Hafdis ze Svalbardi.

Gudjon skinął głową i przesunął gońca o dwa pola.

Przez chwilę milczeli, koncentrując się na grze. W końcu Gudjon przerwał ciszę.

— Högni powiedział, że byłby zainteresowany kupnem naszej chaty, jeśli zdecydujemy się wyprowadzić. Męczy go już mieszkanie w szkole.

Hildur zastanowiła się chwilę.

— Jeśli sprzedamy dom — odparła — będzie nas stać na oddanie długu w kooperatywie i wykupienie biletów do Stykkisholmur. Ale nic więcej. Szach!

— Szach? Hmm, na pewno dostaniemy też coś za nasze morgi. Sigurbjörn potrzebuje łąk. A pewnie ma coś na książeczce odłożone i będzie mógł zapłacić. Jak nam się uda wydzierżawić ziemię na łądzie, to możemy ze sobą zabrać krowy i owce. A jak nie, to ubijemy i oddamy za długi w kooperatywie.

Gudjon schował króla za hetmana.

— A jak nie załatwimy ziemi? — zmartwiła się Hildur.

Gudjon uśmiechnął się pocieszająco.

— Tobie zgrabnie idzie filetowanie, a ja mogę się nająć do roboty. No i zawsze mogę się zająć stolarką i pływać na połowy, jak mi się uda naprawić silnik.

— Przykro tak stąd wyjeżdżać i zostawiać tu wszystkich przyjaciół. — Hildur przestawiła skoczka.

— Możemy tu przyjeżdżać na wiosnę i pomagać w zbiorach. Ale zimą nie da się już tu utrzymać na tak małej gospodarce.

— Naprawdę myślisz, że Högni może kupić dom?

— Tak. Jakby co, to na pewno dostanie jakiś kredyt — powiedział Gudjon, przesuwając gońca.

— Zastanowimy się nad tym latem, a decyzję podejmiemy jesienią — podsumowała gospodyni i skoncentrowała się na szachach.

— Tak, ale wydaje mi się, że trzeba się na to zdecydować — stwierdził Gudjon. Miał problemy z jednoczesnym skupieniem się na grze i rozmowie. Zupełnie zagubiony patrzył na szachownicę i w końcu przestawił skoczka.

Hildur przesunęła wieżę do krawędzi.

— Szach i mat!

— *Czternaste pytanie. Odciął ucho króla Sverrira. Trzecia litera. Niedaleko leżał ciężko ranny człowiek. Był nim Brynjolf, syn Kalfa, posłańca z Wysp Owczych. Podniósł się na kolana i ciął mieczem w stronę szyi króla Sverrira. Ten jednak zasłonił się stalowym szyszakiem i to tam uderzyło ostrze broni. Miecz odciął królowi ucho i zatrzymał się dopiero na szyi. Rana była bardzo wielka. Zaraz też raziły Brynjolfa włócznie i miecze tak gęsto, że nie mógł się nawet obalić. Odpowiedź brzmi „Brynjolf”, a trzecia litera to Y...*

Niedziela, 5 czerwca 1960

31

Państwowe radio postarało się, aby wszyscy rodacy wiedzieli, że zaczęły się Zielone Świątki. Z odbiornika Ingibjörg wydobywały się dźwięki psalmów rozchodzące się po wójtowskim domu. Chór Islandzkiego Radia śpiewał z graduaułu islandzki psalm zielonoświątkowy.

Wciąż było pogodnie, zachmurzenie małe. Znaczący pogody spoglądali w niebo i przewidywali ładny dzień, a pod wieczór deszcz. Byłoby to całkiem korzystne, bo łąki potrzebowały wilgoci, by trawa szybko rosła. Studnie też powoli wysychały. Ale ze względu na gości przybyłych na mszę dobrze, że dzień miał być bez opadów.

W osadzie panował odświętny nastrój, który Kjartan odczuł zaraz, gdy tylko koło dziesiątej zszedł na dół i wyjrzał na zewnątrz. Wójt Grimur był ubrany w ciemny garnitur, umyty i ogolony. Włos zaczesany do tyłu, wąsik wyszczotkowany. Ingibjörg miała na sobie piękny serdak i wyperfumowała się. Śniadanie było na słodko.

Na wysokim maszcie na kościelnym wzgórzu powiewała leniwie poruszana słabymi podmuchami ciepłego wiatru flaga państwowa. Tu i ówdzie ludzie spacerowali, nikt nie pracował. Dzień święty był święcony, szczególnie że to Zielone Świątki.

Z kuchennego okna Grimur śledził nadpływające z pozostałych wysp łodzie motorowe. A na łodziach przybywali wierni.

— Bardziej dostojnie było, kiedy łodzie z wysp przyplływały pod białymi żaglami. Myślę, że Bóg Wszechmogący bardziej doceniał tamten widok — powiedział przygaszony i dalej recytował nazwy łodzi i imiona tych, którzy najprawdopodobniej na nich płyną. Co jakiś czas brał do ręki starą lornetkę i podnosił do oczu, szukając potwierdzenia swoich przypuszczeń.

— Tak, tak, wiedziałem, że to łódka ze Skaley — mówił zadowolony.

Podróżni na łodziach mieli na sobie codzienne ubrania, a odświętne stroje wieźli w walizkach. Podobnie jak drugie śniadanie w trojach i kawę w termosach. Schodzili na ląd na przystani Eyjolfura i znikali w domach przyjaciół lub krewnych, po czym pojawiali się w osadzie uroczyście odziani. Niektórzy dyskretnie pukali w okno sklepiarza Asmundura, a on wpuszczał ich tylnymi drzwiami we wschodniej ścianie domu. Sklep był oczywiście w dzień mszy świętej nieczynny, ale skoro już ludzie przyjechali do osady, należało im jakoś dopomóc. Kooperatywa natomiast była zamknięta na cztery spusty, co było zrozumiałe, gdyż znajdowała się tuż obok domu pastora, a pastor sam zasiadał we władzach spółdzielni.

Organista Högni pozbiarał chórzystów, gdy już mieszkańcy okolicznych wysp napłynęli, i zagonił ich wszystkich wcześniej do kościoła, aby przeprowadzić próbę i rozgrzewkę przed mszą.

O wpół do drugiej odświętnie ubrany kościelny Thormodur Krakur wyszedł z domu i ciągnąc swój wózek, przeszedł przez osadę. Na wózku płasko siedziała jego małżonka Gudridur. Kiedy dotarli do domu pastora, wyszli do nich ubrani do mszy pastorostwo i razem ruszyli do kościoła.

Wójtowa Ingibjörg należała do chóru kościelnego i wyszła z domu razem z organistą, gdy tylko pozmywała po obiedzie. Grimur i Kjartan siedzieli w salonie, popijali kawę i solidarnie milczeli. Grimur przeglądał egzemplarze gazety „Timinn” z całego tygodnia, które poprzedniego dnia dotarły ze statkiem pocztowym, a Kjartan rozwiązywał łamigłówkę w duńskim czasopiśmie i myślał o Gastonie Lundzie. Usiłował stworzyć sobie jakiś obraz wydarzeń na podstawie tych nielicznych informacji, jakie mieli.

— A niech pan mi powie jedną rzecz — zagał, żeby skupić na sobie uwagę Grimura. — Czy wiadomo, kto jest ojcem dziecka Gudrun z Domu Pośrodku?

Grimur zdziwił się.

— Nie. Chłopak był już odchowany i poszedł na morze, kiedy Gudrun sprowadziła się tu do Hallbjörg. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś mówił o ojcu.

— Valdi z Domu na Skraju zapisał w swoim zeszycie, że syn Gudrun przyплыł pocztowym tego dnia, kiedy zjawił się tu Gaston Lund.

Grimur skrzywił się i potrząsnął stanowczo głową.

— Zaczyna pan troszkę przesadzać, towarzyszu — powiedział.

— No i jeszcze to z tym napisem — zauważył nieco podekscytowany Kjartan. — Wydawało nam się, że Lund na Ketilsey usypał z małych kamyków niedokończony napis „Żywe”. A łódka Sigurbjörna ze Svalbardi nazywa się Żywe Srebro. Zdaje się, że on i Gudrun są spokrewnieni?

Grimur wydawał się zmartwiony.

— Nie wpadłem na to z nazwą, ale bądźmy w tej sprawie ostrożni i nie biegajmy z tym od razu do stołecznej policji.

— Dlaczego nie? — zdumiał się Kjartan.

— Bo to strasznie naciągane i mogłoby mieć bardzo zły wpływ na tutejszych ludzi, gdyby takie historie zaczęły krążyć. Fałszywe oskarżenia potrafią wyrządzić kolosalne szkody.

Kjartan umilkł. Słowa wójta uraziły go do żywego. Przecież sam powinien był to wiedzieć.

Drugie bicie dzwonów zmusiło wójta, by wstał i odłożył gazety. Chrząknął i oznajmił, że pora ruszać. Kjartan poszedł za nim. Czuł oczywiście, że będzie musiał być na mszy, tak jak wszyscy inni. Nie widział powodu, aby prowokować dyskusje, choć niespecjalnie uśmiechało mu się uczestnictwo w obrzędzie

religijnym. Od konfirmacji nie brał udziału w mszy, poza kilkoma pogrzebami. Ale może to będzie dobra okazja, żeby przyjrzeć się wyspiarzom, nie będąc jednocześnie centralnym obiektem zainteresowania.

Razem z Grimurem podeszli pod kościół wolnym, pełnym godności krokiem, tak jak i inne grupki podążające tą samą drogą. Kolejni przybywający zbierali się przed drzwiami kościoła, rozdając na wszystkie strony powitania i całusy.

Odświętnie ubrane dzieciaki bawiły się na zboczach, kiedy zjawili się tam trzej mieszkańcy Domu na Skraju. Przesadą byłoby twierdzić, że ubrali się stosownie do święta. Spośród rozbawionej dzieciarni dwóch chłopców powitało ich okrzykami:

— Nonni krowiak! Nonni krowiak!

Zabawa ta jednak szybko się skończyła, bo Högni, który wyszedł z kościoła zaczerpnąć powietrza po próbie chóru i stał obok, natychmiast na nich nakrzyczał, więc zawstydzeni zamilkli.

— Jak oni na niego mówili? — spytał Kjartan.

— Krowiak — odparł Grimur.

— A co to takiego?

— Tak mówiliśmy tutaj na pierwszorzędny opał z krowiego łajna uzyskiwany przez mieszanie łajna i wysuszonych ptasich szkieletów. Wprawdzie dzisiaj ogrzewamy domy przeważnie olejem, ale jeszcze niedawno opał pozyskiwany domowymi sposobami był najpopularniejszy. A w Domu na Skraju stosują stare metody i Nonni ma wiosną za zadanie chodzić po oborach i zbierać łajno na paliwo. Potem wystawiają je na łąkę, żeby wyschło. Kiedy byłem dzieckiem, tym zajmowało się moje pokolenie i z szacunkiem podchodziliśmy do tej pracy. A teraz krowiak to już tylko przezwisko. Nie na tym powinien polegać postęp.

Ponownie rozległo się bicie kościelnych dzwonów i ludzie ruszyli wolno w stronę wąskich drzwi. Kjartanowi kościół zdał się zupełnie inny niż jeszcze kilka dni wcześniej, kiedy z Johanną przeprowadzali oględziny zwłok w skrzyni. Ale wtedy też nie rozglądał się wkoło. Teraz płonęły liczne świece, a obraz nad ołtarzem ożył. Przedstawiał Jezusa Chrystusa i dwóch apostołów, a przypominał mu święte obrazki, jakie w dzieciństwie rozdawano w szkółce niedzielnej. Grimur puścił go przed sobą do ławki, gdzie usiadł obok gospodarza Sigurbjörna. Najwyraźniej Gudjonowi udało się go ostrzec po wizycie Kjartana, ale trochę go pokaleczył na skroniach. Kjartan zaczął bezwiednie przyglądać się siedzącym przed sobą ludziom. Rozpościerał się przed nim widok najrozmaitszych głów. Czaszki różnych kształtów i różne fryzury. Większość kobiet z warkoczami. Wszyscy wymyjni i wyprasowani, silny zapach mydła mieszał się z mdłą wonią kościelnej stęchlizny. Choć prawdę mówiąc, gospodarza Sigurbjörna otaczała delikatna woń gorzały, a chłopina zdawał się raczej wczorajszy.

Na górze zagrzmiały organy i chór rozpoczął psalm. Kjartan wsłuchał się w muzykę. Zdała mu się wyjątkowo uspokajająca. Z pewnością nie był to jeden z lepszych chórów kraju, ale muzyka organowa i chóralny śpiew przyjemnie współbrzmiały.

Wielebny Hannes wyszedł z zakrystii i zwrócił się do parafian. Dwukrotnie odkaszlnąwszy, rzekł:

— Drodzy parafianie. Dzisiejsze święto chciałbym zacząć od smutnej informacji, że oto Björn Snorri Thorvald, ojciec Johanny, naszej lekarki, odszedł we śnie minionej nocy. Jak zapewne wszystkim wam wiadomo, staruszek poważnie chorował i dziś Pan nasz Wszechmogący powołał go do siebie, kończąc jego doczesne cierpienia. Jego oddana córka czuwała przy nim, kiedy przyszło powołanie, a ja zajrzałem do nich z rana i powierzyłem go boskiej opiece. Zwłoki zostaną wystawione w domu we wtorek, a złożone do grobu w środę. Złączmy się w modlitwie.

Wierni spuścili głowy, a wielebny rozpoczął modlitwę. Kjartan zastanawiał się, czy lekarka jest na mszy. Wydawać by się mogło, że każde dziecko mieszkające na wyspach znajduje się w kościele. Szybko obejrzał się za siebie, ale Johanny nie zobaczył. Przy samych drzwiach natomiast zauważył, jak mały Nonni z Domu na Skraju podnosi się z ławki i wymyka po cichu przez otwarte drzwi. No cóż, pewno sam by tak zrobił, gdyby miał sposobność. W środku od razu zrobiło się gorąco, brakowało powietrza.

Znów zabrzmiały organy i drugi psalm.

— *Piętnaste pytanie. Co król chciał za topór? Ósma litera. Król trzymał w ręku topór nabijany złotem, ze srebrem przetykanym trzonkiem i z pięknym kamieniem w srebrnej oprawie z przodu toporzyska. Halli co chwilę zerkał na toporek. Król szybko to zauważył i spytał, czy Halliemu podoba się ta broń. Ten odparł, że tak. „A widziałeś kiedy lepszy topór?”. „Nie sądzę” — odparł Halli. „A dałbyś się wychędożyć za niego?” — zapytał król. „Nie — odpowiedział Halli — ale współczuję waszmości, że chcecie go sprzedać za tyle, ileście za niego dali”. „Niech ci będzie, Halli — oznajmił król. — Weź go sobie i niech ci służy jak najlepiej; ja go dostałem, to i za tyle go sprzedam”. Halli podziękował królowi. Odpowiedź brzmi „wychędożyć”, a ósma litera to Ż...*

32

Fridrik Einarsson nie wydawał się szczególnie zadowolony, kiedy śledczy Dagbjartur zjawił się u niego po raz drugi w ciągu dwóch dni, i to po południu w Zielone Świątki. Ale zaprosił go do środka, posadził i dopiero wtedy z niepokojem spojrzął na zegarek.

— Śpieszymy się z żoną na wesele. Nie chciałbym się spóźnić — oznajmił. Dagbjartur postanowił się streszczać.

— Porównaliśmy sporządzoną przez pana listę islandzkich znajomych Gastona Lunda z listą mieszkańców Flatey, którą nam wczoraj przysłano. Na obu jest Björn Snorri Thorvald.

— Tak — odpowiedział Fridrik. — Mogłem to panu powiedzieć od razu wczoraj. Doskonale wiedziałem, że Björn Snorri i jego córka Johanna się tam przeprowadzili, ale nie miałem pojęcia, że to ważne. Zresztą w południe słyszałem w radiu, że Björn Snorri nie żyje. Kurczy się liczba moich starych kolegów.

— Nie byli zwaśnieni? Björn Snorri i Gaston Lund?

Fridrik spojrział zdumiony na Dagbjartura.

— Co pan ma na myśli?

— Powiedział pan, że profesor spierał się czasami ze swoimi islandzkimi znajomymi o manuskrypty.

Fridrik uśmiechnął się.

— Björn Snorri nie spierał się o manuskrypty. Był jednym z niewielu Islandczyków, którzy nie mieli zdania co do tego, gdzie należy je przechowywać. Chciał tylko, żeby znajdowały się w dobrym miejscu, gdzie miałyby do nich łatwy dostęp...

Umilkł nagle i zmarszczył brwi.

— Łatwy dostęp — powtórzył z ociąganiem.

Dagbjartur czuł, że to nie wszystko, i czekał spokojnie, aż Fridrik znów zacznie mówić.

— Ale to go bolało. Po wojnie Björn Snorri stracił posesję w Kopenhadze, a razem z nią dostęp do rękopisów. Pamiętam teraz dokładnie, że miał pretensje do swoich duńskich kolegów, w tym do Lunda. W sposób zbyt obcesowy wymówiono mu mieszkanie. Ale koniec wojny to były szczególne czasy. Skumulowany gniew przyczynił się do wielu nieszczęść. Zaraz po tym, jak wyrzucono ich z mieszkania, wzięliśmy ich z żoną do siebie i kilka tygodni później wrócili razem z nami do Islandii. Johanna i mój najmłodszy syn Einar byli niemal zaręczeni w liceum. Do chwili, gdy chłopak zginął w strasznym wypadku.

Głos się Fridrikowi załamał, ale po chwili mężczyzna kontynuował.

— Myślę, że Björn Snorri doszedł do siebie po upokorzeniach, jakich doznał w Kopenhadze. Od kilku lat chorował. Podejrzewam, że w końcu przegrał walkę z rakiem.

— Może mi pan przybliżyć osobę Björna Snorriego? — spytał Dagbjartur.

Fridrik zastanawiał się przez chwilę.

— Björn Snorri był wyjątkowo utalentowanym myślicielem, znakomitym uczonym. Niewielu jemu współczesnych osiągnęło więcej na niwie badań islandzkich rękopisów. Zamiast wbijać wzrok w tekst, tworzył sobie obraz autorów. Stawiając się na ich miejscu, potrafił wyobrazić sobie pierwowzór, według którego pisali. Czy dany skryba miał w zwyczaju ostrzyć pióro, kiedy

przewracał kartę oryginału? Kiedy skryba był w najlepszej formie — na początku dnia czy później? Czy w określonych porach częściej zdarzały mu się błędy? Czy podobał mu się tekst i śpieszył się, przepisując dzieło, żeby je oddać? Czy może nudził go, więc dawał sobie czas, aby pochylać się nad literami i ornamentacją inicjałów? W jakim środowisku uczyli się fachu i jakie były ich indywidualne cechy? Björn Snorri tworzył sobie obrazy tych ludzi i zaglądał im przez ramię podczas pracy. Ale był tak bardzo zajęty tymi swoimi średniowiecznymi przyjaciółmi, że zupełnie zapomniał o współczesności. Współcześni mu ludzie byli tak blisko, że nie znalazł czasu, aby zapoznać się z ich poglądami. „Jak się dzisiaj masz?” — takiego pytania nigdy nikomu nie zadał. Potrafił za to prześledzić jeden akapit przez kilka wersji rękopisów i ustalić jego rozwój na podstawie indywidualnych cech każdego ze skrybów. Nie miał czasu ani ochoty zapoznawać się z sytuacją swoich współczesnych. Spodziewał się po prostu, że jeśli ktoś będzie miał do niego interes, to sam się zgłosi. Mowy ciała i niedopowiedzeń nie rozumiał. Codzienność uważał za nieistotną, gdy usiłował zrozumieć i objaśnić siedemsetletnie notatki na marginesach wytartego pergaminu. Zdobył niezwykłą wiedzę. I musiał się tym jakoś podzielić. Sztukę pisania posiadał raczej w stopniu średnim, a spisywanie jakichkolwiek wniosków go nużyło, ale mógł opowiadać bez końca o tych swoich zainteresowaniach. I nie stanowiło dlań różnicy, w którym z nordyckich języków o nich mówi. Nawet niemiecki też nieźle sobie przyswoił. Swoje odczyty wykorzystywał, aby formułować własne wnioski i tezy, porządkować je i osadzać w logicznym kontekście. Wykład był ostatnim etapem tworzenia teorii i nie interesowało go nawet, czy ktokolwiek słucha. Jeśli wykład nie trafiał do studentów siedzących u niego na zajęciach, wówczas po prostu mówił sam do siebie albo do słuchacza, który zawsze był blisko i nie zawodził, czyli do małej Johnny. I zawsze wykorzystywał ten czas, aby znaleźć jakąś nową płaszczyznę poruszanej kwestii, i nawet w połowie wykładu w jakimś nieznanym mieście potrafił czynić oryginalne odkrycia. Ale jak tylko mu to wszystko zabrano, zamknął się w sobie. Nie zajmował się niczym, bo nie umiał się wyżyć przy żadnych codziennych zajęciach. Wpadł w depresję i topił ból w alkoholu. To się mogło skończyć tylko w jeden sposób.

Fridrik spojrział na zegarek i wstał, ale Dagbjartur ani drgnął.

— Jak pan sądzi, jak Björn Snorri mógł zareagować, kiedy Gaston Lund pojawił się na Flatey?

Fridrik wzruszył ramionami.

— Prawdę mówiąc, nie mam bladego pojęcia. Może zamknął się w sobie, co mu się zdarzało, a może obu uradowało to spotkanie. To nawet bardziej prawdopodobne.

— Czy możliwe, że Björn Snorri mógł chcieć wyrządzić Lundowi jakąś krzywdę?

Fridrik usiadł i spojrzał ze złością na Dagbjartura.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Może to on spowodował, że Lund znalazł się na tej wyspie.

— Przez ostatnie lata Björn Snorri był ciężko chory — zauważył Fridrik.

— A jego córka?

— Pyta pan, czy Johanna Thorvald mogła wyrządzić profesorowi Lundowi krzywdę?

— Tak.

Fridrik zerwał się z miejsca.

— W latach, gdy Johanna była przyjaciółką mojego syna, traktowałem ją jak córkę. Nie życzę sobie, aby pan tak o niej mówił — powiedział i podszedł do drzwi. — Proszę wybaczyć, ale żona na mnie czeka.

Dagbjartur wstał.

— Przepraszam. Nie chciałem pana zdenerwować i nie będę zajmował panu więcej czasu. A może mi pan wskazać kogoś, kto dobrze zna Björna Snorriego i jego córkę?

— Moja córka Thorgerdur studiowała medycynę w tym samym czasie co Johanna. Od tamtego czasu utrzymują ze sobą dobry kontakt. Thorgerdur pracuje w szpitalu krajowym. Niech się pan z nią skontaktuje.

Dagbjartur już wychodził, ale zatrzymał się w drzwiach i spytał pojednawczo:

— A matka dziecka Lunda? Może wie pan, gdzie mógłbym się czegoś na jej temat dowiedzieć?

Fridrik spojrzał na niego ponuro.

— Rozmawiał pan już z Arnim Sakariasem o zagadce?

— Tak.

— A pytał go pan o Gastona Lunda?

— Nie.

— To niech pan spyta.

— *Szesnaste pytanie. Jego głowa, choć pozbawiona tułowia, zabiła człowieka. Druga litera. Umówili się jarl Szkotów Melbrigdi Ząb i jarl Sigurd, aby ułożyć się ze sobą. Każdy miał zabrać ze sobą czterdziestu ludzi, ale Sigurd na każdym koniu posadził dwóch jeźdźców. Kiedy ujrzał ich jarl Melbrigdi, rzekł do swoich ludzi: „Zdradził nas jarl Sigurd, bo widzę dwie nogi na każdym końskim boku”. Wywiązała się zacięta walka i zginął Melbrigdi i cała jego drużyna. Sigurd kazał zabrać ich głowy. Wieźli je do domu, radując się ze zwycięstwa. Po drodze chciał Sigurd pogonić swojego konia i uderzył tydką w ząb wystający z głowy Melbrigdiego. Zrobiła się rana, zgorzel i to doprowadziło do śmierci Sigurda. Odpowiedź brzmi „Melbrigdi”, a druga litera to E...*

Po zielonościątkowej mszy w kościele na Flatey wierni delektowali się kawą na zboczu kościelnego wzgórza. Pogoda wciąż była wspaniała, dlatego czas spędzano na zewnątrz — w przeciwnym razie na spotkanie po mszy otwarto by podwoje świątlicy. Przybysze z okolicznych wysp wyciągnęli przywieziony prowiant i wnet utworzyły się niewielkie grupki podzielone ze względu na wiek i płeć. Wójt Grimur znalazł się w grupie starszych gospodarzy. Najpierw dyskutowano na temat Duńczyka, który zmarł na Ketilsey. Jeden z mieszkańców okolicznych wysp był zdania, że to zagraniczni piraci zostawili go na tej wyspie. I może do tego jakiś skarb. Czy ktoś to sprawdził? Grimur przyznał, że śledztwo wykazało, iż na wyspie nie ma żadnego skarbu. Potem snuto przypuszczenia, że w najbliższych pokoleniach Ketilsey stanie się wyspą nawiedzoną, więc nie będzie z niej żadnego pożytku. Większość się z tym zgodziła, a rozmówcy spoglądali ukradkiem na mieszkańców Domu na Skraju, czyli Valdiego i Jona Ferdinanda, którzy żyli dzięki temu, co znajdują na tym szkieście. Ci dwaj zresztą nie bratali się z innymi. Pili kawę i pogryzali jakieś ciasto, którym ktoś ich poczęstował. Chłopaka nigdzie nie było widać.

Grimur zakomunikował wieśniakom, że na Flatey przybył dziennikarz z Reykjavíku z zadaniem pozyskiwania informacji na temat tego smutnego zgonu. Poprosił, by ludzie wazyli słowa w rozmowach z tym gościem. Nie ma najmniejszego powodu mieszać mieszkańców wysp z tym nieszczęsnym wydarzeniem. I bez tego dość jest trosk.

Potem zaczęły się rozmowy na temat gospodarowania i perspektyw. Ceny produktów nastrajały optymistycznie. Szef kooperatywy słyszał, że za dobrą foczą skórę można dostać osiemset koron, a za kilo oczyszczonego ptasiego pierza co najmniej tysiąc czterysta. Jeśli utrzyma się przyzwoita pogoda, ten rok może być jednym z lepszych dla wyspiarskiej gospodarki.

— *Siedemnaste pytanie. Najsprytniejszy z dowódców. Pierwsza litera. Waregami nazywano tych Normanów, którzy zaciągali się na służbę w Mikligardur. Ich dowódca na imię miał Harald. Mówiono mu Nordbrigt... Ruszyli na kolejne miasto, większe i trudniejsze do zdobycia. Na polach wokół kwitły drzewa o solidnych konarach. Ptaki z miasta latały tam za dnia, a wieczorem wracały do gniazd pod strzechami. Nordbrigt oznajmił swoim ludziom: „Niedaleko miasta można znaleźć glinę, po którą sięgniemy. Jest równie mocna co kłajster. Potem oklejmy gliną drzewa rosnące poza murami miejskimi”. Tak też się stało, a ptaki przylepiły się do gałęzi, gdy przyleciały za karmą. Tym sposobem chwycili naraz wiele drobnego ptactwa. Wtedy Nordbrigt rzekł: „Teraz weźmiemy drzewo najbardziej uschnięte i najłatwiej palne i siarką natrzemy, i nieduży ogień podłożymy, i otoczmy woskiem. Taki ładunek uwiążemy ptakom do pleców, ale tak, aby nie stanowił zbyt wielkiego ciężaru i by mogły latać. I kiedy noc zapadnie,*

uwolnimy je wszystkie razem z bagażem i zgaduję, że zaraz polecą do swoich gniazd w mieście, jak to mają w zwyczaju”. Tak uczyniono i jak tylko ptaki zostały uwolnione, od razu poleciały do miasta, do swych gniazd i piskląt. A domy wszystkie strzechami były kryte. Nie trzeba było długo czekać, nim zajęło się pierze ptaków, potem strzechy i za chwilę płonęło już wszystko. Wtedy dopiero wojsko się uzbroiło i ruszyło do ataku na miasto. Mieszkańcy grodu musieli teraz walczyć i z ogniem, i z okrutnym atakiem wojsk. Nie byli w stanie się obronić. Odpowiedź brzmi „Harald”, a pierwsza litera to H.

— *Lund napisał tu słowo „Nordbrigt” — powiedział Kjartan.*

— *Zatem odpowiedź brzmi H albo N.*

34

Dagbjartur spędził resztę zielonoświątkowej niedzieli na poszukiwaniach Arniego Sakariasa. Nie było go w domu przy Raudararstigur, na basenie miejskim ani w znajomej kafeterii.

— Niech pan spróbuje w Hressingarskalinn — powiedział gospodarz pływalni. — Albo w Laugavegur 11.

I to właśnie w kawiarni przy Laugavegur 11 Dagbjartur znalazł poetę w gronie dobrych przyjaciół. Ten przedstawił śledczego swoim kompanom.

— Ów zacny człowiek pracuje dla policji śledczej i jest specjalnym łącznikiem tego szacownego wydziału z poetami i pisarzami. Panowie, czapki z głów.

Dagbjartur skinął głową na powitanie, po czym zadał Arniemu Sakariasowi pytania: czy znał Gastona Lunda i wiedział o tym, że Lund miał w Islandii dziecko?

— Pytania to bardzo poważne — odpowiedział Arni Sakarias. — Ale nie da się na nie odpowiedzieć na pusty żołądek. Idziemy do hotelu Borg na wieczerzę, mielony z jajkiem sadzonym, na koszt szefa policji.

Dagbjartur nie był całkiem pewien, czy uda mu się uzyskać zwrot ogromnych kosztów, ale nie chciał ryzykować ani denerwować Arniego Sakariasa. Poeta nie miał obowiązku odpowiadać na jego pytania, więc lepiej chyba go nie drażnić. Jeden niedrogi posiłek nie był przesadą, jeśli w zamian uzyskałby cenne informacje.

Idąc w dół ulicą Laugavegur, Arni Sakarias nie miał ochoty udzielać odpowiedzi. Zamiast tego wygłosił odczyt na temat poezji współczesnej. Dopiero kiedy w hotelu Borg zamówili kolację, zajął się prośbą policjanta.

— Pyta pan o to, co się zdarzyło podczas wizyty króla Chrystiana X w czerwcu 1936 roku. Monarcha zachowywał jeszcze wtedy ostrożność po poprzedniej wizycie związanej z jubileuszem Althingu w 1930 roku. Gdziekolwiek się pokazał, wszędzie mówiono o sagach staroislandzkich, zupełnie jakby miał je

znać na pamięć, tymczasem on nigdy nie wiedział, co ma powiedzieć. Dlatego tym razem wziął ze sobą swojego poddanego, którego w tym temacie nikt nie był w stanie zagiąć. Gastona Lunda. Lund miał wszędzie chodzić za królem i odpowiadać w jego imieniu, gdyby poruszono temat sag. Rząd islandzki nie był z tego zadowolony, gdyż obawiali się, że duński specjalista zagnie Islandczyków w temacie narodowych skarbów. Wezwali więc islandzkiego specjalistę, który miał przysłuchiwać się rozmowom i w razie czego wtrącać swoje trzy grosze. To mnie przypadło w udziale to zadanie. Już na nabrzeżu widać było, że Lund dorósł do swojej roli, bo król wygłosił krótkie przemówienie po islandzku. Następnego dnia zorganizowano koszmarną wycieczkę: Gullfoss, Geysir, nocleg w Laugarvatn. Ja i Gaston Lund byliśmy jak dwa koguty wystawione do walki przeciwko sobie, ale jak to bywa zazwyczaj w walkach kogutów, było to głównie przebieranie nogami, machanie skrzydłami i bardzo mało walenia dziobem. A potem się uspokoił i wszystko zakończyło się wielką pijatyką.

Arni Sakarias roześmiał się na to wspomnienie, po czym dalej ciągnął swoją opowieść.

— Następnego dnia w drodze do Reykjavíku zatrzymaliśmy się w elektrowni wodnej Sogsvirkjun, gdzie odbył się jakiś idiotyczny pokropek. A wieczorem w hotelu Borg był bankiet i tu zaczyna się poważna część tej historii.

Sakarias pochylił się nad stołem i ściszył głos.

— Przyszedłem do hotelu wcześniej, bo miałem do Gastona Lunda sprawę i chciałem z nim pogadać przed przyjęciem. Zaanonsowałem się w recepcji. Posłali do niego do pokoju boya z wiadomością, że jestem. Czekałem cierpliwie, bo wiedziałem, że przygotowuje się do przyjęcia i może to zająć trochę czasu. W holu przed wejściem na salę bankietową zbierali się zagraniczni goście; przywitałem się z tymi, których znałem. Pomimo tłumy zauważyłem młodą kobietę, która usiadła w fotelu i najwyraźniej na coś czekała. Wyglądała bardzo sympatycznie, elegancka, ale bez luksusów. Obok niej stał chłopiec, może dziesięcioletni. Również bardzo zadbany i czysty. Nie rzucali się w oczy i pewno byłem jedynym, który zwrócił na nich uwagę. Mimo że kobieta była sporo młodsza ode mnie, pozwoliłem sobie zerkać na nią od czasu do czasu. Żadna z kobiet zaproszonych na przyjęcie jej nie dorównywała, a ja mam to do siebie, że zawsze zwracam uwagę na piękne kobiety, jeśli tylko nadarzy się okazja. Minęła dobra chwila, nim zjawił się Gaston Lund. Stałem nieco z boku i rozmawiałem z jedną z osób towarzyszących królowi, więc nie od razu spostrzegłem, że schodzi na dół. A potem zauważyłem, że stoi na najniższym stopniu schodów i patrzy wystraszony na kobietę i chłopca, którzy zmierzają w jego stronę. Kobieta coś do niego powiedziała i wyciągnęła dłoń, by się przywitać. Zareagował bardzo dziwnie: nie odpowiedział na jej powitanie, a prawą rękę schował za plecy, jakby się bał, że ona jej dotknie. Wtedy kobieta ujęła chłopca za ramiona, lekko pchnęła w stronę Lunda i głośno powiedziała po duńsku:

„Gastonie Lund, oto twój syn”. Oniemiały Lund cofnął się o dwa stopnie do góry i patrzył na nich, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Zaczęło to wzbudzać zainteresowanie. Kobieta rozejrzała się błagalnie na boki, po czym znów przeniosła wzrok na Lunda i poprosiła go o szczerą rozmowę. Wówczas Lund jakby wybudził się ze śpiączki. Przywołał konsjerżę, wskazał ręką w stronę kobiety i chłopca i krzyknął: „Precz, precz!”. Chłopiec, do tej pory niezwykle grzeczny, nagle zaczął się drzeć wniebogłosy, a kobieta... No cóż, kobieta... W życiu nie byłem świadkiem czegoś równie przykrego. Godność, jaką do tej pory miała, znikła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zgarbiła się i wbiła otępiały, pusty wzrok w podłogę. Milczała. „Precz! Precz!” — krzyczał przerażony Lund, wymachując rękoma. Konsjerż wziął kobietę pod ramię, chwycił chłopca za kark i niemal wyciągnął ich z budynku. Świadcami tego zdarzenia byli wszyscy zgromadzeni w holu. Patrzyli na Lunda. Obrócił się na pięcie i wbiegł po schodach. Słowa kobiety wciąż dźwięczały w holu, bo ludzie je powtarzali. „Powiedziała, że chłopiec jest jego synem” — mówiono po islandzku i duńsku. Ci, którzy lepiej niż inni znali Gastona Lunda, wspominali jego wizytę w Islandii latem 1926 roku. Czy to możliwe, że pozostawał w związku z tą kobietą i spłodził tego chłopca? Jakakolwiek byłaby prawda, jego zachowanie uznano za pożałowania godne i już do końca wizyty królewskiej oficjalnie się nie pokazywał. Historia ta dotarła do Kopenhagi i uznano to za plamę na honorze tego człowieka. Ja nie miałem i nie mam oporów, by o tym mówić, kiedy mnie ktoś o to pyta. Myślę, że Gaston Lund aż do wizyty ostatniej jesieni nigdy nie odwiedzał Islandii.

Arni Sakarias skończył i zajął się jedzeniem.

— A kim jest ta kobieta? — zapytał Dagbjartur.

Literat kręcił głową, przeżuając, a skończywszy, rzekł:

— Tego nikt nie wie. Nikt z obecnych w hotelu nie znał jej nawet z widzenia i nigdy więcej jej tam nie widziano. Usiłowałem ją odnaleźć, ale bez skutku. Nikt w mieście nie kojarzył kobiety, którą opisywałem. Najprawdopodobniej nie pochodzi z Reykjavíku. Nasi rodacy w Kopenhadze prześledzili islandzką trasę Gastona Lunda z lata 1926 roku, ale nikt nie kojarzył, aby blisko przyjaźnił się z jakąś dziewczyną. Nikomu nie przyszło nawet do głowy, aby wspomnieć o tym przy Lundzie, i powoli Kopenhaga zapomniała o tej historii.

— *Osiemnaste pytanie. Konie go nie niosły. Trzecia litera. Rögnvald wziął za żonę Ragnhildę, córkę Hrolfa Nosa. Ich synem był Hrolf, który podbił Normandię. Był tak potężny, że żadne konie nie były w stanie go unieść. Mówiono nań Hrolf Wędrowiec. Od niego wywodzą się jarlowie z Rouen i królowie Anglii. Odpowiedź brzmi „Hrolf”, a trzecia litera to O.*

Ale Kjartan dodał:

— *Tamten twierdzi, że to Wędrowiec, a wtedy trzecia litera to D.*

Po kolacji Kjartan poszedł na nabrzeże przed domem wójta. Leciutka bryza muskała mu twarz, poprawiając samopoczucie. Postanowił przejść się na wschodnią część wyspy. W osadzie panował spokój. Po drodze Kjartan nie spotkał nikogo poza ciekawskim cielakiem snującym się między domami. Minał sklep, z którego przez otwarte okno dochodziły dźwięki radia. Wkrótce znalazł się opodal Domu Pośrodku. Czuł na sobie wzrok mieszkańców, więc unikał spojrzenia w tamtą stronę. Jego wyobraźnia niejednego kojarzyła ze śmiercią Gastona Lunda. Nawet kobiety z Domu Pośrodku. Ale teraz chciał o tym zapomnieć i bez wahania minął wszystkie zabudowania. Szlak wiódł ponad spadającymi do morza skałami, na których zauważył kilka maskonurów. Szedł dalej i wnet stanął na brzegu po drugiej stronie wyspy. Osadę zostawił za plecami, a na wschodzie, za przesmykiem, w wieczornym słońcu majaczyły domy na sąsiednich wyspach. Dalej za nimi niebo ciemniało deszczowymi chmurami.

Kjartan przez krótką chwilę cieszył oczy widokiem, po czym zawrócił. Tym razem szedł brzegiem wyspy. Obserwował edredony wylatujące z gniazd, a mewy przypuściły nań atak. Zerwał roczny zdrewniały rdest i trzymał nad głową, idąc przez gąszcz ptactwa. Był akurat odpływ i pomiędzy niewielkimi wysepkami na południe od Flatey widać było błotniste dno. Ptaki wodne, których nie znał, urządziły sobie stadną wyżerkę. Owca z dwójką jagniąt skorzystała z okazji i przeniosła się przez płycizny na porośniętą trawą wysepkę po drugiej stronie wąskiego przesmyku. Sam miał ochotę pójść na te małe wysepki na południe od zamieszkaney wyspy, ale odłożył to na potem. Było już późno i zanosilo się na deszcz.

Idąc południowym brzegiem koło kościoła, zauważył, że w oknie biblioteki świeci się słabe światło. Zainteresowało go to i postanowił zajrzeć i sprawdzić, czy ktoś jest w środku. Gdyby była to osoba, z którą nie chciałby rozmawiać, mógłby zawsze usprawiedliwić się, że zobaczył światło w oknie i pomyślał, że ktoś zapomniał zgasić. Miał zatem drogę odwrotu.

Przeszedł przez łąkę i zapukał do drzwi.

— Proszę — usłyszał ze środka damski głos.

Drzwi zapiszczały głośno, gdy je otwierał. Wszedł.

Przed szklaną gablotą nad otwartym wydaniem Munksgaarda siedziała doktor Johanna. Na ścianie nad nią tliła się lampka oliwna. Mały piecyk gazowy na podłodze ogrzewał pomieszczenie.

Kjartan zawahał się w drzwiach, ale po chwili powiedział:

— Byłem rano w kościele i słyszałem, że zmarł pani ojciec. Moje kondolencje.

Odpowiedziała dopiero po krótkim namyśle.

— Dziękuję. Mój ojciec był bardzo chory i długo czekał na swoją śmierć.

— Ale wiem, jak boli utrata ojca — zapewnił ją Kjartan.

— Tak, to prawda. Jest jakaś pustka. Może to trudniejsze, niż się spodziewałam po tym, co wcześniej przeszliśmy. Przyszłam tu, żeby zajrzeć do jego ulubionych książek.

Kjartan rozejrzył się wokół.

— To nie jest wielki budynek.

— Nie, ale spełnia swoje zadanie od stu trzydziestu lat. Ma dokładnie trzy metry i czterdzieści centymetrów szerokości i cztery metry siedemdziesiąt centymetrów długości, jak słyszałam.

Zaczęła przewracać karty księgi.

— Czyta pani *Flatexjarbok*? — zapytał.

— Tak, przeglądam ją i odświeżam wspomnienia. Mój ojciec znał oryginał tej księgi lepiej od innych. Mieszkańcy Flatex dbają o swoją księgę, choć to tylko niedoskonała kopia. Przechowują ją pod szkłem, a ja otrzymałam pozwolenie, by do niej zajrzeć.

Kjartan podszedł bliżej i spojrzał na księgę.

— Potrafi pani przeczytać ten tekst? — spytał.

— Tak, w większości.

— A gdzie się pani tego nauczyła?

— Ojciec mnie tego nauczył, pośrednio.

— Jak to pośrednio?

— Może się to komuś wydać dziwne, ale dla mnie było to swego czasu dość oczywiste. Nie miałam nawet sześciu lat, kiedy zmarła moja matka, więc wychowywałam się, podróżując z ojcem. Mieszkaliśmy w Kopenhadze, a mój tata prowadził badania w Instytucie Arnemagneańskim i w Bibliotece Królewskiej. Właśnie skończył doktorat, kiedy matka zachorowała na raka, który w ciągu dwóch lat doprowadził do jej śmierci. Z ojcem byliśmy bardzo blisko i po tym nie mogliśmy bez siebie żyć. Tata był powściągliwy i nie szukał towarzystwa innych ludzi, chyba że w związku z pracą. Dlatego nie mieliśmy wielu przyjaciół. Szybko nauczyłam się, że jeśli będę grzeczna i cicha, to w zasadzie wszędzie będę mogła z nim iść. Nigdy nie próbował znaleźć dla mnie żadnej opiekunki. Nawet nie poszłam do szkoły, dopóki po wojnie nie wróciliśmy do Islandii. Tata nauczył mnie wszystkiego, czego potrzebowałam, a nawet więcej. Może nie wszystko było zgodne z oficjalnym programem szkolnym, ale często pozwalał mi samej decydować o lekturach.

Uśmiechnęła się do wspomnień.

— Moim zdaniem to dzieci powinny decydować, czego się uczyć. Można je zapoznać z materiałem, ale potem same powinny wybrać. Tyle że wtedy każde powinno mieć prywatnego nauczyciela, a to nie jest zbyt korzystne ekonomicznie.

Johanna uśmiechnęła się jeszcze raz, po czym kontynuowała.

— Mój ojciec jeździł po skandynawskich i niemieckich uniwersytetach z gościnnymi wykładami na temat średniowiecznych sag islandzkich. A ja z nim, i podczas odczytów siedziałam w kącie audytorium. Często czytałam sobie, co tam ze sobą miałam, albo rysowałam, albo marzyłam o przyjaciółkach i kolegach. Chciałam oczywiście mieć przyjaciół, ale nigdy nie odważyłam się tego powiedzieć ojcu. Bardzo się bałam, że odeśle mnie do szkoły z internatem, żebym mogła przebywać wśród innych dziewcząt. Czasem wspominał, że to mogłoby być korzystne, ale ja się na to zdecydowanie nie godziłam. Po śmierci mamy miałam tylko jego i bałam się go opuścić. Wolałam jeździć z nim na te odczyty i siedzieć godzinami bez ruchu w dusznych salach wykładowych.

Zamyśliła się na chwilę, zanim podjęła opowieść.

— Czasem słuchałam tych wykładów taty. Towarzyszyłam mu także, kiedy prowadził swoje badania w bibliotece. Na tych samych warunkach. Nie wolno mi było mu przeszkadzać, kiedy pracował. Tekst takiego rękopisu nie stanowi łatwej lektury, a on zwykł czytać na głos i przesuwając palcem po kartce. Często stałam obok niego, słuchałam i śledziłam. W ten sposób nauczyłam się czytać gotyk, odszyfrowywać skróty i rozumieć ortografię.

Johanna zamilkła. Kjartan otrzymał odpowiedź na swoje pytanie.

— To musiało być szczególne życie — zauważył.

— Tak, ale i czasy były bardzo szczególne. Miałam zaledwie dziesięć lat, kiedy wybuchła wojna. Wtedy każdy myślał tylko o sobie. Ludzi nie obchodziło, że jakieś małe dziewczątko jeździ wszędzie z ojcem.

— A gdzie byliście w czasie wojny?

— Cały czas mieszkaliśmy w Kopenhadze i tata dalej prowadził swoje badania. Gdy Niemcy zajęli Danię, nadal jeździł na wykłady do Niemiec. Był doskonale apolityczny i było mu wszystko jedno, kto sprawuje władzę, jeśli tylko on mógł robić swoje. Badać średniowieczne sagi i wyjaśniać innym ich tajemnice — to było całe jego życie. Jego rola. W tamtych czasach Niemcy bardzo interesowali się filologią starogermańską.

— Dlaczego wróciliście do Islandii?

— Zostaliśmy zmuszeni. Mój ojciec nie zdawał sobie sprawy z tego, że w czasie okupacji jego duńscy koledzy byli szczególnie przeciwni tym wyjazdom z wykładami do Niemiec. Bardzo słabo rozumiał swoje środowisko i zorientował się dopiero wtedy, kiedy zachowanie ludzi wobec niego zaczęło się zmieniać. On nie potrzebował przyjaciół. Wystarczyło, że znalazł nową grupę studentów gotowych słuchać jego wykładów przez część dnia. Nie miało dla niego znaczenia, czy mówi po islandzku, duńsku, szwedzku, norwesku czy niemiecku. A ja włączyłam się razem z nim i też słuchałam. Potem Niemcy przegrały wojnę i w dniu ich kapitulacji w Kopenhadze zawałił się świat mojego ojca. Zwolnili go z posady w Instytucie Arnemagneańskim i nigdy więcej go tam nie wpuszczono. Drzwi

Biblioteki Królewskiej także przed nim zamknięto. Stracił na wieki swój klejnot, *Flateyjarbok*. Wrócił do Islandii i mógł mówić o szczęściu, że dostał posadę nauczyciela w gimnazjum.

— A do tych badań potrzebował dostępu do oryginału? Nie mógł posługiwać się kopią? — Kjartan wskazał księgę leżącą przed Johanną.

— Dobrze pytanie. Czy ta stara księga spisana na skórze ma jakąś wartość? Wszystko, co ma nam do przekazania, już dawno zostało co do litery przepisane, a nawet, jak pan widzi, sfotografowane. To, co pozostało, to tylko przedmiot, oprawa przekazu, który już dawno dotarł do odbiorców. Dlaczego więc niektórych tak te stare skóry fascynują?

Spojrzała Kjartanowi w oczy, ale on nie potrafił odpowiedzieć jej na to pytanie. Dlatego sama sobie odpowiedziała.

— Ponieważ kiedy patrzymy na tę księgę, kiedy ją podnosimy, mamy bezpośredni kontakt z ludźmi, którzy żyli w czternastym wieku. W aurze tej księgi czujemy ich bliskość. I to właśnie tej bliskości potrzebował mój ojciec. Myślę, że niewielu potrafi nawiązać taki kontakt. Dla innych to tylko rękopis numer 1005 *folio* w Bibliotece Królewskiej.

— Widziała pani to cymelium? — zapytał Kjartan.

— Widziałam. I przeczytałam chyba każdą stronę, patrząc przez ramię mojego ojca.

— I też czuła pani tę bliskość?

— Nie tak jak mój ojciec. Ale dla mnie ta księga jest najpiękniejszą rzeczą, jaką oglądały moje oczy. Czarne, lśniące litery na jasnobrązowej skórze są niczym niekończące się rzędy pereł. Ornamenty są dla mnie niczym najpiękniejsze freski na sklepieniach pałaców królewskich. Te fotografie są, niestety, jedynie cieniem rzeczywistości.

Johanna wertowała karty leżącej przed nią księgi.

— Kiedy oglądam te strony, mam uczucie, jakbym oglądała zdjęcia bliskich krewnych i przyjaciół. To miłe, wolę jednak obcować z pierwowzorami. Każda strona księgi jest niczym przyjaciel, z którym człowiek pragnie się spotkać.

— Proszę mi opowiedzieć o *Flateyjarbok* — poprosił.

Zastanowiła się.

— Chce pan usłyszeć historię długą czy krótką? — spytała w końcu.

— Długą, jeśli ma pani czas.

Wyjrzała przez okno. Na północnym zachodzie słońce chowało się za góry.

— Teraz mam dość czasu — powiedziała cicho.

I zaczęła swoją opowieść, którą snuła bez wytchnienia przez najbliższe godziny. Kjartan słuchał i oboje zapomnieli, że czas mija.

Skończywszy, zaczęła w ciszy przewracać karty kopii Munksgaarda. Kjartan też milczał i myślał. Potem wyjął kartkę z odpowiedziami Gastona Lunda, którą

wręczył mu wilebny Hannes.

— Zna pani historię flatejskiej zagadki? — spytał.

Johanna skinęła głową.

— Czytałam pytania. Mój ojciec skracał sobie czas, bawiąc się kluczem.

— Potrafił ją rozwiązać?

— Zorientował się, w jaki sposób został zbudowany klucz. Nie wiem, czy ktokolwiek inny zaszedł równie daleko, ale on oczywiście posiadał tę przewagę, że tu mieszkał i miał codzienny dostęp do klucza. Wiedział, że odpowiedzi na trzydzieści dziewięć pytań nie są nic warte, dopóki się nie znajdzie odpowiedzi na czterdzieste. Nie było innej możliwości sprawdzenia prawdziwości odpowiedzi. Strasznie się podekscytował, kiedy rozszyfrował klucz. Zemdlał tu przy gablocie. Znalazłam go nieprzytomnego na podłodze. Thormodur Krakur pomógł mi go zawieźć do domu swoim wózkiem. Ojciec już nie stanął na nogi, by zwieńczyć dzieło, ale nie chciał, abym ja je zakończyła. Od tamtego czasu jego notatki znajdują się tutaj. — Zdjęła z jednego z regałów segregator z papierami.

Kjartan zauważył:

— Mam przy sobie odpis odpowiedzi profesora. Może mi pani pomóc zrozumieć pytania i odpowiedzi?

— Prawdopodobnie — odparła zamyślona. — Mogę spróbować.

Johanna poszukała w Munksgaardzie luźnych kartek z zagadką. Odłożyła je na bok, ale tak, aby je widzieć. Z ojcowego segregatora wyjęła kartkę i również odłożyła ją na bok. Potem, jedno po drugim, czytała pytania, sprawdzając odpowiedzi ojca, a następnie sprawnymi palcami szukała stosownego fragmentu w kopii Munksgaarda. Tak dobrze знаła te wszystkie strony, że niemal natychmiast odnajdywała właściwe fragmenty. Wodziła palcem po stronie, czasem czytała kilka linijek na głos, ale przeważnie opowiadała Kjartanowi, o czym mniej więcej mówi dany fragment. Kjartan w milczeniu kiwał głową, jeśli odpowiedź Gastona Lunda pokrywała się z odpowiedzią Björna Snorriego. W przeciwnym razie czytał jego odpowiedź. W ten sposób sprawdzili wszystkie czterdzieści pytań, jedno po drugim.

— *Dziewiętnaste pytanie. Najgorzej okaleczony, lecz zdrów. Czwarta litera. Po śmierci króla Olafa Świętego powstało wiele świadectw cudów w związku z modlitwami zanoszonymi do Olafa. Księża, którzy pisali Flateyjarbok, zebrali je sumiennie, jak przystało ich stanowi. Najgorzej okaleczono księdza Rikgarda. Połamano mu nogi i zaciągnięto do lasu. Potem obwiązano głowę powrozem, a belkę umieszczono pod barkami. Kołem zaciskano powróż. Einar wziął kołek i przystawił księdzu do oka, a sługa jego stanął nad nim i zamachnął się toporem. Oko się na wierzch rozbryzgnęło. Wtedy przyłożył kołek do drugiego oka i gałka wypłynęła na kość policzkową. Potem rozwarli mu usta, chwycili język i wyciągnęli go a obcięli, po czym uwolnili jego ręce i głowę. Kiedy się ocknął, włożył gałkę*

oczną na miejsce i trzymał oburącz. Spytali, czy ksiądz chce co powiedzieć. Pomachał językiem i chciał mówić. Wtedy rzekł Einar do swego brata: „Jeśli się wyprostuje, a język mu do kikuta przyrośnie, to myślę sobie, że przemówi”. I obcięli mu szczypcami i to, co z języka zostało, i dwukrotnie nacięli tam, gdzie język wrastał, i jeszcze trzeci raz, i porzucili go półmartwego... Wielkiej mocy potrzeba było, aby zagoić te wszystkie okaleczenia, ale za wstawiennictwem dobrego króla Olafa Świętego całkiem wydobrzał, choć tak okrutnie został okaleczony. Odpowiedź brzmi „Rikgard”, a czwarta litera to G...

W nocy spadł deszcz. Wschodni wiatr rano osłabł, ale ciągle padało, kiedy mieszkańcy Flatey ruszali do porannych prac. Na noc owce w osadzie schowały się pod dachy. Starsze tłoczyły się przed drzwiami, przeżuając filozoficznie, a jagnięta odsypiały niespokojną noc. Gospodarze prognozowali podobną pogodę na nadchodzące godziny.

Wójt nie zastawił sieci, dlatego rano podchodził do życia z dystansem. Przed świętym dniem powybierał wszystkie sieci, więc nic go na łęgowiska nie goniło. Tego dnia młode foczeta mogły sobie igrać w najlepsze z falami u brzegu szkieców.

Kjartan siedział wciąż u siebie na strychu. Chyba spał. Grimur położył się w niedzielę wcześniej i nie słyszał, kiedy gość wrócił, ale zauważył w sieni mokry płaszcz. „Dajmy mu odpocząć” — pomyślał, popijając swoją poranną kawę. Nie miał pojęcia, czym teraz powinni się zająć w śledztwie. Pewno najsensowniej byłoby poprosić Reykjavik o pomoc.

Ingibjörg siedziała w salonie i słuchała muzyki w radiu, dziergając na drutach skarpetę z grubej wełny. Högni zajrzał na kawę, ale gdy się dowiedział, że Grimur odkłada wyprawę na foki, wrócił do domu. Zapowiadał się nudny dzień.

Grimur poszedł do obory, wydoił krowy i wypuścił je, by się pasły. Miał w sumie trzy: dwie własne i jedną należącą do Sigurbjörna ze Svalbardi. W rewanżu gospodarz w Svalbardi trzymał kilka jego owiec.

Thormodur Krakur klepał coś przed swoją szopą. Wcześniej zaczynał dzień i oczywiście już dawno wygonił swoje krowy na łąkę. Grimur podszedł do niego i przywitał się.

— Co ty tu klepiesz? — zapytał.

— Nie widzisz? Nowe wieko na studzienkę. Wójt nieraz mi o tym przypominał — odparł Thormodur Krakur, podnosząc młotek. Był w kiepskim nastroju.

Grimur przyjrzał się dziełu. Kilka razy przypominał Thormodurowi Krakurowi, żeby naprawił klapę do studni. Deski były już zbutwiałe, a to zagrażało życiu chodzących po nich zwierząt. Materiał na klapę Krakur zdobył z rozbitej łódki leżącej na brzegu nad przesmykiem.

— To będzie doskonałe wieko, Krakurze — rzucił wójt. Odszedł, nie doczekawszy się odpowiedzi.

Grimur pozwolił krowom przebywać w zagrodzie w czasie, gdy zamiatał klepisko w oborze, i dopiero potem zagonił je na pastwisko. Na deszczu wydawały się rozleniwione i poruszały się bardzo wolno. Mała Rosa z Radagerdi też

prowadziła na łąkę krowy swego taty.

— Wujku Grimurze, wujku Grimurze — zapiszczała podniecona, kiedy się spotkali. — Svenni mówi, że na cmentarzu jest czerwony anioł. Myśli wujek, że to prawda?

— Na cmentarzu jest pewno wiele aniołów, Roso — odpowiedział wójt. — I nigdy nie wiadomo, może któryś z nich jest czerwony.

— Tak, ale człowiek ich nigdy nie widzi. A Svenni mówi, że tego widać wyraźnie.

— A kiedy Svenni widział tego anioła?

— Przed chwilą. Zakradł się na cmentarz po mewie jajka. Spotkałam go, jak biegiem wracał do domu. Taki był wystraszony, że poleciał prosto do mamy. Może anioł mu się ukazał dlatego, że chciał kraść mewie jaja z cmentarza?

— Bóg raczej nie zsyłałby nam anioła, kiedy chcemy podebrać kilka jajek z cmentarza — uspokoił ją Grimur.

— Wielebny mówi, że nie wolno zbierać żadnych mewich jajek na cmentarzu. On jest święty. Nawet szczawiu nie wolno tam zbierać — powiedziała poważnie Rosa.

Przeprowadzili krowy przez bramę i zamknęli ją na skobel.

— No, idźcie i napełnijcie swoje wymiona — zwrócił się Grimur do zwierząt na pożegnanie.

— Wujku Grimurze, pójdziemy zobaczyć tego anioła? — zaproponowała Rosa.

Grimur uśmiechnął się do niej.

— Tak, możemy zajrzeć po drodze na cmentarz, chociaż trochę pada — zgodził się. — Nie co dzień człowiek ma okazję przywitać się z prawdziwym aniołem.

Skręcili w prawo, na wąską ścieżkę wiodącą do cmentarza. Tam wszystko zdawało się na swoim miejscu. Płatki wokół grobów i kamienie nagrobne tonęły w wysokiej, pożółkłej zeszłej jesieni trawie, a żelazne elementy błyszcząły, mokre od deszczu. Ale wśród mew wysiadujących jaja w południowej części cmentarza panował jakiś niepokój. Krążyły z wrzaskiem nad jednym z grobów i Grimurowi wydało się, że jest tam coś nowego.

Rosa też to zauważyła. Zatrzymała się. Pociągnęła Grimura za marynarkę i szepnęła:

— Wujku Grimurze, wujku Grimurze, myślę, że później zobaczę tego anioła. Przypomniało mi się, że muszę wracać prosto do domu.

— Tak, tak. To leć — powiedział Grimur, a ona nie czekała, aż skończy mówić, tylko wyrwała do domu i nie oglądając się za siebie, zniknęła za pagórkiem.

Po tej stronie cmentarza nie było żadnej dziury w płocie, ale Grimur, choć

był już nieco sztywny w biodrach, nie miał najmniejszych problemów z przesadzeniem niskiego drutu kolczastego. Znalazłszy się na cmentarzu, uznał, że powinien się przeżegnać, po czym ruszył dalej. Wściekłe mewy rzuciły się wtedy na niego i co chwilę atakowały jego głowę, podczas gdy on kluczył między grobami. Odganiał je ręką, a kaszkiet przesunął do tyłu. Daszek sterczał do góry i najodważniejsze z mew go dziobały, za to jego głowa była względnie bezpieczna. Wielokrotnie w ten sposób radził sobie z mewami, więc ich natarczywość już mu nie przeszkadzała. Całą uwagę kierował na to, co widział przed sobą.

Posuwał się powoli i kiedy zbliżył się do kępy, zrazu zdała mu się przypominać czerwonego anioła, tak jak mówił mały Svenni. Ale gdy podszedł jeszcze bliżej, wyraźnie ujrzał półnagie ludzkie ciało, zakrwawione, oparte kolanami o nagrobek. Ręce i głowa zwisały poza biały kamień. Na plecach znajdowało się coś, co z daleka przypominało nieduże czerwone skrzydła. Krew spływała z deszczem po ciele, barwiąc je na czerwono. Płaszcz, marynarkę i białą koszulę ktoś ściągnął na biodra nieboszczyka.

Grimur zatrzymał się i przełknął ślinę, aby zwilżyć zaschłe gardło. Następnie podszedł bliżej, aby sprawdzić, kto miał aż tak nieudaną noc.

— *Dwudzieste pytanie. Największy pyskacz. Trzecia litera. Minąwszy Rein, zauważyli trzy langskipy wiosłujące w głębi fiordu. Trzecim statkiem był dreki. Gdy łodzie owe mijaly jednostkę kupiecką, z lyptingu tego trzeciego wychynął człowiek w ozdobnych szkarłatnych szatach ze złotą opaską na czole, wielki i postawny. I w te słowa przemówił: „Kto statkiem tym dowodzi i gdzieście spędzili zimę, w którym miejscu dopłynęliście do lądu i gdzie nocowaliście?”. Sneglu-Halli odpowiedział: „Zimę spędziliśmy na Islandii, wyruszyliśmy z Gas, statkiem dowodzi Bard, do lądu dopłynęliśmy koło wysp Hitrar, a noc spędziliśmy opodal Agdanes”. I znów spytał człek ów, a był to król Harald Sigurdsson: „A nie wychędożył was Agdi?”. „Jeszcze nie” — odparł Halli. Król uśmiechnął się i dodał: „A prawda to, że później ma wyświadczyć wam tę usługę?”. A Halli odparł: „Skoroście, panie, taki ciekawy, to Agdi woli lepiej od nas urodzonych i dziś wieczór was się tam spodziewa. Wtedy spłaci wam dług z nawiązką”. „Ale z ciebie pyskacz okrutny” — podsumował go król. Odpowiedź to „Sneglu-Halli”, a trzecia litera E...*

37

Doktor Johanna miała na sobie zielony ortalionowy płaszcz, a w ręku czarny parasol. Kjartan włożył swój płaszcz, ale miał odsłoniętą głowę. Stali kilka metrów od grobu i przyglądali się mężczyźnie leżącemu na nagrobku, do którego przyprowadził ich wójt Grimur. Deszcz padał coraz intensywniej.

— To ten dziennikarz z Reykjavíku, co przyplłynął tu pocztowym w sobotę — odezwał się cicho wójt. — Powiedzieli mi, że na imię ma Bryngeir.

Johanna podeszła bliżej, po czym obeszła grób dookoła. Następnie pochyliła

się nad plecami nieboszczyka i przyjrzała się im dokładnie.

— Z obu stron za pomocą dwóch czy trzech cięć oderwano żebra od kręgosłupa i wyciągnięto je przez te rany. Oba płuca wyciągnięto potem w całości z klatki piersiowej.

Jeszcze raz przeszła wokół grobu i dodała:

— Innych obrażeń nie widzę.

Grimur patrzył to na nią, to na nieboszczyka.

— Mamy go stąd zabrać i zanieść do kościoła? — zapytał.

— Nie, nie — odpowiedział mu roztrzęsionym głosem Kjartan. — Absolutnie. Niczego tu nie będziemy ruszać. Nic tu po nas. Zamkniemy cmentarz i natychmiast zadzwonimy po śledczych do Reykjavíku.

Zaciskał płaszcz pod szyją, a deszcz strugami ściekał mu z mokrych włosów po bladej twarzy.

— Ten, kto go tak pociął, był silny i biegły w posługiwaniu się nożem — zauważyła Johanna. — Trzeba wielkiej siły i precyzji, żeby kroić tak przez kości. A nóż musiał być wielki i ostry.

— Zadzwoni pan po policję do stolicy? — spytał Grimur Kjartana.

— Bardzo bym prosił, żeby pan to zrobił — odpowiedział Kjartan. — To już dawno mnie przerosło. Myślę, że po prostu popłynę pierwszym rejsem do Patreksfjörður. Mam nadzieję, że poradzi pan sobie w kontaktach z policjantami.

Grimur podrapał się po brodzie.

— Ale ja muszę się tu trochę pokręcić, żeby dzieciaki się nie zbliżały — tłumaczył zakłopotany.

— Ja zadzwonię i poproszę, żeby jak najprędzej tu przyjechali. I opiszę im obrażenia — zdecydowała Johanna.

Grimur się ucieszył.

— Tak. I poszukajcie mi Högniego: powiedzcie, żeby tu przyszedł w sztormiaku. Może mnie zmienić na warcie.

— Dobrze — zgodził się Kjartan. Obrócił się na pięcie i wybiegł z cmentarza.

— *Dwudzieste pierwsze pytanie. Ludzie króla Magnusa. Druga litera. Król Sverrir Sigurdsson panował w Norwegii od 1177 roku do 1202, a jego ludźmi byli słynni birkibeinarowie. Straszne było nazwać człowieka birkibeinarem, ale po śmierci jarla Erlinga przydomek ten uznawano za godny, a ci, których tak zwano, byli ludźmi bardzo poważanymi. Między nimi a ludźmi króla Magnusa dochodziło do ciągłych niesnasek. I zdarzyło się, że zmarła pewna starucha, która miała opończę z kapturem. Znalaziono w nim dużo srebra. Ludzie Magnusa spalili szatę, a srebro podzielili między siebie. A gdy dowiedzieli się o tym birkibeinarowie, nazwali ich Spadkobiercami Opończy albo Opończykami. Druga litera to P...*

Doniesienie o kolejnej śmierci na Flatey bardzo źle wpłynęło na Dagbjartura. Wiedział już, że spokój się skończył. Będzie musiał zdać relację z ostatnich dni swojego śledztwa i złożyć raport. Najgorzej, że jeszcze nie zaczął nic notować. Teraz ta sprawa stanie się priorytetowa, dadzą mu jakiegoś odpowiedzialnego szefa i wyślą najzdolniejszych policjantów na Flatey. Jedynym pozytywem tego poranka była wiadomość, że nie jedzie na wyspę.

Dagbjartur trzema palcami mozolnie wystukiwał na maszynie wyniki swoich rozmów z Fridrikiem Einarssonem i Arnim Sakariasem. Wprawdzie istotnych wniosków nie było wiele, ale napisanie tekstu zajęło mu sporo czasu. Grube palce były zbyt sztywne jak na tę klawiaturę i nie zawsze trafiały we właściwy klawisz.

Szef wydziału szybko przeleciał wzrokiem wypociny podwładnego.

— Zagadka flatejska? — warknął wściekły. — Co to za dziecinada?

Dagbjartur bronił się.

— Przedstawiciel prefekta uważał to za istotne.

— Taak... A to co takiego? Pozamażeńskie dziecko. Można się temu lepiej przyjrzeć. Kim jest ta kobieta?

— Tego nie wiadomo.

— Nie wiadomo! To coś ty właściwie robił przez te wszystkie dni?

— To. — Dagbjartur zdecydowanie pokazał palcem przygotowane przez siebie papiery. — Nikt tej kobiety nie zna.

— Nie ma jakichś spisów narodzin z tamtego roku na wschodzie kraju, które można by przejrzeć?

— Wszędzie zamknięte z powodu Zielonych Świątek.

— No cóż. To prowadź dalej to śledztwo i informuj mnie o postępach.

Resztę dnia Dagbjartur spędził na wizytach u przyjaciół, krewnych i współpracowników dziennikarza Bryngeira, wypyując o jego życie i przyzwyczajenia. Większość kolegów z pracy najwyraźniej była zadowolona, że się od niego uwolnili, mimo iż wprost tego nie powiedzieli.

Lista krewnych była krótka. Dziadek ze strony matki przebywał w domu starców w Stokkseyri, a jej brat był rolnikiem na wschodzie w Öraefi. Dagbjartur usiłował się tam dodzwonić, ale dowiedział się, że stary jest głuchy jak pień i nie da się z nim rozmawiać przez telefon. A gdy udało się w końcu zadzwonić do wuja w Öraefi, ten przez pierwsze kilka minut przypominał sobie, czy w ogóle miał takiego siostrzeńca. Nie słyszał o jego śmierci i nie bardzo go to obeszło. Ale spytał, czy nie zostawił po sobie jakiegoś majątku.

Przyjaciele zgodnie twierdzili, że byli raczej znajomymi Bryngeira niż jego bliskimi przyjaciółmi, i nie wydawali się szczególnie poruszeni. Nikt jakoś boleśnie nie odczuł tej straty.

Notując to i owo, udało się Dagbjarturowi stworzyć przyzwoitą charakterystykę Bryngeira. Wieczorem położył ją na biurku swego szefa.

— *Dwudzieste drugie pytanie. Człowiek małego serca. Szósta litera. Thorgeir Havarsson przyjechał do Hvalfell, gdzie ludzie krzżeli się na zewnątrz. Z hal od owiec wrócił pasterz, który odpoczywał oparty o swój kostur. Był nieco zgarbiony, zwiesił głowę. Zobaczywszy to, Thorgeir uniósł topór i spuścił mu na kark. Ostrze porządnie się wbiło, aż głowa odpadła i potoczyła się daleko. Potem tak Thorgeir powiedział o tym zabójstwie: „Nie miałem wobec niego żadnych ansów, ale prawda to, że oprzeć się nie mogłem, bo tak dobrze wystawił się na cios”. Powiadają, że kiedy Thorgeir zmarł, wyjęto jego serce, by zobaczyć, jak wygląda, bo tak był odważny. Mówią, że serce miał wyjątkowo małe, bo z dawien dawna mawiali niektórzy, że mniejsze jest serce nieustraszonych niżli niemyślących. Odpowiedź brzmi „Thorgeir”, a szósta litera to E...*

39

Tego ranka kobiety w Domu Pośrodku nie wychodziły na zewnątrz z powodu pogody. Nie widziały też, żeby ludzie się krzżeli. Oddane swoim codziennym pracom, dziwiły się, że nikt ich nie odwiedza. Najczęściej w porze popołudniowych wiadomości w radiu przychodziła do nich gospodyni ze Svalbardi, która opowiadała, co się dzieje dookoła. W Domu Pośrodku nie posiadano takich zbytków jak radio, więc musiały w inny sposób dowiadywać się o wydarzeniach. Gazety dostawały dopiero, kiedy inni zapoznali się z ich treścią. Wójt prenumerował „Timinn”, a sklepikarz Asmundur „Morgunbladid”. „Timinn” wędrował od Grimura do Gudjona w Radagerdi, a mieszkańcy Svalbardi kupowali od sklepikarza Asmundura przeczytaną „Morgunbladid” za połowę ceny. Nauczyciel Högni kupował lewicową „Althydubladid”, którą spinał elegancko w segregatorach. Pozostali gospodarze oddawali swoje gazety po przeczytaniu do biblioteki i wtedy kobiety mogły do nich zajrzeć razem z pozostałymi wyspiarzami. Gazety miewały już wtedy po kilka tygodni i wiadomości zaczynały trącić myszką, ale powieści w odcinkach stanowiły klasykę bardzo lubianą przez panie z Domu Pośrodku. Po kilkumiesięcznej obecności na półkach w bibliotece gazety trafiały do beczki pod ścianą i stamtąd do najuboższych rodzin na wyspie, by zakończyć żywot w ich wychodkach. Nieliczne egzemplarze, które się do tego nie nadawały, otrzymywali na rozpałkę panowie z Domu na Skraju.

Ale tego dnia żadne wiadomości do Domu Pośrodku nie dotarły i nie pokazał się nawet Högni, który również zwykł wpadać popołudniami na kawę. A kawa czekała gotowa w termosie, i to z kawałkiem ciasta, który z okazji Zielonych Świątek kobiety dostały od Ingibjörg z Bakki. Nie zauważyły też, by łódź wójta wypłynęła tego dnia w morze, więc nauczyciel prawdopodobnie siedział w domu. Wkrótce pewnie je odwiedzi.

Hallbjörg siedziała w kuchni przy oknie i wyglądała przez mokrą od deszczu szybę. Chciała szybko zauważyć zbliżającego się gościa, by otworzyć mu drzwi. Jak nigdy dotąd, zamknęły je na zasuwę. W ostatnich dniach tyle się nasłuchały o tym okropnym dziennikarzu z Reykjavíku, który włóczy się pijany po osadzie i wszędzie tylko jest dla wszystkich utrapieniem. Dlatego wołały się zamknąć. Ale coś nie dawało im spokoju. Choć nie chciały się przyznać jedna przed drugą, nie mogły się doczekać, aż usłyszą kolejne opowieści o tym awanturniku.

Hallbjörg skończyła dziergać skarpetę i zaczęła następną, ale regularnie zerkała za okno. Gudrun odłożyła druty i wzięła do ręki stary egzemplarz „Morgunbladid”. Czytała na głos powieść w odcinkach. *Historia pewnego życia* Guy de Maupassanta. Odcinek piętnasty. Tak sobie żyły. Jedna czytała na głos, a druga robiła swoje. W ten sposób lepiej wykorzystywały czas. Najczęściej to Gudrun czytała. Miała lepszy wzrok, a do tego Hallbjörg zaraz chrypła, jeśli długo mówiła.

W końcu Hallbjörg zauważyła jakiś ruch na zewnątrz. Widziała przez okno, że ścieżką zbliża się do nich gospodyni ze Svalbardi. Ba, zdawała się biec. Hallbjörg wstała sztywno, by odsunąć zasuwę.

— *Dwudzieste trzecie pytanie. Kiepskie dla mnie wybrał. Szósta litera. Król Magnus rzekł: „Wielu ma za co odwdzięczać się swoim ojcom i nikt pewno nie jest bardziej ode mnie wdzięczny swemu ojcu za większość rzeczy, ale kiepskie dla mnie wybrał matkowanie”.* Tak brzmi odpowiedź, a szósta litera to W...

40

Sklepikarz Asmundur był podekscytowany. Gdy tylko rano otworzył sklep, od razu dotarła do niego wiadomość o jakiejś tragedii na cmentarzu. Asmundur sprowadził Thormodura Krakura, który powiedział mu, że dziennikarz z Reykjavíku siedzi martwy na grobie. W miarę upływu czasu opowieść się krystalizowała. A to zapowiadało wzrost sprzedaży. Mieszkańcy wyspy wielokrotnie tu zaglądali w ciągu dnia, wymyślając jakieś preteksty, ale przede wszystkim po to, by zasięgnąć języka. A żeby nieco ukryć ciekawość, każdy coś kupił. I nikt nie chciał za długo przebywać w sklepie. Raczej wracali za jakiś czas i znów coś kupowali. Przy tej okazji można się było nawet spodziewać klientów mieszkających na sąsiednich wespach.

Historia brzmiała mniej więcej tak: ciało dziennikarza Bryngeira z Reykjavíku zostało znalezione wczesnym rankiem na cmentarzu straszliwie okaleczone. Niejasne było, kto pierwszy go znalazł, ale obecnie wójt odgrodził cmentarz i postawił strażnika przy bramie. Z najbliższym rejsiem spodziewano się policjantów z Reykjavíku w celu przeprowadzenia śledztwa w tej sprawie.

Widziano przedstawiciela prefekta, jak wychodzi z cmentarza i idzie do szkoły do Högniego. Potem udał się do Bakki i już stamtąd nie wyszedł. Lekarka najpierw zadzwoniła do Reykjavíku i zawiadomiła policję. Potem kilka razy dzwonił wójt. Pastor wezwał na modlitwę na godzinę czwartą w szkole, bo kościół znajdował się w strefie odgradzonej, której wójt kazał pilnować.

Historię tę Asmundur powtórzył tego dnia wiele razy, sprzedając szereg niepotrzebnych rzeczy, których w innych okolicznościach ludzie by nie kupili.

— *Dwudzieste czwarte pytanie. W ruch wprawił zadek jarla Hakona z Lade. Pierwsza litera. Thorleif odwiedził jarla w Lade w wigilię Jol przebrany w szaty żebracze. Jarl kazał go do siebie przywołać i spytał o imię. „Niezwyczajne jest moje imię — odparł starzec. — Ciemiężyciel Gjallandsson, a pochodzę z Syrgisdalir z zimnej Szwecji. W wielu miejscach byłem i wielu przywódców odwiedziłem. A o waszej wspaniałości wiele słyszałem”. Jarl na to rzekł: „Jesteś potężny, skoro powiadasz, że przebywałeś u przywódców”. Ciemiężyciel chciał wygłosić poemat, który ułożył dla jarla. W trakcie recytacji jarl zaczął dziwnie reagować. Świąd jakiś dopadł całe jego ciało, a najbardziej w okolicach zadka. Nie mógł ustać w miejscu. Kazał drapać się zgrzeblami, gdzie sięgały, a między pośladkami kazał przeciągnąć jutowy sznur z trzema węzłami. I przestał się poemat podobać jarlowi. Odpowiedź brzmi „Thorleif Asgeirsson”. Pierwsza litera to T.*

— *Tamten napisał tu: „Ciemiężyciel” — zauważył.*

— *No to rozwiązanie brzmi T albo C.*

41

O dwudziestej trzeciej, kiedy dwaj policjanci przybyli na Flatey, wciąż jeszcze padało. Wyjechali autem z Reykjavíku wkrótce po telefonie Johanny do stołecznej komendy. Uczyniono zadość prośbie wójta i wysłano pomoc. Kanonierka patrolująca wybrzeże Fiordów Zachodnich popłynęła do Stykkisholmur, zabrała ich stamtąd i dostarczyła na Flatey. Teraz statek stał na cumach przy nowym pirsie, szary, mokry i ponury w wieczornym deszczu.

Grimur powitał policjantów na nabrzeżu. Oprócz niego byli tu tylko odświętnie ubrany Thormodur Krakur ze swoim wózkiem i trzech mieszkańcy Domu na Skraju. Valdi zobaczył nadpływający z południa statek i zszedł na brzeg, by jak zwykle odebrać cumy. Po odnalezieniu zwłok na cmentarzu Kjartan wyłgał się z jakiegokolwiek udziału w dalszym śledztwie — powiedział, że jest chory, i położył się do łóżka.

Szef policjantów pierwszy przywitał się z Grimurem.

— Na imię mam Thorolfur — powiedział, po czym przedstawił swego towarzysza: — Lukas z technicznego. Zabezpieczy ślady na miejscu zbrodni, a potem pomoże mi w przesłuchaniach.

Thorolfur miał koło sześćdziesiątki, był czerstwy i szczupły. Białe,

zaczesaane do tyłu włosy dopiero zaczynały się gdzieniegdzie przerzedzać. Twarz miał ogorzałą, gładko ogoloną, pomarszczoną, jakby od nadmiaru słońca. Lukas natomiast był szatynem — był młodszy, pewno koło czterdziestki, niski i krępy, o grubych wargach i szorstkiej skórze na szerokiej twarzy.

Dwóch marynarzy na pokładzie kanonierki przygotowywało statek na nocny pobyt w przystani. Na oświetlonym mostku panował ruch.

Policjanci byli doskonale przygotowani na spacer w deszczu: mieli na sobie peleryny przeciwdeszczowe i gumki. Nieśli dwie ciężkie torby i podłużną skrzynię, podobną do tej, w której transportowano do Reykjavíku profesora Lunda. Starszy policjant z wdzięcznością przyjął propozycję Thormodura Krakura, aby przewieźć skrzynię na wózku.

Ruszyli. Thormodur Krakur na czele z wózkiem, pozostali za nim. Grimur opowiadał policjantom o wydarzeniach minionych dni i o tym, co wiedział o działalności Bryngeira w ciągu ostatniej doby. Thorolfur pytał natomiast o to, ile osób przebywa obecnie na wyspie — mieszkańców i gości.

— Dziś rano było tu pięćdziesiąt dusz — odparł Grimur po krótkim namyśle.

— Ilu z nich fizycznie jest w stanie popełnić taki czyn? — drażył temat policjant.

— No, nie wiem. Większość dorosłych mężczyzn i oczywiście co silniejsze kobiety.

— Jutro przesłuchamy wszystkich od konfirmacji po osiemdziesiątkę. Ile to będzie osób?

Grimur policzył w myślach.

— To będzie dwudziestu dwóch mężczyzn i piętnaście kobiet. Dwoje starców jest po osiemdziesiątce, a pozostali to dzieci przed konfirmacją.

Policjant milczał i zastanawiał się.

— Nie będzie trudno to rozwiązać — rzekł wreszcie. — Metoda wykluczania szybko zmniejszy grupę podejrzanych. Mam tylko nadzieję, że sprawca nie wykona jakichś rozpaczliwych ruchów.

Słońce wciąż stało dość wysoko, gdzieś za ciemnymi chmurami deszczowymi, ale zaczęło się już ściemniać. Mijali dom lekarki, w którym w oknach paliły się światła. Grimur nie prowadził ich na cmentarz najprostsą drogą, lecz ulicą, która bardziej się nadawała dla wózka. Dotarli do otwartego kościoła. W drzwiach czekał Högni w sztormiaku i kapeluszu rybackim. Obserwował ich i pomachał im na powitanie.

Policjanci zdjęli swoje bagaże z wózka i wnieśli je do kościoła. Potem podziękowali Thormodurovi Krakurovi i powiedzieli, że może iść, ale dobrze by było, gdyby zostawił im wózek. Thormodur Krakur trochę się wahał, ale Grimur podjął za niego decyzję.

— Idź już spać, chłopie. Ja przypilnuję twojego wózka.

Thormodur Krakur wspiał się na palce.

— Dobrze, wójcie. Pójdę, ale nie mam w zwyczaju opuszczać pierwszy pola bitwy, zupełnie jak mój imiennik Skald Kolbruny.

— Ty też możesz już iść, Högni. — Grimur obrócił się. — Warta skończona. Zajdź po drodze do mojej Imby i wyłudź kropelkę kawy. Dziś wieczór nikt się sam dobrze czuł nie będzie.

Högni był wyraźnie zadowolony. Chwycił Krakura za rękę.

— Chodź, towarzyszu. Twoje odświętne ubranie bardzo zmokło.

Zeszli razem ze zbocza, nie oglądając się za siebie.

Zanim policjanci udali się na cmentarz, Lukas wyciągnął dwie duże latarki. Grimur szedł za nimi, ale nie musiał pokazywać im drogi. Zwłoki było dobrze widać przez drzwi kościoła, bo pomimo ciemnych chmur światło dzienne jeszcze się przebijało. Za kilka dni będzie najdłuższy dzień w roku, więc noc raczej nie zapowiadała się na ciemną.

Lukas szedł zgięty, oświetlając jasnym snopem światła z latarki porośniętą trawą ścieżkę. Za nim szedł Thorolfur.

— Nie ma śladów krwi — odezwał się Lukas. — Ani żadnych wyraźnych odcisków.

Kiedy policjanci doszli do grobu, na którym spoczywały zwłoki, zatrzymali się na chwilę.

— Tutaj ktoś chodził — powiedział Lukas i wskazał podeptaną trawę wokół grobu.

— Tak, ja tu byłem dziś rano, a potem lekarka — przyznał Grimur.

— Przyjrzę się lepiej całemu cmentarzowi — Lukas zwrócił się do Thorolfura — ale jeśli nie znajdziemy żadnych śladów krwi, prawdopodobnie będzie to oznaczać, że został pokrojony tu na miejscu.

Zbliżył się do zwłok i przyjrzał się plecom.

— Raczej nie był przytomny, kiedy go krojono. Nie ma żadnych oznak oporu. Wygląda, jakby go ktoś specjalnie ułożył w takiej pozycji, po czym zdarł mu ubranie z torsu, a później rozszarpał plecy.

Obejrzał ręce, nogi, a potem głowę.

— Nie ma śladów krępowania, głowa bez widocznych urazów. Nie stracił raczej przytomności od uderzenia w głowę.

— A od pijaństwa? — zainteresował się Grimur. — Nie był trzeźwy, kiedy przypląnął tu na wyspę, i nie słyszałem, żeby wytrzeźwiał.

— To się okaże podczas sekcji — odpowiedział Thorolfur. — Skończymy oględziny miejsca znalezienia zwłok i odeślemy ciało kanonierką. Dziś w nocy dostarczą je do Stykkisholmur, a tam już czeka samochód, który odwiezie je prosto do Reykjavíku. W ciągu doby powinniśmy mieć wstępny raport.

Lukas poszedł po aparat fotograficzny z wielkim fleszem. Zrobił kilka zdjęć

zwłok, po każdym ujęciu zmieniając żarówkę. Grimura oślepiły błyski lampy, a pomiędzy zdjęciami wydawało mu się, że na cmentarzu panują egipskie ciemności.

— Zupełnie jakby to nie świętojańska noc się zbliżała — powiedział i spojrzał w pochmurne niebo.

Kiedy Lukas zakończył fotografowanie, Thorolfur pochylił się nad zwłokami i rozpiął płaszcz denata na biodrach. Unosząc palto wysoko palcem wskazującym lewej dłoni, prawą przeszukiwał kieszenie. Nie znalazł tam nic poza prawie pustą butelką rumu. Nasączony wodą płaszcz powędrował do wielkiej papierowej torby, razem z flaszką. Potem Thorolfur rozpiął marynarkę denata i w ten sam sposób przeszukał kieszenie. W jednej z wewnętrznych znalazł plastikowy portfel. Lukas wziął go od niego i oświetlił latarką przesiąkniętą wodą zawartość. Bilet na autokar z Reykjavíku do Stykkisholmur, legitymacja prasowa i książeczka czekowa z dwoma niewypisanymi czekami. Z drugiej kieszeni wyjął jakiś zwitek zebrany gumką recepturką. Lukas ostrożnie sprawdził te rzeczy. Duński paszport, portfel i duński notatnik. Bardzo uważnie otworzył mokry paszport. Zdjęcie było niewyraźne, ale wciąż dało się przeczytać nazwisko właściciela. Gaston Lund.

Grimura zatkaną.

— To ten człowiek, który zmarł na Ketilsey. Jak to, do cholery, możliwe, żeby ten tutaj posiadał jego rzeczy? — zapytał w końcu.

— Widać lepiej mu szło śledztwo w sprawie śmierci Lunda niż tobie, panie wójcie — wyjaśnił Thorolfur.

— Myślicie, że naprawdę jest jakiś związek między tym czynem a Duńczykiem? — powątpiewał Grimur.

Thorolfur umilkł i przez chwilę się zastanawiał.

— Jeśli jest jakiś związek, to dziwić musi obecność tych papierów w kieszeni dziennikarza — odpowiedział po chwili. — Jeśli został zabity dlatego, że zbyt dużo wiedział o Duńczyku, to usunięto by te papiery z jego kieszeni. A poza tym to nieprawdopodobne, żeby do dwóch takich wydarzeń doszło w równie mało liczonym środowisku co tutaj, chyba że istnieje między nimi jakiś związek albo sprawcą jest ta sama osoba.

Grimur zatroskany kręcił głową.

— A myślałem, że znam wszystkich moich ludzi.

Lukas zakończył oględziny, po czym przytaszczył spod kościoła skrzynię. Następnie obaj policjanci chwycili ciało i ostrożnie umieścili je w niej tak, że spoczywało na brzuchu. Papierowe torby z odzieżą również się tam znalazły. Teraz już nieboszczyk w niczym nie przypominał czerwonego anioła. Grimurowi kojarzył się raczej z przerośniętą rozdeptaną plujką na dnie skrzyni. Odetchnął z ulgą, kiedy założono wieko i przykręcono je śrubami. Czuł, że powinien powiedzieć coś stosownego, i akurat przyszedł mu do głowy fragment starego psalmu:

— „Zapalam moje świece przy świętym drzewie krzyża” — wyszeptał, ale ponieważ więcej nie pamiętał, dorzucił tylko: — Amen.

Policjanci wynieśli skrzynię z cmentarza i umieścili na wózku. Ruszyli w kierunku pirsu, gdzie na cumach stała kanonierka.

Dochodziła trzecia w nocy. W żadnym oknie, poza domem lekarki, nie świeciło się światło. Ale przecież i tam leżały zwłoki, a córka była sama w domu. Nic dziwnego, że zapaliła światło. Wielebny Hannes powiedział Grimurowi, że jej wolą jest pochować ojca na Flatey. Gudjon z Radagerdi zaczął już nawet robić trumnę. I zaraz po złożeniu do trumny ciało miało zostać przeniesione do kościoła.

Kanonierka niemal w całości tonęła w mroku. Tylko na mostku paliło się światło. Czterech marynarzy pełniło wachtę. Dwóch z nich zeszło na ląd, wzięło skrzynię i wniosło ją na pokład. Policjanci weszli za nimi po to tylko, by zabrać ze statku niewielkie walizeczki z rzeczami osobistymi, i wrócili na ląd. Trap wciągnięto na pokład, zwolniono cumy. Statek odbił od mola i powoli wycofał się na przesmyk. Dopiero kiedy znalazł się na pełnym morzu, obrał kurs na południe i ruszył całą naprzód.

Kanonierka miała płynąć prosto do Stykkisholmur, zostawić tam skrzynię i wrócić na Flatey. Tam załoga miała czekać w gotowości i w najbliższych dniach, w miarę potrzeby, służyć pomocą policjantom. Okręt miał również pełnić funkcję centrum komunikacji. Rozmównica na poczcie obciążona była tą wadą, że każdy mógł słuchać rozmów, a zaletą jednostki ochrony wód terytorialnych była możliwość wysyłania telegramów, których gmin nie umiał rozczytać — dyskrecja w komunikowaniu się ze współpracownikami w stolicy była dla policjantów niezbędna. Wszak w stolicy także prowadzono śledztwo.

Grimur i policjanci obserwowali wypłynięcie kanonierki, po czym wrócili do osady. Dla gości przygotowano nocleg w szkole.

— *Dwudzieste piąte pytanie. Największy czarownik. Piąta litera. Pewnego wieczoru w czasie Jol karzeł Svasi odwiedził króla Haralda Pięknowłosego i przy użyciu czarów rozkochał go w fińskiej niewieście imieniem Snjofrida. Pojął ją Harald za żonę i miłował nade wszystko, bo na skutek zaklęć Svasiego zdawała mu się najmiłszą ze wszystkich kobiet. Mieli syna. Kiedy Snjofrida zmarła, okryto ją całunem podarowanym przez Svasiego, a był to tiul tak zaklęty, że jej ciało zdało się królowi tak jasne i żywe, iż nie chciał Harald jej pochować i czuwał przy niej trzy zimy. Wówczas pewien mędrzec poradził, by zdjąć z niej całun, i tak uczyniono. Wtedy ukazało się ciało przegnile i śmierdzące. Tak zeżlił się wówczas król Harald na czary i wszelkie zabobony, że zakazał ich w swoim kraju. Odpowiedź brzmi „Svasi”, a piąta litera to I...*

Wtorek, 7 czerwca 1960

42

Pomimo nocnej aktywności wójt Grimur zbudził się wcześniej i już przed ósmą zaczął działać. Kjartan również zszedł ze strychu i się przywitał.

— I co, już się pan lepiej czuje, towarzyszu? — spytał go Grimur.

— Tak. Już po chorobie. Dzięki. Przykro mi, że zachorowałem.

— To normalne, że ludzie tak reagują. Jest pan młody i nieprzyzwyczajony do takich okropności.

— No i do tego jeszcze to zadanie służbowe. Zupełnie do mnie nie pasuje. Powinienem był od razu odmówić, kiedy prefekt postanowił mnie tu przysłać. Nie przyjechałem tu po to, żeby podejmować się takich zadań. Wpadam w depresję, bo to nie na moje nerwy.

— Uodporni się pan z czasem. Co pana nie zabije, to pana wzmocni.

Wciąż padało i znów zerwał się wschodni wiatr.

Grimur sprawdził pogodę.

— Zdaje się, że taką pogodę dalej prognozują — powiedział zmęczonym głosem.

Ingibjörg ubrała się do pracy w oborze. Wójt miał asystować policji, a przecież ktoś musiał doglądać krów.

Okolo ósmej Grimur i Kjartan udali się do szkoły z kawą w termosie i świeżym chlebem dla gości. Po drodze zbudzili w Radagerdi Benniego, kazali mu szybko się ubrać i zabrali ze sobą do szkoły. Jeśli trzeba przesłuchać wszystkich dorosłych na wyspie, to najlepiej od razu wziąć się do roboty. Benni oczywiście miał najwięcej do powiedzenia. Przez prawie dwa dni nie odstępował dziennikarza ani na krok.

Policjanci już wstali. Högni zagrzał im na kocherze garnuszek wody do golenia i kończyli właśnie poranne ablucje. Kjartan przywitał się z nimi, przedstawił się i spytał, czy będą potrzebowali jego pomocy.

Thorolfur spojrział na przedstawiciela prefekta badawczo, z lekkim zainteresowaniem.

— Nie — odpowiedział po chwili. — Dzisiaj sami damy sobie radę z przesłuchaniami, a wójt będzie tu wzywał ludzi w naszym imieniu. Może pan odpoczywać, dopóki pana nie wezwiemy.

— Nie wezwiecie? — zdziwił się Kjartan.

— Tak. Przesłuchamy wszystkich, którzy przebywali na wyspie w przedwczorajszą noc. Nawet wójt zda nam relację ze swoich poczynań.

— No tak, jasne. Jestem gotów w każdej chwili. — Kjartan skinął głową na pożegnanie i wyszedł.

Funkcjonariusze zasiedli do kawy i poprosili Benniego, by zajął miejsce. Grimur i Högni czekali na wezwanie przy drzwiach. Wobec takiego przebiegu wydarzeń nie mieli pewności co do swoich zadań.

Wcześniej zestawiono razem cztery szkolne ławki. Z dwóch stron usiedli policjanci, a Benni znajdował się naprzeciwko Thorolfura. Nastąpiła długa cisza, podczas której w ustach gości zniknęło kilka kanapek. Benni zapalił papierosa, a Högni postawił przed nim stary spodek jako popielniczkę.

W końcu Thorolfur poprosił Högniego, aby wyszedł z klasy. Zażyczył sobie też, by Grimur siedział z nimi. Gdy tylko za nauczycielem zamknęły się drzwi, zwrócił się do Benniego z pytaniem o imię i wiek. Młody człowiek odpowiedział nieco roztrzęsionym głosem.

Policjant długo patrzył w oczy chłopaka, zanim wystrzelił jak z automatu:

— Kiedy ostatnio widziałeś Bryngeira?

— W niedzielę wieczór koło siódmej — odpowiedział Benni równie szybko.

— Gdzie?

— W oborze u Thormodura Krakura.

— Co robiliście w niedzielę, gdzie byliście, z kim rozmawialiście?

Teraz Benni musiał się zastanowić.

— Spotkałem się z nim dwa razy. Najpierw w południe. Przyszedł do nas do Radagerdi wyłudzić coś do jedzenia, bo w nocy Sigurbjörn wyrzucił go z domu.

— Dlaczego go wyrzucił?

— Ten cały Bryngeir to był jakiś idiota. Powiedział, że wynikało nieporozumienie. A potem się dowiedziałem, że kiedy już wszyscy zasnęli, próbował włożyć Hafdis do łóżka. Gdybym o tym wiedział, to dałbym sobie z nim spokój i nie zajmował się nim więcej. Hafdis to porządna dziewczyna i nigdy by nie pozwoliła dotknąć się takiemu ciulowi.

— Co robiliście w południe?

— Najpierw w kuchni dałem mu resztkę zupy z maskonura, a potem poszliśmy na pirs przyrzec się łódkom z wysp. Później musiałem zająć się czymś innym, więc zobaczyłem go dopiero po południu.

— A czym się musiałeś zająć? — wtrącił szybko Thorolfur.

Benni się zarumienił. Zaciągnął się i wypuścił dym nosem.

— Musiałem iść do kościoła — powiedział. — Śpiewam w chórze. Brakowało im w tym roku tenora i Högni poprosił, żebym do nich dołączył.

— Gdzie ponownie spotkałeś się z Bryngeirem?

— Po mszy przy sklepie. Rozmawiał ze sklepikarzem Asmundurem.

— To sklep nie był zamknięty?

Benni zawstydyził się i łypnął okiem na Grimura.

— Asi ma w sklepie gorzałę, którą, jak kto jest w potrzebie, pożyczą za pół. Tylko że wójt nie powinien o tym wiedzieć. Bryngeir próbował namówić Asiego,

żeby pożyczył mu flaszkę.

— Za pół. Co to znaczy?

— Że trzeba oddać taką samą flaszkę, co człowiek pożyczył, i do tego jeszcze pół, jak człowiek dostanie swoją przesyłkę pocztą.

— I dostał od niego tę butelkę?

— Tak, dostał flaszkę rumu, ale to ja obiecałem oddać, jeśli Bryngeir sam by nie zapłacił.

— To znaczy, że mu ufałeś?

— Tak, chyba tak. W każdym razie twierdził, że spodziewa się kupy forsy. Nie wiem, jak to teraz będzie, kiedy on nie żyje. Może będę musiał zapłacić. Muszę pogadać o tym z Asim. Mam dobrą foczą skórę, która powinna wystarczyć na spłatę długu.

— Dlaczego Bryngeir spodziewał się pieniędzy?

— Kiedy już dostaliśmy flaszkę u Asiego, poszliśmy do obory Thormodura Krakura. Tam Bryngeir trzymał swoje rzeczy. Wtedy powiedział mi, że rozwiązał zagadkę Duńczyka. Miał o tym napisać u siebie w gazecie i nikt nie miał poznać rozwiązania, dopóki nie wyjdzie gazeta. Nawet policja. Gazeta miała się doskonale sprzedąć, a on dostać procent. Obiecałem, że nikomu o tym nie powiem. Chciał tylko jeszcze gdzieś iść w odwiedzin, a potem namówić kogoś, żeby podrzucił go wieczorem do Stykkisholmur.

— Kogo chciał namówić na rejs do Stykkisholmur?

— Kogoś, kto ma łódź.

— A kogo chciał odwiedzić?

— Powiedział, że jakiegoś przyjaciela. Czasem był trochę tajemniczy.

— Znał kogoś na wyspie z dawnych czasów?

— Nie... Tak, wiedział dobrze, kim jest ten przedstawiciel prefekta. I doktor Johanna. Ale nie mam pojęcia, czy ich znał.

— Kiedy się z nim rozstałeś?

— Jakoś przed ósmą. Musiałem iść do domu na kolację. Głodny już byłem.

— Sam był wtedy?

— Nie, Thormodur Krakur przyszedł do obory i coś tam gadali. Zdaje się, że Krakur opowiadał mu swoje stare sny. Stary zawsze to robi, jak tylko ktoś chce słuchać.

— Powiedziałeś komuś o tym, że Bryngeir uważał, że rozwiązał zagadkę śmierci Duńczyka?

— Nie, skąd. Tylko tacie i mamie. I siostra Rosa słyszała, ale nikomu innemu nie mówiłem. Przysięgam.

Podczas rozmowy Thorolfur żuł kanapkę i popijał kawę. Co jakiś czas notował coś na leżącej przed nim kartce w linie.

Teraz pytania zaczął zadawać Lukas.

— Jesteś pewien, że nie widziałeś go po dwudziestej?

— Tak, chociaż się zastanawiałem, czy nie spotkać się z nim jeszcze wieczorem. A nawet zabrać się z nim do Stykkisholmur, jeśli by popłynął. Ale potem się rozpadało i mi się odechciało. Wysłuchałem tylko wiadomości w radiu.

— Rodzice byli w domu?

— Mama poszła do Stiny z poczty, jak już pozmywała naczynia, a tata został w domu i czytał Rosie bajkę.

— To kto może zaświadczyć, że cały wieczór spędziłeś w domu?

— Chodzi o takie alibi?

— Tak.

— A potrzebne mi?

— Chcielibyśmy wykluczyć jak największą liczbę osób.

— Tata zdaje się zasnął, jak już przeczytał Rosie bajkę, ale potem wróciła mama.

— To mogłeś wyjść z domu niezauważony przez nikogo?

Benni zgasił papierosa.

— Nie sądzę. Wydaje mi się, że nigdy nie wyjdę z domu tak, żeby mama nie widziała. Kiedy wróciła, powiedziała mi, że Bryngeir dobierał się do Hafdis. Stina z poczty słyszała to od mieszkańców Svalbardi po mszy.

I znów Thorolfur zaczął wypytywać.

— A co robiliście w sobotę, ty i twój towarzysz?

— Spotkałem go na molu, kiedy przypłynął, i poszedłem z nim do Svalbardi, żeby załatwić mu nocleg. Przez chwilę byliśmy u Sigurbjörna, gadaliśmy i piliśmy rum. Ale ja tego rumu mało dostałem. Strasznie był skąpy, chociaż miał dwie i pół flaszki. Potem wyszliśmy i poszliśmy ich śledzić, jak wiozą Duńczyka w skrzyni na pirs.

— Co to znaczy „ich śledzić”?

— Tak, żeby nas nie dostrzegli. Bryngeir nie chciał, żeby widzieli, że ich obserwujemy. Nie wiem dlaczego. Potem poszliśmy do Domu na Skraju i przez chwilę gadaliśmy z Valdim.

— Na jaki temat?

— Bryngeir chciał sprawdzić, czy Valdi jest gotów przewozić ludzi do Stykkisholmur za dobrą zapłatą.

— I co powiedział Valdi?

— Że może za dobrą zapłatą.

— A potem co robiliście?

— Wróciliśmy do osady i zajrzeliśmy do kościoła. Bryngeir próbował zagrać na organach, ale nie umiał. Wtedy w kościele zjawił się nauczyciel Högni, żeby poćwiczyć przed mszą. Bo on jest też organistą. Strasznie był wściekły, że Bryngeir dotyka instrumentu, i wyrzucił nas z kościoła. Ale Bryngeir nie wyszedł i

się wykłócał. Myślę, że kłótnie sprawiały mu przyjemność. Był cholernie upierdliwy. Wtedy już mi się nie chciało z nim włączyć i poszedłem do domu. Myślę, że jak mu się znudziła kłótnia z Högnim, to poszedł do Svalbardi się położyć.

Benni zamilkł i czekał na kolejne pytanie.

Thorolfur pozwolił mu czekać. Uważnie mu się przyglądał. Na koniec zadał pytanie.

— Wiesz może, w jaki sposób zginął Bryngeir?

— Nie, przysięgam — szybko rzucił Benni. — Mówiłem już.

— Dobrze. Na razie to tyle. Później jeszcze pogadamy.

— *Dwudzieste szóste pytanie. Utopiona w głębokim bagnie. Trzecia litera. I przyszedłszy do niej, powiedział, że z całym szacunkiem śluby jej złoży. Spodobało się to Gunnhildzie i pojechała do Danii z pięknym orszakiem. Kiedy dowiedział się król Harald o jej przybyciu, wysłał do niej thraellów i gości. Pochwycili Gunnhildę z wielkim hukiem i pośród szyderstw i utopili tę biedną królową w potwornie głębokim bagnie. Tu skończyła się historia okrucieństw i zbrodni królewskiej matki Gunnhildy. Odpowiedź brzmi „Gunnhilda”, a trzecia litera to N...*

43

Wzywaniem na przesłuchania według ustalonej listy zajmował się Högni i kiedy Benni wychodził z klasy razem z Grimurem po zakończonym przesłuchaniu, nauczyciel zdążył już przyprowadzić Sigurbjörna ze Svalbardi.

— To prawdziwi gliniarze — zachwycił się Benni. Grimur kazał mu iść do domu, a Sigurbjörna wprowadził do środka, gdzie ten usiadł naprzeciwko policjantów śledczych. Wójt zaś zajął miejsce przy drzwiach.

Zaczął Thorolfur.

— Powiedziano mi, że Bryngeir nocował u pana w nocy z soboty na niedzielę. To prawda?

— Nie powiedziałbym, że nocował — odparł Sigurbjörn. — Przyszedł w sobotę i zapytał, czy nie mógłby zostać na noc. Mamy wolne łóżko i czasem wynajmujemy je turystom, więc i jego powitaliśmy z otwartymi ramionami. Kiedy potem wieczorem do nas przyszedł, został poczęstowany kolacją. Ale pod wpływem alkoholu stał się namolny i strasznie męczący. Wyrzuciłem go za drzwi około trzeciej w nocy. Słyszałem, że wpełzł do obory Krakura i przespał tam na zeszlórocznym sianie aż do niedzielnego ranka.

— Dlaczego go pan wyprosił?

— Bo okazał się strasznym chamem. Około północy wszyscy położyliśmy się spać i on też miał iść spać. Ale go jakoś nosiło i w środku nocy zakradł się z gołą dupą do mojej córki Hafdis i chciał wcisnąć się do niej do łóżka. Chciał mi splugawić córkę, parszywiec jeden.

— I co się stało?

— Jej babcia śpi w łóżku obok, ale jakoś nie mogła zasnąć. Zobaczyła, jak siedzi u niej na łóżku, i go przegoniła. Chyba chlusnęła na tego zgniłka ze swojego nocnika. W każdym razie miał mokre plecy, jak natknąłem się na niego na korytarzu i go przepędziłem precz. Potem poskładałem jego rzeczy i wystawiłem za drzwi.

— Nie widział go pan więcej?

— Nie, ale i niespecjalnie go szukałem. Nie zdziwiłem się nawet, jak się okazało, że nie żyje.

— Jak to?

— Zwyczajnie. Jak zajrzałem do jego torby, żeby sprawdzić, czy czego nam nie ukradł, zobaczyłem kartki z zagadką fletejską, które mają leżeć w bibliotece i których nie wolno stamtąd wynosić. Poprzedniego wieczoru przekłety je stamtąd skradł. Bładym świtem poszedłem do gospodyni w Domu Pośrodku i wziąłem od niej klucz do biblioteki, żeby odłożyć kartki na miejsce. Wtedy mi powiedziała, że w sobotę ostatnim, który odwiedził bibliotekę, był przedstawiciel prefekta, i pewno zapomniał zamknąć drzwi na klucz. Te mądrale z Reykjavíku nie potrafią obchodzić się ze skarbami.

— A to jest jedyny klucz do biblioteki?

— Tak. Poza tym, który pożyczył Björn Snorri. Bo często zaglądał do biblioteki.

— Jest pan pewien, że nie spotkał ponownie Bryngeira w niedzielę wieczorem?

Sigurbjörn był wściekły.

— Nie, oczywiście, że go nie spotkałem. Myślisz pan, że kłamię? Myślisz, że zawlokłem gadzinę na cmentarz, ułożyłem na grobie i wyryłem mu krwawego orła na plecach tylko za to, że nie potrafił sprostać wymaganiom gościnności?

— Krwawego orła na plecach? — zapytał Thorolfur.

— Tak.

— Co to znaczy?

— Przecież to oczywiste. Przecież ktoś mu wyrył krwawego orła na plecach.

Nie czytał pan *Flatteyjarbok*?

— Nie.

Sigurbjörn potrząsnął głową.

— To dziś już nie wymaga się od policjantów podstawowego wykształcenia?

— zapytał.

— Trudno uznać *Flatteyjarbok* za podręcznik do kryminalistyki — odparł z godnością Thorolfur.

Sigurbjörn się uśmiechnął.

— No cóż, trudno. Lepiej by było, gdyby pan czytał. Ale spróbuję to panu

wyjaśnić. Sigurd Pogromca Fafnira walczył we Fryzji z Lyngvim Hundingssonem i go pojmał. Zastanawiano się, jaką śmierć powinien ponieść Lyngvi. Reginn poradził, aby wyrzucić go na plecach krwawego orła, i tak uczyniono. Reginn odrąbał mieczem żebra od kręgosłupa, wyciągnął je na wierzch i usunął płuca. Lyngvi zmarł jak się patrzy. Tak to wyglądało, a opowieści o krwawym orle mamy jeszcze w *Sadze mieszkańców Orkadów* i w *Thatturze o Ormie Thorolfssonie*, o ile dobrze pamiętam. A z tego, co wiem, dokładnie to uczyniono z tym ścierwem na cmentarzu.

Policjanci spojrzeli po sobie nawzajem, a Sigurbjörn kontynuował:

— No i jeszcze ten Duńczyk. We *Flateyjarbok* można też znaleźć losy podobne do jego śmierci, ale tej historii oczywiście również nie znacie?

Thorolfur potrząsnął głową.

— Jaka to historia? — zapytał.

— Mamy to w *Sadze Olafa Tryggvasona*. Eyvind Ruczaj przybył na cypel Ögvaldsnes z zamiarem zabicia króla Olafa. Przy użyciu czarów wywołał czarną mgłę, żeby król nie mógł ich zobaczyć, ale sami stali się ślepi i błądzili wkoło. Grupę tę zobaczyła królewska straż i pojmała. Król zaproponował, by wyrzekli się wszelkiego fałszu i uwierzyli w prawdziwego Boga. Ale Eyvind i jego ludzie stanowczo odmówili, więc przewieziono ich na pewien szkier, gdzie zostali skazani na śmierć z głodu i zimna. Od tamtego czasu szkier ten zwie się Skrattasker, Diabelski Szkier. Tak to było. Powinniście zacząć od lektury *Flateyjarbok*, zanim spróbujecie rozwiązać jakąkolwiek zagadkę tu w zatoce Breidafjördur.

— Długa ta książka? — spytał Thorolfur.

— Nie tak bardzo. Thormodur Krakur ma egzemplarz do czytania wydany po wojnie. To cztery tomy, każdy liczący niecałe sześćset stron. Jak się szybko zabierzecie do roboty, to skończycie przed jesiennym spędem owiec.

Thorolfur spojrział na Grimura.

— Może pan załatwić egzemplarz tego dzieła?

— *Dwudzieste siódme pytanie. Człowiek z drewna. Druga litera. Jarl Hakon uprosił swoje bóstwa, Thorgerdę Hörðabrudę i jej siostrę Irpę, by wysłały do Islandii zakłęcie, które całkiem zniszczy Thorleifa. Kazał wziąć klocek drewna wyrzuconego przez morze i wystrugać zeń figurę człowieka. Następnie zabito pewnego mężczyznę, wydarto mu serce i włożono w drewnianą figurę. Ubrano go w szaty i nazwano Thorgardem. Tchnięto weń tak wielkie siły diabelskie, że chodził i rozmawiał z ludźmi. Popyłynął do Islandii i przybył tam, gdy ludzie przebywali na Althingu. Któregoś dnia Thorleif Jarlowy Skald wyszedł ze swojej kwatery i zobaczył człowieka przechodzącego od zachodu przez rzekę Öxara. Thorleif spytał go o imię. Powiedział, że nazywa się Thorgard, i natychmiast pchnął Thorleifa włócznią w tors. Przeszył go na wylot. W chwili, gdy Thorleif został ugodzony, uderzył Thorgarda mieczem, który przeciął go aż do stóp. Thorleif obcisnął się*

mocno koszulą i wrócił do kwatery. Opowiedział ludziom, co go spotkało, puścił koszulę i wtedy wypadły z niego wnętrzności. Skonał w sławie. Odpowiedź brzmi „Thorgard”, a druga litera to H...

44

Högni przyprowadził na przesłuchanie Thormodura Krakura, który stawił się w odświętnym garniturze, z laską i orderem w klapie. Garnitur wciąż jeszcze był wilgotny po nocy, choć rankiem podjęto uczciwą próbę wysuszenia go nad kuchenką. Zgodnie z życzeniem wójta Krakur zabrał ze sobą drukowane tomy *Flateyjarbok* i teraz obejmował je mocno ramionami.

Thorolfur zlustrował kościelny od stóp do głów, zanim rozpoczął przesłuchanie.

— Czy spotkał pan w niedzielę nieboszczyka Bryngeira? — zaczął.

— Około kolacji w wieczór przyszedł do mojej obory — odpowiedział uroczyście Thormodur Krakur. — Poczęstował kuścyczkiem rumu, a ja mu za to dałem filiżankę mleka i kawałek suszonej ryby. Mam czasem w oborze odrobinę suchej ryby, żeby między posiłkami co przegryźć, i tego wieczoru to się przydało. Potem siedzieliśmy i gawędziliśmy sobie.

— A o czym?

— A o snach i nadprzyrodzonych zdolnościach niektórych więcej widzących. Świętej pamięci Bryngeir swoje wiedział i pierwszorzędnie czytał z ważnych snów. Uczył się spirytyzmu w szkole wieczorowej u sławnego medium w Reykjavíku. Niestety, rzadko człowiek spotyka tak rozwiniętych ludzi tu na wyspie. Był trochę jasnowidzący, kiedy był trzeźwy. Dlatego tak dużo pił, powiedział. Niektórzy nie potrafią przyzwyczaić się do mocy i usiłują stłumić zdolności. Takim trzeba pomagać. Ale o snach lubił słuchać i chętnie je czytał. Rozwiązał sen o cielećtach, z którym od dawna się biedziłem. Sen był taki, że zdawało mi się, że jestem koło kościoła i wtedy...

— Dziękuję, nie trzeba — przerwał mu Thorolfur. — Dokąd poszedł, kiedyście się rozstali?

— Powiedział, że idzie załatwić sobie przeprawę do Stykkisholmur, ale najpierw chciał odwiedzić lekarkę.

— Coś mu dolegało?

— Nie, to nie z powodu zdrowia chciał ją widzieć. Powiedziałem mu, że u niej w domu leżą zwłoki starego. Wtedy powiedział, że chce złożyć Johannie kondolencje. Poprosiłem tylko, żeby zachował szacunek.

— A spodziewał się pan czegoś innego?

— Był naturalnie trochę wstawiony, ale przeważnie dobrze się z nim gadało. Czasem ino wstępował w niego chochlik jakiś i żarty się go trzymały.

— Wspominał o Duńczyku?

— Nie, nie przy mnie.

— A wie pan, jak chciał się dostać do Stykkisholmur?

— No jak to? Chciał pogadać z tymi, co mają motorówki, albo z rybakami z kutrów wędkarskich. Wątpię, żeby udało mu się znaleźć kogoś tego wieczoru. Pogoda robiła się coraz gorsza.

— A wspominał może o noclegu na Flatey, gdyby nie udało mu się dostać na ląd?

— Nie. Ja nie mogłem mu zaproponować gościny u siebie, bo nie mam dodatkowego łóżka, ale powiedziałem, że może przenocować u mnie w oborze. Kazałem tylko uważać z ogniem.

— I myśli pan, że nocował w oborze?

— Jego rzeczy wciąż tam były, kiedy wczoraj rano wszedłem do obory.

— O której od pana wyszedł?

Thormodur Krakur pomyślał chwilę.

— Zastanówmy się. Mleko do wielbnego Hannesa zaniósłem koło ósmej wieczór i poszedłem na kolację. Potem koło dziesiątej wróciłem do obory, żeby wody nalać krowom na noc. I już go nie było.

— I nie widział go pan więcej?

— Żywego nie.

— *Dwudzieste ósme pytanie. Brakowało tego Ivarowi. Pierwsza litera. Ivar Bez Kości był przez długie lata królem Anglii. Nie miał dzieci, bo powiadają, że nie czuł chuci, choć mądrości i okrucieństwa mu nie brakowało. Zmarł w Anglii ze starości i tam go pochowano. Odpowiedź to „chuć”, a pierwsza litera C...*

45

Dagbjartur wcześniej zjawił się w szpitalu krajowym i spytał o doktor Thorgerdur Fridriksdottir. Po krótkich poszukiwaniach okazało się, że akurat jest przy operacji.

— Zaczekam — Dagbjartur uśmiechnął się cierpliwie.

Czekał przez trzy godziny, aż wreszcie stanęła przed nim młoda kobieta.

— Powiedziano mi, że chce się pan ze mną widzieć — odezwała się.

Miała na sobie biały fartuch, z przodu poplamiony krwią.

— Usuwałam migdałki. Czasem zdarza się, że mocno krwawią — dodała, zauważywszy, że policjant wbija wzrok w plamy.

Dagbjartur uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Przepraszam za najście. To nie zajmie wiele czasu.

— Nie ma sprawy. O co chodzi?

— Podobno zna pani Johannę Thorvald?

— Tak. Przyjaźnimy się.

— Widziała się pani z nią ostatnio?

— Nie. W tym roku nie. Była trochę uwiązana z powodu ojca. Ale słyszałam, że już jest po wszystkim.

— Kiedy się poznałyście?

— Dlaczego pyta pan o Johannę?

— Na Flatey popełniono zbrodnię i chcemy się dowiedzieć czegoś na temat ludzi, którzy tam mieszkają. Ponieważ jest ich stosunkowo niewielu, chcemy każdego dobrze poznać.

— No cóż. O Johannie mogę mówić jedynie dobrze i mam nadzieję, że to jej nie zaszkodzi. Poznałyśmy się w Kopenhadze po wojnie. Miałyśmy po kilkanaście lat i zaprzyjaźniłyśmy się, kiedy zaręczyła się z moim bratem.

— Jaką była nastolatką?

— Była dziwna, bo wychowywała się, wędrując z ojcem po północnej Europie. Wiele miesięcy zajęło naszej rodzinie przebicie pancerza. Ale kiedy to się wreszcie udało, okazało się, że dziewczyna jest bardzo inteligentna, miła i dowcipna. Prawdę mówiąc, zawsze wyrażała się jak dorosła i mówiła dość zabawnym islandzkim. Czasem można było pomyśleć, że używa języka prosto ze średniowiecznych sag. Ale z rówieśnikami starała się nie mówić tym językiem. My na początku rozmawiałyśmy ze sobą po duńsku, bo zawsze w tym języku mówiłam z moimi przyjaciółmi w Kopenhadze. Zresztą dalej to robimy dla zabawy.

— I od tego czasu utrzymuje pani z nią kontakt?

— Od czasu do czasu. Po śmierci mojego brata zniknęła z życia naszej rodziny. Uwikłała się w nieszczęśliwy związek z jakimś facetem i trwało to kilka lat. Była rok wyżej ode mnie na medycynie i kiedy skończył się ten jej związek, znów zaczęłyśmy się ze sobą kontaktować. Była wtedy bardzo nieszczęśliwa, ale świetnie radziła sobie na studiach. Wydaje mi się, że w tamtym okresie leczyła się psychicznie.

Zobaczyli biegnącą korytarzem pielęgniarkę.

— Pani doktor! Proszę przyjść! Natychmiast! Chłopiec znów zaczął krwawić!

— *Dwudzieste dziewiąte pytanie. Kto miał najbrzydszą stopę? Trzecia litera. Thorarinn Neffulfsson przebywał u króla Olafa w Tunsbergu. Któregoś dnia wczesnym rankiem król czuwał, podczas gdy inni spali. Słońce świeciło i w komnacie było bardzo widno. Thorarinn wysunął jedną nogę spod szat. Król przyglądał się jej przez chwilę, po czym rzekł: „Oto widziałem widok, który bardzo mi w pamięć zapadł, a jest to ludzka stopa i sądzę, że brzydszej w tym mieście nie ma”. Thorarinn odparł: „Zakładam się oto z waszą wysokością, że uda mi się znaleźć brzydszą”. Król odpowiedział: „Ten, który będzie miał rację, niechaj za drugiego zmówi modlitwę”. „Niech tak będzie” — zgodził się Thorarinn. Odstłonił więc drugą stopę, która nic a nic nie była ładniejsza od pierwszej, a do tego brakowało najmniejszego palca. „Oto wygrałem zakład” — oznajmił Thorarinn.*

Król rzekł: „Pierwsza stopa okropniejsza, bo ma pięć brzydkich palców, a tu masz tylko cztery. Pomodlić się więc będziesz za mnie musiał”. Odpowiedź brzmi „Thorarinn”, a trzecia litera to O...

46

Wezwanie na przesłuchanie przez reykjavickich śledczych z tak krótkim wyprzedzeniem nie spodobało się Alfridur, żonie wielebnego. To Högni przyszedł poinformować o konieczności stawienia się przed obliczem funkcjonariuszy, ale spotkał się z bardzo nieprzychylnym przyjęciem gospodyni. Stał zakłopotany w przedpokoju, miętoląc w dłoniach czapkę, podczas gdy pastor przekonywał małżonkę.

— Droga Frido, to jest zupełnie naturalna prośba władz — błagał ją.

— Prośba-sroźba! Jesteśmy ludźmi kościoła!

— Tak, ale przecież to formalności. Chcą rozmawiać ze wszystkimi mieszkańcami Flatey.

— To nie mogą okazać nam odrobiny szacunku i pofatygować się do nas? Też mi džentelmeni! Żebyśmy musieli maszerować tam na oczach wszystkich jak jacyś przestępcy...

— Oni są zajęci, kochanie — starał się wyjaśnić wielebny Hannes. — Prowadzą śledztwo w sprawie śmierci, rozumiesz?

W oczach Alfridur pojawiły się łzy.

— Tak, rozumiem. I niby my mamy coś na ten temat wiedzieć?

— No już, już, Frido — wielebny wziął małżonkę w ramiona. — Powiedz im, że przyjdziemy o jedenastej — rzucił Högniemu.

— O wpół do dwunastej, ani minuty wcześniej — wyszłochała Alfridur.

Högni zaniósł tę wiadomość do szkoły i Grimur dostosował kolejność przesłuchań do życzeń pastorewej. Przesłuchania trwały w najlepsze i po policjantach nie widać było najmniejszych oznak zmęczenia. Większość przesłuchiwanym bawiła u nich dziesięć do piętnastu minut. Ludzie opowiadali o tym, co robili w niedzielę wieczorem i w nocy z niedzieli na poniedziałek. Podawali także imiona tych, którzy mogli to potwierdzić. Odbywało się to szybko i sprawnie i ani razu nie zauważono najmniejszych rozbieżności w zeznaniach. Obraz poczynań Bryngeira w ostatnich dwóch dobach jego życia na Flatey jawił się coraz wyraźniej. Niewyjaśnione pozostawało jedynie, co robił przez tę godzinę, kiedy trwała msza w kościele. Wszyscy, poza doktor Johanną i dwoma przyjezdnymi pijanymi właścicielami kutrów, którzy spali w wynajętym wraz z innymi na tę okazję starym domu, przebywali wówczas w kościele.

Jon Ferdinand spędził na przesłuchaniu zaledwie dwie minuty. Thorolfur zapisał na kartce „demencja” i mu podziękował. Następnie wszedł mały Nonni i potwierdził wszystko, co o ich poczynaniach powiedział Valdi. Cały wieczór

przesiedzieli w domu, gotując morski pasztet.

Dokładnie o wpół do dwunastej do szkoły przybyli pastorostwo.

Högni zapukał do drzwi klasy, wściubił nos i ogłosił ich przybycie. Swoje zeznanie kończyła właśnie Stina z poczty, która ku swemu utrapieniu nie wniosła do śledztwa wiele nowego. Wspomniała, że gospodyni z Radagerdi powiedziała jej w zaufaniu w niedzielę wieczorem, że dziennikarz z Reykjavíku stwierdził, iż rozwiązał zagadkę śmierci na Ketilsey. Niewykluczone, że ona tego samego wieczoru jeszcze komuś powierzyła tę tajemnicę. Po prostu tego nie pamiętała.

— Niech żona pastora wejdzie pierwsza — powiedział Thorolfur do Grimura, kiedy Stina znalazła się już na korytarzu. Był przekonany, że w niedzielny wieczór tajemnicę dziennikarza poznała większość mieszkańców Flatey.

Grimur zniknął za drzwiami, lecz zaraz znów się pojawił.

— Żona pastora odmawia zeznań, chyba że w obecności swojego męża — oznajmił. — Jeśli jest taka możliwość, to uważam, że należy uszanować jej życzenie. Jest raczej zdecydowana — dodał.

Thorolfur uśmiechnął się.

— Proś ich oboje.

Do stołu trzeba było dostawić jedno krzesło.

— Przepraszam, że pozwoliłem sobie państwa niepokoić — powiedział Thorolfur z uśmiechem. — Uznaliśmy, że należy zebrać zeznania od wszystkich mieszkańców wyspy. Zeznania osób wykształconych i inteligentnych, takich jak państwo, którzy naturalnie zauważacie w waszym otoczeniu więcej niż sterani robotnicy, mają szczególne znaczenie.

Alfridur nie bardzo wiedziała, jak potraktować to przyjazne powitanie, więc postanowiła milczeć. Odpowiedział wielebny Hannes.

— To dla nas zaszczyt, że możemy pomóc — powiedział.

— Czy spotkali państwo tego dziennikarza, o którego tu chodzi? — zapytał Thorolfur.

— Nie, w zasadzie nie. Wprawdzie zapukał do naszych drzwi wczesnym wieczorem w sobotę, ale tylko dlatego, że zabłądził. Szukał alkoholu. Przegoniłem go. A potem od czasu do czasu widzieliśmy, jak włóczy się po osadzie albo wędruje ulicą. Z naszego okna w salonie wszystko doskonale widać.

— A możecie państwo jakoś określić czas tych jego wędrówek, zwłaszcza w niedzielę?

Wielebny Hannes zastanowił się chwilę.

— Po raz pierwszy w niedzielę zobaczyliśmy go koło południa, może o wpół do dwunastej. Wychodził wtedy z obory naszego Thormodura Krakura, mojego kościelnego. I później włóczył się po okolicy. Potem, rzecz jasna, zajęci byliśmy przygotowaniami do mszy i zobaczyliśmy go dopiero późnym popołudniem, kiedy Benjamin z Radagerdi zaprowadził go do Krakurowej obory. Gdzieś po siódmej

Benjamin wrócił sam do siebie. Krakur dostarczył nam nasze pół kwatery mleka o ósmej i powiedział, że pozwolił dziennikarzowi nocować u siebie w oborze, jeśli zajdzie taka potrzeba. Krakur to dobry chłop, ale czasem daje się wykorzystywać. Jest też trochę łatwowierny, jak to spirytysta.

Wielebny Hannes spojrzał na małżonkę.

— Nie mam racji, Frido, kochanie? — zapytał. Skinęła głową.

— Jeszcze ktoś włóczył się po okolicy tamtego wieczoru? — dopytywał Thorolfur.

Tym razem odpowiedziała Alfridur.

— Högni, nasz nauczyciel, wyszedł od wójta po kolacji koło ósmej, a przedstawiciel prefekta wyszedł od nich, kiedy dochodziła dziewiąta, przeszedł przez centrum osady i skierował się do środka wyspy. A koło dziesiątej Krakur poszedł do obory. Potem poszliśmy spać i więcej ruchów nie zauważyliśmy.

Thorolfur zapisał sobie najważniejsze punkty, po czym spytał:

— Jest jeszcze coś, co państwa zdaniem mogłoby nam pomóc w śledztwie?

— Nie — wielebny Hannes potrząsnął głową, ale Alfridur go uszczypnęła.

— Nie pamiętasz? — powiedziała cicho.

— Czego nie pamiętam, Frido, kochanie?

Zebrała się na odwagę.

— Ludzie tu na wyspie plotkują, że ten Duńczyk był naszym gościem i że to my widzieliśmy go ostatni. A to jest nieprawda i chcę, aby to było jasne.

— Kto zatem widział go ostatni?

— Kiedy wyszedł od nas, miał iść do doktor Johanny, żeby kupić tabletki na chorobę morską. Tak się bał tej choroby. Dlatego tak wcześniej od nas wyszedł. To ona widziała go ostatnia, a nie my, i proszę, żebyście to zapisali. — Alfridur podkreśliła ten fakt, odchylając głowę do tyłu i krzyżując ręce na piersiach.

Thorolfur podziękował małżonkom za rozmowę. Pastorostwo pożegnali policjantów, zapraszając ich do odwiedzin domu wielebnego. A gdyby źle im było w szkole, to mogliby nawet u nich zanocować. Widocznie Alfridur ich zaakceptowała.

— Musimy porozmawiać z lekarką — oznajmił Thorolfur swemu asystentowi, kiedy pastor z żoną już wyszli. — Wszystkie nici prowadzą do niej.

Chwilę później jeden z marynarzy z kanonierki przyniósł kopertę. Thorolfur otworzył ją i przeczytał treść listu.

— Tak. Koniecznie musimy porozmawiać z lekarką — powtórzył, składając list.

— *Trzydzieste pytanie. Wybierali sobie miejsce upadku. Dziewiąta litera. Król Sverrir oblegał w Tunsbergu Bagłów. Widzieli Baglowie chorągwie obu drużyn, tej, która schodziła z Frodaas, i tej, która wyszła z twierdzy. Obie grupy dobyły mieczy, po czym niektórzy zaczęli padać, a niektórzy uciekli. Wtedy zwrócili*

się Baglowie do Hreidara, żeby zejść ze skały z odsieczą swoim. Hreidar odparł: „Zobaczmy najpierw, co się stanie i czy birkibeinarowie odstąpią od cieku”. I jeszcze powiedział: „Bardzo dziwnie zachowuje się ta grupa, wygląda mi to na jakiś fortel. Patrzcie, szukają sobie miejsca upadku tam, gdzie sucho, albo padają na tarcze. Widzicie może krew na ich mieczach lub szatach?”. „Nie, nie widzimy” — odpowiedzieli. „To sztuczki Sverrira”. Odpowiedź brzmi „Birkibeinarowie”, a dziewiąta litera to N...

47

Po południu nauczyciela posłano do domu lekarki, by zaprosić ją na rozmowę. Wciąż padało i było zimno. Högni szedł szybko pod wiatr, zapiąwszy pod szyją marynarkę. W ciągu doby wszystko na Flatey jakby zmieniło się na gorsze, pogoda również. Zamiast sprawdzać sieci na foki i zbierać kaczki puch, gospodarze siedzieli w domach i czekali, aż policja raczy znaleźć nieszczęśnika, który wymyślił sobie zabijanie ludzi.

Högni długo pukał do drzwi wejściowych domu lekarki, a kiedy nikt nie otwierał, wszedł do małego holu. Na Flatey nie było zwyczaju zamykania drzwi i jeśli ktoś miał jakąś pilną sprawę, normalne było, że zaglądało się do środka.

— Halo! — zawołał, ale odpowiedziało mu tylko echo w pustym holu. Poczł zapach gabinetu lekarskiego i apteki. Na ten szpitalny zapach, który w zależności od okoliczności był przerażający lub urzekający, składała się mieszanina tajemniczych substancji.

Högni wszedł dalej i zajrzał do pokoju po prawej, gdzie stało łóżko szpitalne, na którym spoczywało ciało przykryte białym prześcieradłem. To tutaj Björn Snorri Thorvald czekał na trumnę i ostatnie pożegnanie. Na lichtarzu obok łóżka płonęła świeczka.

„Johanna nie zostawiłaby tak domu” — pomyślał Högni. Musiała być w środku.

— Halo! — zawołał głośniejszym głosem niż przed chwilą.

Teraz usłyszał, jak na piętrze otwierają się drzwi. Johanna pojawiła się na schodach.

— Co się stało, Högni? Źle się czujesz? — spytała.

— Nie, nie. Nikt nie jest chory. Ale policjanci z Reykjavíku chcą z tobą rozmawiać. Z wszystkimi rozmawiają.

— Tak, wiem. To teraz moja kolej? Zaraz tam będę.

— Zaczekam — zaproponował Högni. — Pójdziemy razem.

Johanna zniknęła na chwilę, po czym zeszła ze schodów w płaszczu. Podeszła do łóżka, na którym spoczywało ciało ojca, zgasiła świeczkę i zamknęła pokój z zewnątrz. W holu zdjęła z wieszaka parasol.

— Nieczęsto człowiek widuje na Flatey takie urządzenie — zauważył Högni,

kiedy wyszli na zewnątrz i Johanna rozłożyła parasol.

— Nie, tutejsi ludzie zazwyczaj noszą w rękach co innego, biegając w deszczu między domami — odpowiedziała. Potem już szli w milczeniu.

Högni nie był pewien, ale zdało mu się, że w holu domu lekarki wisiał płaszcz Kjartana, przedstawiciela prefekta.

— *Trzydzieste pierwsze pytanie. Od czego lód zrobił się śliski? Szósta litera. Birkibeinarowie gnali uciekających przez lód, wielu powalając, albowiem większość z nich posiadała buty z kolcami, a uciekający mieli płaskie podeszwy, więc lód zrobił się śliski od krwi. Król podjechał bliżej. Jego zadanie polegało na tym, że każdemu zadawał jedną ranę włócznią, a birkibeinarowie dawali każdemu potrzebującemu ostatnie namaszczenie. Odpowiedź brzmi „od krwi”, a szósta litera to I...*

48

Śledczy Thorolfur przyglądał się kobiecie siedzącej naprzeciwko niego przy stole w szkolnej klasie. Była spokojna i opanowana i milczała od momentu, kiedy się przywitani i zajęła miejsce. Wójt Grimur czekał przy drzwiach na dyspozycje.

— Prosić kolejnych? — zapytał.

Thorolfur potrząsnął głową.

— Nie, poczekamy. To będzie długa rozmowa — zwrócił się do Johanny. — Najpierw porozmawiamy o profesorze Gastonie Lundzie. Pamięta pani, że zjawił się u pani jesienią ubiegłego roku po tabletki na chorobę morską?

— Tak, pamiętam.

— Dostał te tabletki?

— Tak. Mam je w aptece.

— Co było dalej?

— Poszedł na statek.

— Jest pani pewna, że zabrał się tym statkiem?

— Nie, nie jestem pewna. Nie interesowałam się tym.

— Zabawił u pani dłużej niż potrzeba, aby nabyć flakonik tabletek?

— Tak, zabawił u mnie i mojego ojca nieco dłużej.

— Dlaczego?

— Zналиśmy się jeszcze z czasów, gdy mieszkaliśmy z ojcem w Kopenhadze.

— Zatem radosne spotkanie?

— Profesor Lund i mój ojciec cieszyli się, że mają okazję się spotkać.

Thorolfur rozłożył kartkę leżącą na stole.

— Jak wiadomo, w tym śledztwie bierze udział wiele osób — powiedział. — Zarówno w Kopenhadze, jak i Reykjaviku. Rozmawiają z ludźmi i starają się ustalić, jak wyglądało życie Gastona Lunda i Bryngeira. Czy jest coś szczególnego, o czym chciałaby pani nam powiedzieć, zanim będziemy kontynuować tę

rozmowę?

Johanna długo patrzyła na Thorolfura, po czym uśmiechnęła się smutno i pokręciła głową.

— Umówmy się, że pańscy koledzy robią swoją robotę, a pan swoją. Zobaczymy, co z tego będzie.

— Cóż, skoro taka pani wola. — Thorolfur podniósł kartkę. — Oto pierwszy telegram z informacjami w tej sprawie. W Kopenhadze pytano ludzi, czy był w Islandii ktoś, kto żywiłby szczególną niechęć do profesora. Padło tylko jedno imię.

— Tak? Jakie?

— Björn Snorri Thorvald. To nie pani ojciec?

— Tak.

— A zatem profesor Lund nie był miłym gościem w waszym domu ubiegłej jesieni?

— Przeciwnie, był. Mój ojciec i Lund byli bardzo dobrymi przyjaciółmi, przez całe lata współpracowali w Instytucie Arnemagneańskim. Przyjaźń ta osłabła w latach, gdy Dania znalazła się pod okupacją, a z końcem wojny zmieniła się we wrogość. Ale kiedy zeszłej jesieni profesor Lund przypadkiem trafił do nas do domu, rozmawiali ze sobą chwilę i pogodzili się. Myślę, że obaj poczuli się potem lepiej.

— Ktoś może to potwierdzić?

— Nie. Jak pan zapewne wie, mój ojciec nie żyje.

— A jaka była geneza tej niezgody?

— Mojego ojca wyrzucono z posady w instytucie, a on częściowo obwinił o to profesora.

— Dlaczego wyrzucono pani ojca?

— Pańscy ludzie w Kopenhadze potrafią zapewne znaleźć prawdziwą przyczynę. W końcu minęło zaledwie piętnaście lat i ktoś z pewnością będzie to pamiętał.

Thorolfur zacisnął pięści i nachylił się.

— Moglibyśmy szybciej zakończyć tę rozmowę, gdyby zechciała pani współpracować — powiedział.

Johanna uśmiechnęła się chłodno.

— Zapewne ma pan rację. Może więc wytłumaczę wam to, co się wydarzyło, bo wątpię, aby pańscy ludzie dysponowali zdolnościami lub wolą, aby dowiedzieć się, co tak naprawdę się stało.

Johanna opowiedziała policjantom, jak wychowywała się z ojcem podczas wędrówek po Skandynawii i Niemczech. Jak jej ojciec po zajęciu Danii przez Niemców nadal jeździł do Niemiec i jak w ten sposób wzbudził niechęć współpracowników w Instytucie Arnemagneańskim i w Bibliotece Królewskiej. A potem skończyła się wojna i Niemcy wycofali się z Kopenhagi.

— Tego ranka jak zwykle poszłam z ojcem do instytutu, ale kiedy chciał wejść do środka, nie wpuszczono go. Przyszedł jakiś przełożony i oznajmił, że jego etat został zlikwidowany i że cofnięto przepustkę do zbioru rękopisów. Ojciec nie doczekał się dalszych wyjaśnień, a kiedy podniósł nieco głos, wyprowadzono go za drzwi. Było przy tym kilku jego kolegów, między innymi profesor Lund. Nie wiem, jak by się to skończyło, gdyby nie był tam obecny jego islandzki przyjaciel Fridrik Einarsson, który zainterweniował. Potem zabrał nas do siebie do domu i nakarmił. Powiedział mojemu ojcu, że przyczyną obecnej wrogości mogą być wykłady, z którymi jeździł do Niemiec. Trochę później zaproponował, żebyśmy wrócili z nim i z jego rodziną do Islandii i tam pozostali, dopóki nie minie ten niepokój.

— To wtedy przyjechaliście państwo do Islandii?

— Tak.

— I już nigdy nie wróciliście do Kopenhagi?

— Nie.

— Dlaczego nie?

— Ojciec bardzo się starał odzyskać swoją pracę za granicą, ale mu się nie udało. Ja też byłam przeciwna wyjazdowi z Islandii, ponieważ kiedy mieszkaliśmy u Fridrika w Kopenhadze, poznałam jego syna Einara. Razem też płynęliśmy do kraju. Był pierwszym rówieśnikiem, z którym się zaprzyjaźniłam, a potem zaręczyłam. To był bardzo dobry chłopak i nie potrafiłam sobie wyobrazić życia bez niego. Byliśmy razem przez pierwsze lata w liceum, a potem zginął w wypadku.

Thorolfur coś zanotował, po czym zapytał:

— To pani oglądała ziemskie szczątki Gastona Lunda, kiedy w ubiegłym tygodniu je znaleziono i przetransportowano na wyspę?

— Ja.

— Ale go pani nie rozpoznała?

Johanna uśmiechnęła się smutno.

— Łatwo byłoby mi powiedzieć „nie”. Nikt by nie wątpił w prawdziwość moich słów, zważywszy na stan, w jakim znajdowały się zwłoki. I trzymanie się tej wersji nie spowodziłoby na mnie żadnych kłopotów. Ale nie chcę kłamać. Rozpoznałam go, jak tylko go zobaczyłam w tej skrzyni.

— Dlaczego nie powiedziała pani, kto to jest?

— Bardzo mnie to przeraziło. I pomyślałam o ojcu. Miał ostatnie stadium raka i wiedziałam, że zostało mu zaledwie kilka dni. Ale nie czuł się jakoś bardzo źle, bo udało mi się dobrać odpowiednią terapię przeciwbólową. W tamtym momencie nie potrafiłam wyobrazić sobie, by w ostatnich chwilach życia miał rozpaczać nad losem swojego przyjaciela. Postanowiłam odwlec nieco identyfikację, żeby jakoś ochłonać. Nie mogło to wpłynąć na bieg śledztwa, wszak

Lund nie żył od wielu miesięcy. Opóźnienie trwało zaledwie dobę, ale to wystarczyło. Mój ojciec zmarł, nie wiedząc o tym wydarzeniu.

Lukas zakasłał kilka razy, żeby przyciągnąć uwagę Johanny. Teraz nadeszła kolej na jego pytania.

— To ci dopiero historia — powiedział i zwilżył wargi. — Ale myślę, że w rzeczywistości wyglądało to zupełnie inaczej. Na przykład tak: Lund zjawił się u pani po poradę medyczną i żeby zakupić lek. Co się na początku wydarzyło między wami, nie wiem dokładnie, ale poprosił o tabletki przeciw chorobie morskiej. Dała mu pani te tabletki i zasugerowała, żeby jedną albo dwie wziął od razu. Tak uczynił, po czym szybko zasnął i zasnął. Ma pani przecież silne leki usypiające, prawda? Na pewno dostaniemy ich spis.

Johanna spojrzała na niego oniemiała.

— To prawda, apteka jest doskonale zaopatrzona, ale poza tym pańska wersja to absurd.

— Przekonamy się. Lund śpi u pani w salonie. Może trzeba mu było dać jakiś zastrzyk, żeby dalej jak najmocniej spał. Potem zabrała go pani na jakąś łódź i popłynęła z nim na najbardziej odludną wyspę, jaką pani zna w zatoce. Wiemy, że w tamtych dniach skradziono sporą ilość paliwa z jednej z tutejszych łodzi. Potrafi pani sterować motorówką, prawda? Zdaje sobie pani sprawę z tego, że bardzo łatwo sprawdzić te informacje.

— Tak, nieźle sobie radzę z motorówkami. Ale nie mam zielonego pojęcia, gdzie w zatoce znajduje się Ketilsey. I nie mam aż tyle siły, żeby dokądkolwiek zanieść śpiącego mężczyznę. A cóż dopiero do łodzi i z łodzi.

— Może nieboszczyk pani ojciec pomagał w transporcie? Może jesienią był zdrowszy niż w ostatnich dniach? I miał ochotę się zemścić? Można też przewieźć człowieka na wózku. Jest kilka takich na wyspie.

— To niesmaczne, co pan mówi.

— Tak, takich potworności nie da się upiększyć. Co za pomysłowość. Rozwiązanie miało być pamiętne i ostateczne. Jak pani myśli, jak on się czuł, kiedy się obudził i zorientował, gdzie jest?

Johanna długo patrzyła na Lukasa, nim odpowiedziała.

— Jak myślę, jak on się czuł? Powiem panu. Przez pierwsze godziny był wściekły. Potem bardzo wściekły. Wołał i wołał, krzyczał i krzyczał. Potem było mu zimno, a kiedy zapadł zmrok, zaczął się bać. Potem było mu coraz zimniej, coraz bardziej się bał i zaczął płakać. Kiedy rano wstało słońce, był spragniony i głodny, i bardzo zmęczony. Pozbierał drewno wyrzucone na brzeg i przygotował szałas, opierając je o skałę. Uszczelnił ścianę kamieniami i wodorostami. Potem wpłynął do środka i się położył. Może spał z godzinę, dwie, ale się zbudził, trzęsąc się z zimna. Potem zaczął padać deszcz. Znalazł na brzegu jakiś plastikowy pojemnik i zbierał do niego deszczówkę spływającą po głazach. Pił i pił, ale też

moknął na deszczu. Wpełził do swojego szałas i wtedy nie moknął. Ale był mokry, więc w nocy było mu zimniej niż kiedykolwiek w życiu. Leżał i dygotał przez wiele godzin, w końcu nie wytrzymał, wstał i zaczął biegać, żeby się jakoś rozgrzać. Pomogło, tyle że wciąż padało, więc zmókł jeszcze bardziej i wyziął. Następnego dnia się rozpogodziło, wyrzało słońce. Udało mu się zasnąć na kilka godzin. Potem poszedł na brzeg poszukać czegoś do jedzenia. Przewracał kamienie i zbierał kielże, wykopywał piaskówki. Znalazł małża. Wkładał to sobie do ust i bez gryzienia popijał wodą. Nie potrafił wyobrazić sobie, że gryzie to robactwo. Ułożył kamienie na trawie w wielki napis „SOS”. Cztery dni później miał już katar, następnego dnia straszny kaszel, a potem dopadło go zapalenie płuc. Wtedy ułożył małe kamyki na płaskim kamieniu tak, by zostawić jakąś wiadomość. Kasłał i kasłał, dopóki nie zwymiotował. Dostał wysokiej gorączki. Wtedy przestał dygotać. Umarł.

Lukas siedział oniemiały.

— Skąd pani to wie? — zapytał w końcu Thorolfur.

— To nie jest coś, co wiem — odpowiedziała Johanna. — Ale potrafię to sobie wyobrazić i mogę pana zapewnić, że cały czas od chwili, gdy zobaczyłam go w tej skrzyni, myślałam o nim, współczułam mu bardzo, usiłowałam postawić się na jego miejscu, starałam się przekonać samą siebie, że to się szybko skończyło i że ból nie był nieznośny. A to, co panowie tu twierdzą, to czysta niedorzeczność. Nie ja ponoszę winę za to, że znalazł się w tej matni. To, co wydarzyło się u mnie w domu, opisałam dokładnie i zgodnie z prawdą.

Thorolfur patrzył na nią z niedowierzaniem.

— Niech pani opisz to jeszcze raz, każdy szczegół.

— Profesor Lund zapukał do naszych drzwi i przedstawił swoją prośbę. Ja mu otworzyłam i od razu go poznałam. On mnie oczywiście nie rozpoznał, ponieważ kiedy mieszkaliśmy z ojcem w Kopenhadze, byłam jeszcze dzieckiem. Miałam zamiar obsłużyć go, dać mu te tabletki, ale wtedy zobaczył za drzwiami mojego ojca. Przez chwilę nie wiedzieli, jak zareagować na to spotkanie, ale po chwili rzucili się sobie w ramiona i zrobiło się tak jak na początku ich znajomości. Mieli sobie tyle do powiedzenia, a tak mało czasu. Lund powiedział mojemu ojcu, że był w bibliotece i próbował rozwiązać zagadkę. Miał odpowiedzi na wszystkie pytania, ale nie był w stanie porównać rozwiązań z kluczem. Nie rozgryzł jeszcze metody. Mój ojciec całymi godzinami przesiadywał w bibliotece i dobrze przyjrzał się ciągowi liter stanowiących klucz. Odkrył, że jeśli ułożyć litery w odpowiedniej kolejności, to utworzą zdanie. Jeśli litery z odpowiedzi ułożyć w tej samej kolejności co litery klucza, to utworzą ostatnie wersy wiersza, a tym samym rozwiązanie zagadki, *Aenigma Flateyensis*. Lund bardzo się tym podekscytował i postanowił zająć do biblioteki, żeby spróbować ułożyć litery ze swoich odpowiedzi zgodnie z tymi zaleceniami. Mój ojciec mógł mu pożyczyć klucz. Wtedy

zobaczyliśmy na północy statek pocztowy płynący z Brjanslaekur, więc Lund nie miał zbyt dużo czasu. Już go więcej nie widzieliśmy, toteż założyliśmy, że odpłynął. Wieczorem poszłam do biblioteki, drzwi były otwarte, a klucz leżał na gablocie.

— Ale nie zdążył na statek?

— Nie. Wygląda na to, że nie. Pewnie pobiegł do biblioteki, usiadł i zaczął układać litery. Statek pocztowy zbliżał się do brzegu i w końcu Lund nie mógł już tam dłużej siedzieć. Ostatnie, co zrobił, to spisał na kartce litery klucza, żeby dokończyć później. Tę kartkę znaleźliśmy w jego kieszeni. Ale zgodnie z regułami gry było to zakazane.

— I według lokalnych wierzeń miało temu towarzyszyć nieszczęście — dodał Thorolfur.

— Takie krążą słuchy, ale ja w to nie wierzę. Tak naprawdę uważam to za próżną, lecz niewinną zabawę. I jestem zdania, że łączenie tego z wypadkiem i śmiercią to przesada.

— *Trzydzieste drugie pytanie. Trafi bliżej, gdy Bóg zechce. Pierwsza litera. Król Sverrir płynął na łodzi wiosłowej do swego statku. Tuż przed nim w dziób wbiła się strzala. Zaraz też następna wbiła się tuż obok jego kolana. Król siedział i zupełnie nie reagował, ale podszedł do niego jeden z jego ludzi i rzekł: „Niebezpieczny strzał, panie”. A król odparł: „Trafi bliżej, gdy Bóg zechce”. Odpowiedź brzmi „niebezpieczny strzał”, a pierwsza litera to N...*

49

Po południu spodziewano się pierwszej wersji raportu lekarza sądowego z oględzin zwłok Bryngeira, które to zwłoki dotarły ze Stykkisholmur wczesnym rankiem. Ponieważ nie zawsze raporty takie były pisane zrozumiałym językiem, po relację z pierwszej ręki wysłano Dagbjartura. Gdyby pojawiło się coś niezrozumiałego, można było to od razu wyjaśnić. Czasem dawało się także namówić specjalistę na zwierzenia, których nigdy w życiu by nie spisał, chyba że po wielotygodniowych badaniach. Jeśli chodzi o przyczynę śmierci dziennikarza, raczej nie było żadnych wątpliwości, ale trzeba było to potwierdzić. Mogły też pojawić się inne informacje, na przykład na temat siły fizycznej sprawcy, a także czy był praworęczny, leworęczny i tak dalej.

Dagbjartur spotkał się z lekarzem sądowym, Magnusem Hansenem, w prosektorium. Na środku pomieszczenia stały dwa stoły operacyjne, a na nich pod prześcieradłami widać było ludzkie kształty. Dagbjartur był zadowolony, że śledztwo miało się ku końcowi. Bywał tu już wcześniej i tematy rozmów nigdy nie były przyjemne. Gdyby mógł, wołałby nie przyglądać się tym zwłokom.

— Zasypujecie nas zadaniami — powitał go Magnus. Był wysokim człowiekiem po sześćdziesiątce, o dużej twarzy z orlim nosem. Miał w sobie jakąś

godność, kiedy tak górował nad Dagbjarturem w swoim białym kitlu, gumowym fartuchu i białym czepku. Na jego szyi wisiała biała maseczka, a na samym czubku nosa tkwiły okulary, przez które zdawał się nigdy nie patrzeć. W rękach trzymał gęsto zapisane kartki.

Dagbjartur skinął głową i zrobił krok do tyłu. Darzył Magnusa mieszaniną strachu i szacunku. Lekarz znany był z tego, że drwi sobie z tych policjantów i śledczych, których uważa za zbyt pilnych.

— Masz coś dla nas? — spytał uniżenie.

Magnus przyjrzał mu się znad okularów i doszedł do wniosku, że ta mikra dusza nie jest warta kpin.

— O tym pierwszym niewiele mam do powiedzenia — zaczął. — Rozkład posunął się zbyt daleko, by dało się wysnuć jakiegokolwiek wnioski na temat możliwych przyczyn śmierci. To w istocie jest jedynie szkielet i strzępy skóry trzymane do kupy przez ubranie. Zasnęte mięśnie i tkanka miękką na kościach. Poza miejscami, które udało się napocząć ptakom mięsożernym. Tam zostały same kości. Z organów wewnętrznych nie zostało prawie nic poza resztkami serca i pęcherzem, a to niewiele mówi o przyczynach śmierci, tyle tylko, że mógł mieć kłopoty z oddawaniem moczu. Wszystkie kości są całe, więc nie doznał żadnych urazów, które by je uszkodziły. Szczególnie uważnie przyjrzałem się czaszce, która jest kompletnie nieuszkodzona. Nie mam zatem nic do dodania do raportu lekarza okręgowego, co oznacza, że człowiek ten zmarł z wycieńczenia. Przyczyną śmierci będzie więc wyziębienie, chyba że chorował na jakąś chorobę, która osłabiła jego odporność.

Magnus zamilkł i znów spojrzał na Dagbjartura znad okularów.

— A ten drugi? — spytał Dagbjartur, kiedy poczuł, że musi coś powiedzieć.

— Ten drugi to zupełnie inna historia — ożywił się Magnus. Podniósł kartki do nosa i wreszcie wbił w nie wzrok. — To bardzo interesujący przypadek — powiedział. — Najpierw obejrzałem wielkie rany na jego plecach.

I zaczął czytać z kartek:

— „Parawertebralne, przylegające z obu stron do kręgosłupa, bilateralne rany cięte przez tkankę podskórną i żebra, *costae*, trzecie do jedenastego z prawej strony i trzecie do dziesiątego z lewej strony, na połączeniach z *columna vertebralis*”.

— Z czym? — spytał Dagbjartur.

— Kręgosłupem.

— No tak.

— Dokonano tego za pomocą dwóch sprawnych cięć nożem z lewej i trzech z prawej strony. Raczej należałoby to nazwać uderzeniem niż cięciem, bo trzeba dużo siły, aby w ten sposób oddzielić żebra. Sprawca był najprawdopodobniej praworęczny, ale z pewnością trzymał narzędzie zbrodni, którym był ostry nóż,

tasak lub nawet toporek, oburącz. Następnie przez powstałe rany wyciągnął na zewnątrz płuca, na których znajduje się szereg porzrzucanych płytkich nacięć, prawdopodobnie od żeber. Nacięcia powstałe w podobny sposób znajdują się także na tętnicach płucnych.

Magnus zamilkł i czytał dalej w milczeniu.

— Ciekawe, czy umarł natychmiast? — zastanawiał się Dagbjartur.

Magnus spojrzał na niego znad okularów.

— A ty jak sądzisz?

— Chyba tak, myślę.

— Tak, pewno zmarłby natychmiast, gdyby już od jakiegoś czasu nie był martwy.

— Co?

— Wystarczyło minimum spostrzegawczości, żeby zauważyć to na miejscu znalezienia zwłok, ale w waszym zawodzie nie wiecie nawet, co to takie.

Dagbjartur milczał. Wiedział, że Magnus zrobił się złośliwy, a wtedy najlepiej mu się nie narzucać.

— Krawędzie ran nie są opuchnięte. Nawet amator powinien to zauważyć.

— Racja — wtrącił Dagbjartur, choć się z nim nie zgadzał. Nie sądził, aby którykolwiek z jego kolegów znał się na takich szczegółach.

— Krawędzie ran są żółtobrazowe i wyschnięte. Żadnego krwawienia. To wyraźnie świadczy o tym, że człowiek ów już nie żył, kiedy zadawano te rany.

— To jak umarł? — zapytał policjant.

— Znalazłem zasinienie na potylicy świadczące o krwotoku wewnętrznym. Oznacza to, że doznał jakiegoś rodzaju urazu głowy, choć nie śmiertelnego. Raczej został ogłuszony. A przyczyną śmierci było prawdopodobnie utonięcie.

— Utonięcie?

— Tak. Utonięcie jest dość trudne do zdiagnozowania, zwłaszcza gdy się usunie płuca, tak jak w tym przypadku. Ale jeśli się dobrze poszuka, to można znaleźć wszystkie cechy utonięcia. „Grzybek piany w *larynx*, *trachea* oraz *bronchi*” — przeczytał Magnus.

Przerwał lekturę i znad okularów spojrzał na Dagbjartura.

— To oczywiście może również świadczyć o uszkodzeniu serca albo zatruciu dwutlenkiem węgla, więc musiałem wykluczyć te możliwości innymi metodami. I potem zacząłem szukać symptomów utonięcia.

Dagbjartur skinął głową, by wyrazić zainteresowanie. Magnus czytał dalej.

— „Rozdęte płuca, *hyperinflatio pulmonum*, z wklęsnięciami na powierzchni, *indentationes*, pod żebrami. Rozedma płuc, *oedema pulmonum*. Płyn w klatce piersiowej, *hydrothoraces bilaterales*. Płyn w zatokach, *ethmoidal* i *sphenoidal sinus*. Przekrwienie, *congestio*, kości wokół kanalików słuchowych”. Wszystkie te objawy nie są oczywiście przesądzające, ale zebrane razem dają mi

pewność.

Dagbjartur nie mógł się w tym wszystkim połapać i po namyśle zapytał:

— Czyli najpierw został ogłuszony, potem utopiony, a na koniec pocięty?

— Nie wiem. Dostałem wyniki badania, które dowodzą, że był bardzo pijany. Trzy i dwie setne promila etanolu we krwi i dwa i pięćdziesiąt sześć setnych w moczu. Równie dobrze mógł się przewrócić i uraz na potylicy mógł wystąpić na długo przed utonięciem.

Dagbjartur analizował te informacje.

— Utonął w morzu? — zapytał.

Magnus zastanowił się chwilę.

— A to możliwe? — zapytał.

— Tak, niewykluczone — odparł Dagbjartur. — To miało miejsce na niewielkiej wyspie. Otoczonej morzem.

Magnus odwrócił się i podszedł do jednego ze stołów operacyjnych. Uniósł ostrożnie prześcieradło znad twarzy nieboszczyka i skinął na Dagbjartura. Policjant po raz pierwszy zobaczył Bryngeira. Jego jasna brew była bardzo wyraźna. Magnus schylił się i spojrzał głęboko w oczy trupa.

— Nie, w morzu raczej nie utonął — stwierdził. — Woda morska bardzo drażni śluzówki oczu, więc powinny być bardziej zaczerwienione. Ten człowiek utonął prawdopodobnie w czystej słodkiej wodzie.

Patolog przykrył zwłoki.

— Mogę jeszcze dodać — powiedział — że miał marskość wątroby i odszedłby w ciągu kilku lat, chyba żeby zupełnie przestał pić.

— Jednej rzeczy nie rozumiem — przyznał Dagbjartur. — Według raportu moich kolegów, którzy pojechali na miejsce, zwłoki były bardzo zakrwawione. A gdyby został pocięty, kiedy już nie żył, nie powinno być żadnego krwawienia. Prawda?

— Właśnie — powiedział Magnus, a w jego głosie dało się usłyszeć aprobatę. — To świadczy o tym, że musiał umrzeć, leżąc na plecach, a może nawet z podniesionymi nogami. Krew napłynęła do pleców, a cięcia ją uwolniły. No i pękły tętnice. W ten sposób można wytłumaczyć obecność dużej ilości krwi na ciele ofiary.

— A potrafisz sobie wyobrazić, jak mógł w takiej pozycji utonąć? — zapytał Dagbjartur.

— Nie mam niczego, co mógłbym z czystym sumieniem zapisać w raporcie.

— A nieoficjalnie?

Magnus spojrzał znad okularów na śledczego i myślał. W końcu przedstawił swoją wersję.

— Czytałem kiedyś w fachowym piśmie o człowieku, który zamordował trzy żony, w odstępie kilku lat oczywiście. Zaatakował je wszystkie, kiedy leżały w

wannie. Złapał je za łydki i szarpnął za nogi do góry. Tym samym głowa znalazła się pod wodą, a one nawet nie zdążyły zareagować. Na ciałach nie było żadnych obrażeń, więc uznano to za wypadki. Ponieważ miało to miejsce w trzech różnych miastach, nikt nie miał pojęcia o poprzedniej żonie, kiedy zmarła kolejna. Wreszcie ktoś skojarzył te przypadki i wszczęto śledztwo. Policjanci przeprowadzili eksperyment. Poprosili dobrą pływaczkę, by położyła się w wannie, a potem podciągnęli ją za nogi do góry. Kobieta niemal utonęła. Proszę tego nie powtarzać, ale tak to mogło wyglądać i denat mógł leżeć przez jakiś czas z nogami do góry. Siniak na potylicy mógł powstać przy uderzeniu o krawędź wanny.

— *Trzydzieste trzecie pytanie. Zwiastun szczęśliwej wyprawy. Pierwsza litera. Ludzie króla Magnusa i jarla Erlinga przybili do Bröttueyri przed przystanią Skiparkokur i tam zeszli na ląd. A kiedy na ląd zszedł jarl, wywrócił się na kolana i podparł oburącz. Powiedział: „Upadek zwiastuje szczęśliwą wyprawę”. Odpowiedź brzmi „upadek”, a pierwsza litera to U...*

50

Thorolfur przerwał na chwilę przesłuchanie, kiedy marynarz z kanonierki przyniósł mu grubą kopertę. Johanna wstała i wyszła zaczerpnąć świeżego powietrza — obaj policjanci palili, więc powietrze w klasie było przesycone dymem. Grimur opuścił swoje miejsce na korytarzu i wyszedł z lekarką. Högni udał się w tym czasie do Gudjona z Radagerdi, by pomóc mu dokończyć trumnę dla Björna Snorriego.

— Ciągłe pada — powiedziała Johanna.

Grimur spojrział w niebo.

— Ktoś powiedział: „Nie prosz o przelotny deszcz, jeśli boisz się zmoczyć stopy”. Łąki były już bardzo suche i studnie zaczynały wysychać.

— Muszę pamiętać, że każda pogoda ma swój cel.

Stali w milczeniu, dopóki Thorolfur nie wyszedł do nich i nie powiedział, że mogą kontynuować przesłuchanie. Wciągnęła głęboko do płuc powietrze, po czym wróciła do środka.

Thorolfur poprosił Grimura, by odnalazł wysłannika prefekta, Kjartana, i zaprosił go na ostatnie przesłuchanie. Potem wrócił do klasy i usiadł naprzeciwko Johanny.

— Dostałem telegram z Reykjavíku — zaczął. — Wysłaliśmy im spis wszystkich osób przebywających na wyspie i tam porównano go z listą osób, których drogi skrzyżowały się z drogami Bryngeira. Jak widzę, pani jest na obu.

— Nie jest to niemożliwe.

— Kiedy poznała pani Bryngeira?

— Jak byłam w drugiej klasie liceum.

— A jak się poznaliście?

Johanna zastanowiła się przez moment. W końcu powiedziała:

— Pisałam referat na temat *Thattura o Sneglu-Hallim z Flateyjarbok*.

Czasem w liceum, kiedy mi się nic nie chciało, wykorzystywałam tematy z *Flateyjarbok* do referatów. Po wysłuchaniu niezliczonej ilości odczytów mojego ojca w pięciu językach znałam temat od podszewki i w krótkim czasie byłam w stanie napisać przyzwoity referat. Ponieważ wypracowania te uznawano za niezłe, ukazywały się w szkolnej gazecie. Bryngeir był w klasie maturalnej i bardzo go pochłaniała filologia islandzka. Całymi nocami czytał drukowane wydanie *Flateyjarbok* i przeczytawszy mój referat, uznał, że koniecznie musi mnie poznać. Nie za bardzo mi się to spodobało, bo byłam już zaręczona z Einarem Fridrikssonem, o którym wcześniej wspominałam. Poznaliśmy się z Einarem w Kopenhadze, kiedy miałam piętnaście lat, a on siedemnaście. Wtedy jeszcze byliśmy dobrymi przyjaciółmi, ale kiedy nieco dojrzeliliśmy, zakochaliśmy się w sobie. Jego rodzice uczyli się i pracowali w Danii. Już mówiłam, że wrócili do Islandii razem z moim ojcem i ze mną. A w tym czasie Einar kończył liceum. Był w tej samej klasie co Bryngeir.

— Powiedziała pani, że zginął?

— Tak, w okropnym wypadku.

— Co się stało?

— Einarowi zaproponowano członkostwo w dziwnym stowarzyszeniu maturzystów o nazwie Bractwo Wikingów Jomskich. Takie tajne stowarzyszenie dla młodych mężczyzn, snobistycznych i próżniaczych. Nowych członków przyjmowano w jego szeregi podczas idiotycznego obrzędu. I podczas tego obrzędu zdarzył się wypadek i Einar zmarł.

— Jaki wypadek?

— Obrządek polegał na tym, że inscenizowano egzekucję wikingów jomskich po bitwie z wojskami jarla Hakona z Lade. Członkowie deklamowali teksty wikingów jomskich i wojów jarla niczym sztukę teatralną. Kandydat kładł głowę pod miecz, który potem opadał. A delikwent miał zdążyć zabrać głowę, jak Sveinn Buason w sadze. Była to bardzo niewinna pantomima, choć miecz był zarówno ostry, jak i ciężki. Tym razem jednak wszyscy byli strasznie pijani, coś tam się nie udało i miecz trafił Einara w głowę.

— A kto uderzał mieczem? — spytał Thorolfur.

— Nie wie pan?

— Wiem, ale chcę to usłyszeć od pani.

Johanna długo patrzyła na policjanta, z kamienną twarzą, ale w końcu odpowiedziała.

— Kjartan, obecny przedstawiciel prefekta z Patreksfjörður.

Thorolfur uśmiechnął się pod nosem.

— Tak, Kjartan. I został skazany za zabójstwo. Odsiedział kilkuletni wyrok. Spotkanie z nim musiało być dla pani ciężką próbą. Z człowiekiem, który zabił pani narzeczonego.

Johanna długo milczała.

— Tak, to było trudne, ale nie w taki sposób, jak pan to sobie wyobraża — odpowiedziała.

— A w jaki sposób?

— To długa historia.

— Ja żyję dla długich historii.

— No cóż. To ją pan usłyszysz. Bardzo ciężko przeżyłam śmierć Einara. On był bardzo zdolnym i dobrym człowiekiem. I nie mówię tego wyłącznie powodowana wspomnieniem jakiejś młodszej miłości. Jestem dojrzała, ale wciąż potrafię wspominać nasze wspólne chwile i pamiętam te przegadane wieczory. Od chwili, gdy go straciłam, tęskniłam za nim codziennie.

Johanna zamilkła. Ponownie długo milczała i nie podjęła opowieści, dopóki Thorolfur nie zachęcił jej skinieniem głowy.

— Cóż, był pogrzeb, śledztwo, rozprawa i wreszcie skazano Kjartana. Do pewnego stopnia wyżyłam się, nienawidząc go, i ucieszyłam się, kiedy go skazano na więzienie. Opuściłam się przez te miesiące w nauce, ale przeważnie pokazywałam się w szkole. I wtedy Bryngeir zaczął mnie pocieszać. Zdałam sobie sprawę z tego, że jest delikatniejszy, niż się spodziewałam po pierwszych naszych kontaktach, a tak bardzo pragnęłam, żeby ktoś się o mnie troszczył. W tamtym czasie nie miałam co liczyć na wsparcie ojca. Jedyna praca, jaką udało mu się dostać, to posada nauczyciela w gimnazjum, a to było oczywiście marnotrawienie jego wykształcenia i talentu. Dlatego ojciec wpadł w depresję i nawet zaczął dość dużo pić. Bryngeir zdał maturę i jesienią rozpoczął studia filologiczne. Ja uczęszczałam do liceum i tamtej zimy chodziliśmy ze sobą. Wynajęliśmy niewielką suterkę w Melar i zamieszkaliśmy razem. Trwało to cztery lata i gdybym tego nie zakończyła, byłabym załamwiona.

— Jak to? — wtrącił Thorolfur.

— Po tym, jak wprowadziłam się do Bryngeira, szybko zaczął kontrolować każdą minutę mojego życia. Podczas zajęć szkolnych miałam być w szkole, a w domu odrabiać lekcje i wykonywać prace domowe, kiedy nie potrzebował mnie do zaspokajania swoich potrzeb seksualnych czy czegośkolwiek innego, co mu akurat przyszło do głowy. Nie wolno mi było z nikim się spotykać, chyba że w jego obecności. Nie wolno mi było mieć własnego zdania, chyba że on je zaakceptował. Nie wolno mi było podejmować żadnych decyzji dotyczących własnego życia, bo on musiał mieć ostatnie zdanie. Kiedy zrobiłam maturę, zdecydował, że pójdę na medycynę, bo lubiłam się uczyć, a po studiach miałam zostać neurochirurgiem i

utrzymywać wspólny dom. Nigdy mnie nie uderzył, ale słowami grał na mnie jak na instrumencie. Za pomocą kilku zdań potrafił sprawić, że czułam się, jakbym była czymś najlepszym, co mu się w życiu przydarzyło, a kilka kolejnych słów wystarczyło, by wysłać mnie do piekła. To drugie zresztą stało się regułą, bo zaczął nadużywać alkoholu, zrujnował nasze finanse i mnie o to obwiniał. I nagle struna w instrumencie pękła i w trakcie zajęć na drugim roku studiów dostałam załamania nerwowego. Odwieziono mnie do szpitala, położono na oddziale psychiatrycznym. Już podczas pierwszej sesji niezwykle wrażliwy psycholog przekonał mnie, że ten związek stanowi zagrożenie dla mojego życia. Ze szpitala wróciłam prosto do taty. Przestał się nad sobą rozczulać i zajął się mną. Bryngeir starał się wszelkimi sposobami mnie odzyskać, ale ja po czterech latach oglupiania nabrałam w końcu rozumu. Po wielu tygodniach prób pogodził się wreszcie z tym, że nasz związek się już skończył, pozwolił mi przyjść do domu i zabrać ubrania i podręczniki. Wprawdzie bałam się go trochę, bo mi groził, ale jednak byłam przekonana, że mnie nie tknie, a spodziewałam się też, że po terapii u psychologa jego słowa nie są już w stanie mnie skrzywdzić. Dlatego poszłam sama. I to był wielki błąd.

Johanna wzięła szklankę, podniosła do ust i trzymała ją tak dość długo, nie pijąc. Wreszcie upiła nieduży łyk i ostrożnie odstawiła naczynie.

— Kiedy zebrałam swoje rzeczy, włożyłam je do torby i już wychodziłam, poprosił mnie, żebym porozmawiała z nim chwilę. Mówił, że chce mi opowiedzieć o tym, jak mnie zobaczył pierwszy raz. Powiedział, że przeczytał mój referat na temat dwoistości Sneglu-Halliego w gazetce szkolnej, jak już wspomniałam. To, że taki tekst napisała osiemnastolatka, miało podobno go podniecać seksualnie. Dowiedział się w szkole, kim jestem, i od pierwszego wejrzenia postanowił, że musi mnie mieć. To, że mam narzeczonego, stanowiło wprawdzie jakąś przeszkodę, ale znalazł na to radę. Dopilnował, aby Einarowi zaproponowano członkostwo w bractwie jomskim, a kiedy zbliżała się immatrykulacja, załatwił morze alkoholu. Chłopcy byli już mocno pijani, kiedy Einar miał położyć głowę pod miecz. Bryngeir czekał gotowy za jego plecami i jak tylko Einar miał zabrać głowę przed ciosem Kjartana, jak to było w zwyczaju, Bryngeir trącił go kolanem i pchnął pod miecz. Einar zmarł na miejscu, a skoro narzeczony nie żył, rozgrywka ze mną była już łatwa. To właśnie powiedział mi Bryngeir z okazji rozstania, i mimo że wydawało mi się, że jestem gotowa na wszystko, z tym nie byłam sobie w stanie poradzić. Próbowałam powiadomić policję, ale według was byłam zbyt rozhisteryzowana, a Bryngeir przekonał was, że usiłuję się na nim zemścić za to, że ze mną zerwał. Słowo przeciwko słowu, a on zawsze był bardzo przekonujący. Mogłam uważać się za szczęśliwą, że nie skazano mnie za fałszywe oskarżenie. Nie potrafię opisać, jak się potem czułam. Każde wspomnienie czteroletniego związku było niczym okrutny gwałt. Znów zwróciłam się o pomoc do psychologa, a jemu udało się po rocznej terapii nauczyć mnie, jak sobie radzić z tym

cierpieniem. Ból oczywiście wciąż we mnie jest, ale już mu się nie poddaję i już nie przeszkadza mi w życiu.

Johanna umilkła na chwilę, napiła się wody, po czym opowiadała dalej, nie patrząc na policjantów.

— Co ciekawe, cały czas kontynuowałam studia medyczne. Bo Bryngeir co do jednego się nie mylił. Łatwo mi przychodziła nauka, a jedynym sposobem, aby nie myśleć o tym nieszczęściu, były podręczniki do medycyny. Ale nie zrobiłam specjalizacji z neurochirurgii, lecz z psychiatrii.

Znów umilkła i spuściła głowę. Ale się przemogła.

— Kilka lat po zerwaniu z Bryngeirem tata złożył aplikację o posadę na uniwersytecie. Już zdecydowano, że dostanie etat, i nawet mu o tym powiedziano, ale znów diabeł wtrącił swoje trzy grosze. Bryngeir szybko zakończył studia i zarabiał na życie jako jakiś dziennikarzyna. Ja oczywiście opowiedziałam mu wszystko o moim ojcu, a on napisał artykuł, gdzie w bardzo kiepskim stylu przypomniał o odejściu mojego ojca z Instytutu Arnemagneńskiego. Wówczas nie było dobrze widziane, by stary sympatyk nazistów nauczał na uniwersytecie, i etat cofnięto. Tata widział, jak ostatnia szansa w życiu obraca się w nicość. Przez pół roku pił bez przerwy i na koniec wylądował w szpitalu dla psychicznie chorych.

Johanna dała do zrozumienia, że skończyła swoją opowieść.

— Co psychiatra robi jako lekarz okręgowy na prowincji? — spytał Lukas.

— Kiedy przyjechałam ze specjalizacji za granicą, tata był już nieuleczalnie chory na raka. Sama chciałam się nim opiekować, ale musiałam też podjąć pracę, żeby zapewnić nam byt. Dlatego postanowiłam postarać się o posadę lekarza okręgowego w pierwszej spokojnej miejscowości, w której zwolni się etat. Przypadkiem zwolnił się na Flatey, a to nam akurat idealnie pasowało. Lepiej być nie mogło. Nigdy w życiu tu nie byłam i nie myślałam nawet, że to miejsce może mieć jakikolwiek związek z moim życiem przez *Flateyjarbok*. Było nam tutaj dobrze. Znam się na swojej pracy i byłam w stanie podawać tacie psychotropę, które pozwoliły mi na zachowanie jakiejś takiej równowagi. Ale im bardziej przegrywał z rakiem, tym bardziej potrzebował terapii przeciwbólowej. Śmierć była dla niego wybawieniem.

— Jak się pani poczuła, kiedy zjawił się tu Bryngeir?

— Nie widziałam się z nim i nawet nie miałam pojęcia, że tu przyjechał, dopóki wójt Grimur nie wezwał mnie na cmentarz, abym obejrzała zwłoki. Trochę się zdziwiłam.

— Trochę się zdziwiłam?

— Tak. Bryngeir zawsze fascynował się średniowiecznym obyczajem wycinania wrogom krwawego orła na plecach. Uznałam to za dziwny zbieg okoliczności.

— To znaczy, że takie obrażenia nie są pani obce?

— Nigdy ich wcześniej nie widziałam, ale zapamiętałam opisy z *Flateyjarbok*. To, co zobaczyłam, było dość czytelne.

— Mamy świadka, który utrzymuje, że Bryngeir chciał panią odwiedzić. W wieczór, gdy został zamordowany.

— Ale nie odwiedził. Zresztą nie było mnie w domu, więc nie mam pojęcia, czy usiłował się ze mną zobaczyć.

— A gdzie pani była tamtego wieczoru?

— Poszłam na spacer, a potem do biblioteki poczytać.

— Spotkała pani kogoś?

— Kjartan tam zajrzał.

— Jak długo tam byliście?

— Dość długo. W zasadzie do rana.

— Tak długo? Co robiliście?

— Opowiadałam Kjartanowi o *Flateyjarbok*.

Grimur wsadził głowę w drzwi.

— Przepraszam. Nie mogę znaleźć przedstawiciela prefekta.

— Nie znajduje pan przedstawiciela prefekta? — oburzył się Thorolfur.

— Nie, wygląda na to, że wyparował — powiedział Grimur bezradnie. —

Byłem w większości domów, do pozostałych wysłałem pytanie.

— A był pan u lekarki? — spytał Thorolfur.

— Tak, ale nikogo nie było.

Thorolfur zwrócił się do Johanny.

— Wie pani coś na temat Kjartana?

— Tak, odwiedził mnie rano, a ja zaproponowałam mu gorącą kąpiel. Mam w domu wannę, jedyną na wyspie. A potem miał się położyć. Ostatnie wydarzenia bardzo go wyczerpały i miał kłopoty ze snem. Ale udało mu się zasnąć i kiedy przyszedł po mnie Högni, jeszcze spał. Nie miałam serca go budzić. Pewno sam się zbudził i gdzieś poszedł.

Thorolfur patrzył na nią podejrzliwie.

— Mam nadzieję, że jemu pani nic złego nie zrobiła.

Johanna wstała.

— Tak ma to wyglądać? Myśli pan, że przywiązałam go do słupa i wyprułam flaki czy coś podobnego?

Wybiegła wzburzona.

Thorolfur dał Lukasowi znak ręką, żeby za nią wyszedł, po czym spojrzął na Grimura.

— Co miała na myśli?

Grimur wzruszył ramionami.

— Może zabójstwo Asbjörna Grzecznego?

— Kogo?

— To z *Flatexjarbok*.

— Znowu ta cholerna książka? Jak tam opisują to zabójstwo?

Grimur namyślił się.

— Całej książki to ja nie mam w głowie, jak mój sąsiad Sigurbjörn ze Svalbardi, no ale mogę spróbować. Całkiem niedawno to przeglądałem. Asbjörn Grzeczny Virfilsson wpadł w ręce jötunna Brusiego. Brusi otworzył brzuch Asbjörna, chwycił za odbyty i uwiązał do żelaznej kolumny. A potem prowadził go wkoło, owijając jego jelita, podczas gdy tamten długo recytował wiele strof. W końcu Asbjörn oddał życie odważnie i honorowo. Potem Brusiego zabił Orm Storolfsson i wyciął mu na plecach krwawego orła. I już wszystko na ten temat wiecie.

Grimur skończył i wzruszył ramionami. Thorolfur pokiwał głową.

— Mam tylko nadzieję, że pełnomocnik prefekta nadal ma wszystkie wewnętrzności na miejscu.

— *Trzydzieste czwarte pytanie. Mniejsza pieczęć od króla. Pierwsza litera. Ali Hallvardsson miał podobne wyposażenie co król. Wjechał w chaszczę na czele nielicznego oddziału. Wtedy nadbiegli miejscowi i go zabili. Zabrali mu broń i wrzask się zrobił okrutny, że oto król został pokonany. Ale gdy doszło to do króla, kazał dąć w surmy bojowe i zaatakował srogo i odważnie. Zrozumieli wtedy miejscowi, że mniejszą pieczęć nadziali na ruszt, a nie króla. Odpowiedź brzmi „Ali”, a pierwsza litera to A...*

51

O szesnastej Gudjon i Högni skończyli zbijać trumnę dla Björna Snorriego Thorvalda. Spoczywała gotowa na dwóch koziołkach w małym warsztacie na tyłach domu Radagerdi i czekała na transport do domu lekarki. Obaj stolarze przyglądali się swemu dziełu, otrzepując odzież z wiórów i drzazg. Högni zażył tabaki, a Gudjon zapalił papierosa. Trumna była prostą konstrukcją z oheblowanych, niemalowanych desek sosnowych, z mosiężnym krzyżem na wieku, zgodnie z wolą zmarłego. Björn Snorri umówił się z Gudjonem wiele miesięcy wcześniej. Prawdę mówiąc, życzył sobie, aby stolarz natychmiast wziął się do roboty, ale Gudjon nie chciał o tym nawet słyszeć. Potrafił zbijać solidne trumny dla swoich wieśniaków w razie potrzeby. Ale nie mogło być mowy, by robił to, zanim zainteresowany na pewno umrze. Nie chciał zachowywać się niestosownie ani poniżać Wszechmocnego.

Wciąż padało, ale przestało wiać. Ociepliło się nawet, kiedy zjawił się z wózkiem Thormodur Krakur w swoim odświętym garniturze. We trzech wynieśli trumnę z warsztatu i położyli na wózku. Potem ruszyli w głąb wyspy, ciągnąc wózek.

Przed domem lekarki stali policjant Lukas i jeden z marynarzy z kanonierki.

— Johanna, zdaje się, jest w areszcie domowym — szepnął smutno Högni.

Wnieśli trumnę do domu, do salonu, w którym na łóżku szpitalnym spoczywały umyte zwłoki Björna Snorriego ubrane w białą szatę. Głowę obwiązano mu kawałkiem lnu, aby docisnąć żuchwę i zamknąć usta. Na stoliku obok łóżka paliły się trzy świece. Johanna Thorvald i wielebny Hannes przyjęli ich w salonie.

Położyli trumnę na podłodze obok nieboszczyka, a Johanna włożyła do niej białą kołdrę i poduszkę. Następnie trzej panowie wspólnie podnieśli sztywne ciało i złożyli w trumnie.

Wielebny Hannes podszedł do trumny i wygłosił pożegnanie, pozostali zmówili *Ojcie nasz*, a trzej przybyli mężczyźni zaśpiewali krótki psalm. Na koniec każdy uczynił znak krzyża nad zmarłym, okryto go kołdrą i nałożono wieko trumny. Gudjon wyjął młotek i przymocował je z pomocą kilku gwoździ.

Högni i Gudjon wynieśli trumnę z domu i ułożyli na wózku. Thormodur Krakur podniósł dyszel i pociągnął go za sobą. Za wózkiem szli Johanna i wielebny Hannes, za nimi Högni i Gudjon, a na końcu, w sporej odległości, funkcjonariusz Lukas i jego asystent z kanonierki.

Po drodze Högni rozmyślał o nieboszczyku. Björn Snorri mieszkał z córką w domu lekarskim nieco ponad dwa lata. Poprzedniego roku był w miarę silny, wtedy jeszcze chodził na spacer po wyspie i wdawał się w rozmowy z mieszkańcami. Każdy wiedział, że przyjechał na Flatey, by umrzeć, i dlatego wypiarze w jakiś sposób się go wstydzili. Ale nie dało się ukryć, że był wybitnie inteligentny i odczytany. I wciąż spragniony wiedzy. Wypytywał wszystkich o ich pracę, zainteresowania i zapisywał to sobie w małym notesie. Potem zaczęło ubywać dni, w których mógł sobie pozwolić na spacer, aż wreszcie przestał wychodzić z domu i leżał przykuty do łóżka w gabinecie lekarskim. Wtedy mieszkańcy wyspy zaczęli go tam odwiedzać, żeby opowiadać mu rozmaite historie. Głównie na temat katastrof morskich i wypadków sprzed dziesięcioleci, które sobie przypominali, a Björn Snorri słuchał ich z uśmiechem i wdzięcznością w oczach. Teraz Högni zastanawiał się, czy te opowieści zostały przez kogoś spisane. Pewno wspomniano o tych zdarzeniach gdzieś w annałach, ale nie ma pewności, że historie przekazywane z pokolenia na pokolenie istnieją w takiej wersji. Może z każdą osobą umierającą na tych wyspach ginęła także niezmierna wiedza? A sam Björn Snorri? Napisał oczywiście niezliczoną ilość rozpraw naukowych, ale czyż większość jego wiedzy nie przeminęła niezapisana? A może to jest tak, że zmarli nie całkiem znikają, tylko idą przodem? Może i jemu będzie jeszcze kiedyś dane spotkać Björna Snorriego w jakimś innym miejscu?

Doszli do kościoła. Högni i Gudjon zdjęli trumnę z wózka, a w tym czasie Thormodur Krakur otworzył drzwi. Wnieśli trumnę i postawili ją na dwóch podnóżkach pośrodku kościoła. Wyszli.

Johanna pożegnała się i wróciła do domu w towarzystwie Lukasa i jego towarzysza, a pozostali zatrzymali się na chwilę przed kościołem, ciesząc wzrok widokami i płuca świeżym powietrzem.

— Czy mi się zdaje, czy na Kerlingarholmie macha jakiś człowiek? — zauważył Thormodur Krakur, wytyżając wzrok na południe w stronę przesmyku, gdzie akurat był silny przypływ. Högni spojrział w kierunku, w którym wskazywał kościelny, i wyraźnie dostrzegł stojącą na brzegu i machającą obiema rękami sylwetkę.

— Czy to możliwe, żeby przedstawiciela prefekta odciął przypływ na wysepce? — zastanawiał się nauczyciel. — Zdaje się, że go dzisiaj poszukiwano.

Gudjon uśmiechnął się.

— On się niczym nie różni od baranów. Ciekawe, czego tam szukał?

— Muszę po niego popłynąć — rzucił Högni. — Stara łupina Sigurbjörna stoi na brzegu w starej przystani. Pomożecie mi ją zepchnąć na wodę?

— *Trzydzieste piąte pytanie. Co spowodowało, że można było objechać Islandię wokół? Siódma litera. Mroźna zima w Islandii była tak sroga, że aż zamarzło morze i z każdego cypla można było przez każdą zatokę konno wokół przejechać. Odpowiedź brzmi „mroźna zima”, a siódma litera to Z...*

52

Högni, Gudjon i Thormodur Krakur znaleźli leżącą do góry dnem łódkę na trawiastym brzegu na południe od kościoła. Ostrożnie przewrócili ją na stępkę, a pod nią odkryli wiosła. Powoli naparli na łódkę i zepchnęli ją na wodę. Högni wszedł do środka z wiosłami i sprawdził, czy nie przecieka. Potem zaczął wiosłować ile sił, kierując się w stronę wysepki, a jego towarzysze pozostali na brzegu.

Kiedy Högni dobił do szkiei, ujrzał zawstydzonego młodzieńca stojącego na kamieniach. Łódź Högniego zaryła stępką w dno i Kjartan wszedł do łódki, po czym natychmiast ruszyli z powrotem.

— Dziękuję, że pan po mnie przypłynął. Naprawdę miałem szczęście, że mnie pan zauważył — podziękował Kjartan Högniemu.

— Na pewno byś pan przeżył — odparł Högni, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. — Zaraz się zacznie odpływ i wróciłbyś pan tą samą drogą, którą się tam dostał.

— Pewno ma pan rację. Tylko że trochę zatrwożyłem się, jak zobaczyłem, że poziom wody się podniósł. Bełt był prawie całkiem suchy, kiedy przechodziłem. Postanowiłem poobserwować sobie ptaki. A kiedy chciałem wrócić, zaczął się przypływ i nie byłem pewien, czy uda mi się przejść. Nie wiedziałem, jak jest głęboko.

— Miałeś pan rację, żeś zaczekał — zapewnił go nauczyciel. — Tu są

ruchome piaski i głęboki rów po drodze.

— Mam tylko nadzieję, że nikt się nie zaczął o mnie martwić.

— Policjanci pytali. Na pewno się ucieszą na pana widok.

— *Trzydzieste szóste pytanie. Zabity przez żmiję. Pierwsza litera. Król Olaf Tryggvason przybył ze swoją drużyną do domu Rauda Krzepkiego i wyważyli drzwi. Pojmano Rauda, a jego ludzi zabito lub związano. Król kazał Raudowi przyjąć chrzest. A ten odparł, że nigdy nie uwierzy w Chrystusa, i bluźnił Mu na różne sposoby. Przywiązano więc Rauda do żelaznej żerdzi i włożono między zęby knebel, by mu usta zamknąć. Kazał król przynieść żmiję z wrzosowiska i włożyć Raudowi do ust. Ale gdy Raud mocno dmuchnął, żmija pierzchła. Wtedy kazał król trąbę przynieść, włożyć Raudowi w usta, a żmiję do trąby. Następnie przystawiono do trąby rozpalone żelazo. Żmija skryła się w ustach Rauda, stamtąd dostała się do płuc i do serca i wygryzła się lewym bokiem. Tak zginął Raud. Odpowiedź brzmi „Raud”, a pierwsza litera to R...*

53

Wójt Grimur i śledczy Thorolfur byli w budynku szkoły sami, kiedy zjawił się tam Kjartan. Śpieszył się, więc był zdyszany. Tuż za nim przyszedł Högni.

— Przepraszam — powiedział Kjartan. — Zdaje się, że byłem poszukiwany.

Grimur wyglądał na zadowolonego, widząc go żywym, ale Thorolfur zachował kamienny wyraz twarzy.

— Högni obiecał odwołać poszukiwania — dodał Kjartan.

— Gdzieś się pan dzisiaj podziewał? — spytał Thorolfur.

— Kiedy stąd wyszedłem, udałem się po swoją walizkę, a potem poszedłem odwiedzić doktor Johannę. Zapropowała mi, że mogę się u niej wykąpać. A potem pozwoliła mi położyć się na chwilę i zdaje się, że zasnąłem dość mocno, bo jak się obudziłem, to już jej nie było. Dziwnie się czułem sam w pustym domu, w którym do tego leżą zwłoki starego człowieka. Dlatego go opuściłem i poszedłem na południowy brzeg obserwować ptaki i pomyśleć. Zapędziłem się na okoliczne wyspy i tam mnie złapał przyptływ.

Thorolfur z niedowierzaniem kręcił głową.

— A o czym niby musiał pan pomyśleć? — zapytał.

— Musiałem dojść do siebie.

— A pogubił się pan?

— Nie. Ale w ostatnich dniach bardzo wiele się działo, a ja nie przywykłem do takiego obciążenia. Zazwyczaj staram się unikać sytuacji, które duchowo mnie przerastają. Niewiele potrzeba, żeby wyprowadzić mnie z równowagi, szybko wpadam w depresję.

Thorolfur odczekał chwilę, nim zapytał:

— Czy jest coś szczególnego, co chciałby mi pan powiedzieć, zanim zadam

pierwsze pytanie przesłuchania?

— Coś szczególnego?

— Tak. Coś, co według pana mogłoby tę sprawę wyjaśnić?

— Nie. Nie sędzę.

— No cóż. Otrzymaliśmy informację, że znał pan świętej pamięci Bryngeira, a do tego jeszcze siedział w więzieniu za zabójstwo.

Kjartan spojrział wzrokiem męczennika na Grimura, po czym odpowiedział:

— Tak. Jedno i drugie to prawda. Znałem Bryngeira i siedziałem w więzieniu. Uważam jednak, że to nie było zabójstwo, lecz wypadek.

— Bryngeir miał związek z tym zabójstwem — powiedział Thorolfur.

— Tak.

— Proszę mi o tym opowiedzieć.

— Chce pan usłyszeć od początku?

— Tak.

— To długa historia.

— Dzisiaj słyszałem wiele długich historii, więc mogę wysłuchać jeszcze jednej.

Kjartan rozpiął koszulę pod szyją.

— No dobrze. Historia zaczyna się, kiedy byłem w ostatniej klasie liceum i zostałem członkiem stowarzyszenia zwanego Bractwem Wikingów Jomskich.

— Bractwo Wikingów Jomskich? Co to znaczy? — spytał Thorolfur.

— Wikingowie jomscy to grupa śmiałków z końca X wieku, którzy mieszkali w prastarym grodzie Jomsborg i stamtąd ruszali na podboje. Ich historia skończyła się, kiedy ulegli w bitwie jarlowi Hakonowi z Lade w Norwegii.

— Proszę mi opowiedzieć o tym stowarzyszeniu.

— Było nas może trzydziestu chłopaków, którzy albo kończyli liceum, albo byli na pierwszym lub drugim roku studiów. Weseli, inteligentni młodzi ludzie, w większości z dobrze sytuowanych rodzin. Ja byłem wyjątkiem, biednym i spokojnym.

— Jakie cele miało to stowarzyszenie?

— Oficjalnie był to klub czytelniczy czy też kulturalny, ale jednocześnie półtajna konfraternia. Absolwenci liceum przystępowali doń od kilku dziesięcioleci. Kandydatów wybierano spośród dwóch ostatnich roczników liceum, a członkowie występowali z organizacji, kiedy już dobrze okrzepli na studiach. Dlatego w stowarzyszeniu była wciąż nowa krew. Kiedy ja wstępowałem do organizacji, spotkania odbywały się raz w miesiącu, najczęściej w niewielkiej salce będącej w dyspozycji firmy, której właścicielem był ojciec jednego z członków. Bawiliśmy się, recytując dwuznaczne wiersze i limeryki, które członkowie gdzieś wygrzebywali albo sami układali. Czasem zapraszano zdolnych literatów, żeby czytali lub wygłaszali odczyty. Organizowano także kluby dyskusyjne, rzadziej

prezentowano muzykę czy sztuki teatralne. Taki lekki snobizm. Towarzyszył temu alkohol, a czasem takie spotkanie mogło się przerodzić w kompletne pijaństwo.

— Co pana przyciągnęło do tego towarzystwa?

— Próżność.

— Tak?

— Byłem dość dobrze obeznany w dziełach zagranicznych autorów. Mój wujek, który był marynarzem, czasem przywoził z zagranicy rozmaite pisma, które ja tłumaczyłem na te spotkania. To znaczyło, że mogłem dostarczyć fajny materiał na zebrania. Kiedy zaproponowano mi członkostwo, poczułem się doceniony, no i lubiłem się napić.

— I co tam się stało?

— Kiedy nowi członkowie wstępowali do organizacji, musieli podstawić głowę pod miecz, jak to nazywano. Bractwo miało miecz przypominający broń średniowieczną. Dobrą kopię, której wykonanie wiele lat wcześniej zlecono zdolnemu kowalowi. Miecz był ciężki i ostry. Jeden z członków trzymał miecz gotowy do ciosu, podczas gdy nowicjusz kładł głowę na szafot. Do tego czytano fragment sagi i po odpowiednich słowach miecz opadał. Końcówka tego fragmentu brzmiała jakoś tak: „Członek hirdu złapał za włosy, owinął je sobie wokół dłoni i tak oburącz przytrzymał Sveina. Thorkell uniósł miecz i szybko uderzył”. Kiedy padały słowa „szybko uderzył”, miecz miał opaść. Poza tym nowicjusz zawsze widział cień kata i miał czas, aby zabrać głowę spod miecza. Ale jak ktoś chciał być uznany za odważnego, czekał, aż miecz zacznie opadać. Wtedy chórem wszyscy wołali: „Kto, do licha, wraził łapy w moje włosy?” i uznawano, że kandydat przeszedł chrzest.

— Dlaczego to pan tym razem trzymał miecz?

— To była swoista oznaka szacunku. Kiedy człowiek należał już jakiś czas do towarzystwa i wyrobił sobie jakąś pozycję, wolno mu było raz spuścić miecz i dzięki temu awansował do elity. Bryngeir zaproponował, żebym to ja tego wieczoru był katem.

— I to był wypadek?

— Tak, to był wypadek albo w każdym razie wyglądało to na wypadek. Opuściłem miecz na hasło i kątem oka widziałem, że Einar odsunął się od szafotu. Ale zupełnie jakby odbił się od ściany, bo znów znalazł się pod mieczem, który akurat spadł. Wbił mu się w kark i Einar zmarł na miejscu.

— Przestraszył się pan?

— Oczywiście, okropnie. Kiedy miecz dotknął przeszkody, to na początku czułem, że jest to coś twardego, jak szafot, ale potem nagle miecz utkwiał w czymś, co było nieprzyjemnie miękkie. Kiedy zorientowałem się, co się stało, zemdlałem, uderzając głową w róg stołu.

Kjartan podniósł dłoń i dotknął blizny na czole.

— Czyli to był wypadek?

— Tak, oczywiście. Straszny wypadek. Ale potem ktoś powiedział, że za wcześnie opuściłem miecz. I zamiast stanąć po mojej stronie w śledztwie, moi współtowarzysze świadczyli przeciwko mnie, twierdząc, że ciąłem wcześniej i mocniej, niż nakazuje zwyczaj. Twierdzili, że zwykle to była niewinna zabawa, niegroźna dla nikogo.

— A tak było?

— Nie, cała ceremonia polegała na tym, żeby miecz po uderzeniu wbił się w szafot.

— Według moich informacji obwiniął pan Bryngeira o ten wypadek.

— Tak. Kiedy kilka dni później minęła panika, udało mi się przypomnieć sobie tamten moment. Jestem pewien, że Bryngeir stał za Einarem i pchnął go pod miecz.

— Nikt panu nie uwierzył?

— Nie, a ktoś poświadczył nawet, że Bryngeira w ogóle nie było na sali. Wydając na mnie wyrok, uznano to za okoliczność obciążającą. Powiedzieli, że wniosłem fałszywe oskarżenie. Siedziałem w więzieniu przez pięć lat, jak pan oczywiście wie.

Thorolfur skinął głową.

— I nagle przyjechał pan tutaj wyręczać policję!

Kjartan zaprzeczył.

— Nie ja sobie tego życzyłem. Miałem nadzieję na innego rodzaju pracę, kiedy latem dostałem się na ten staż.

— Co pan poczuł, gdy spotkał tutaj Bryngeira?

— Nie wiedziałem, co to za dziennikarz, dopóki nie zobaczyłem martwego Bryngeira na cmentarzu. Wtedy naprawdę mnie ruszyło.

— Gdzie pan był w niedzielę wieczorem?

— Poszedłem na spacer po wyspie, a wracając, zaszedłem do biblioteki. Siedziała w niej doktor Johanna.

— Wiedział pan, że była narzeczoną świętej pamięci Einara?

— Wtedy nie wiedziałem, ale teraz wiem.

— Kiedy się pan dowiedział?

— Powiedziała mi to tej nocy w czasie długiej rozmowy.

— Powiedziała, że Bryngeir przyznał się przed nią, że to on był sprawcą śmierci Einara?

— Tak.

— I jak pan zareagował?

— Ulżyło mi, gdy to usłyszałem.

— Tak?

— Tak. Chociaż byłem przekonany, że to nie ja spowodowałem wypadek,

dobrze było to potwierdzić. Przez te wszystkie lata naprawdę fatalnie się czułem.

— Może chciał się pan zemścić na Bryngeirze?

— Naprawdę miałem pełne ręce roboty, żeby pogodzić się z samym sobą i rozpocząć nowe życie. Nie było w nim miejsca dla Bryngeira.

— Ale jednak się znalazło?

— Tak. Tam, na cmentarzu, jakbym zobaczył zmartwychwstałego upiora. Wydaje mi się, że doznałem szoku, gdy zobaczyłem go wczoraj wieczorem.

— Dzisiaj lepiej się pan czuje?

— Tak. Wczoraj po południu poszedłem do Johanny wziąć kąpiel i poprosiłem, żeby mi pomogła. Dała mi jakieś tabletki na uspokojenie i udało mi się dojść do siebie.

— Dobrze, że tutaj na wyspie mają psychiatrę, miał się pan do kogo zwrócić.

— Lukas postanowił wtrącić się do rozmowy. — Ale te przypadki wydają mi się dość dziwne — kontynuował. — Zjawia się tu niechlubny dziennikarzyna i pijanica z Reykjavíku. Przez ponad dobę pałęta się po okolicy, sprawiając wszystkim przykrość, a niektórym bolesny kłopot. A pan z koleżanką nie mieliście pojęcia, że tu jest! Przecież to kompletnie nieprawdopodobne!

— Wiedziałem, że przyjechał dziennikarz, ale nie wiedziałem kto. Ale jak teraz o tym myślę, to mam wrażenie, że on starał się mnie unikać. Johanny zresztą też. Może nie było w tym nic nienaturalnego.

— Tak, naturalnie, że tak postępował, ale nagle w niedzielę wieczorem postanowił ją odwiedzić — ironizował Lukas.

W drzwiach pojawiła się głowa marynarza z kanonierki, który podał Thorolfuowi kopertę.

— Oboje byliśmy wieczorem w bibliotece — odpowiedział Kjartan. — Czyli pocałował kłamkę.

— A jeśliby was razem spotkał? Żadnych innych świadków i pan z nowo nabytym scyzorykiem pod ręką. Nie skusiłby się pan, żeby wyrównać rachunki z potworem?

Kjartan odruchowo pomacał się po kieszeni spodni.

— Kupił pan scyzoryk w sklepie, prawda?

— Tak, ale wydaje mi się, że musiałem go zgubić. Mam dziurę w kieszeni.

— No cóż. Myślę, że tak to wyglądało: Bryngeir przyszedł w odwiedziny do Johanny. Zastał dom niezamknięty, a ponieważ nikt nie odpowiadał, wszedł do środka. Johanna uciniała sobie wówczas z panem pogawędkę w bibliotece. Bryngeir oczywiście był łajdakiem i pomimo zwłok pozostawionych w domu przeszukał dokumenty lekarki. I wiecie co? Znalazł papiery Gastona Lunda, które zostawiła sobie Johanna ostatniej jesieni, gdy odstawiła go śpiącego na Ketilsey. Według tego, co twierdzą świadkowie, coś musiało wskazać Bryngeirowi właściwy trop w sprawie Lunda. Taaak. A potem dziennikarz wyszedł i postanowił przejść przez

cmentarz. I oto proszę, spotkał państwa na cmentarzu, a pan wtedy jeszcze nie zgubił scyzoryka. Przywitawszy się z nim, rzuciliście go na ziemię i przytrzymaliście twarzą w błocie, żeby zagłuszyć krzyki, gdy pan rytował mu plecy i wysupłał płuca przez ranę. A może to lekarka odwalila robotę? W każdym razie, kiedy już było po wszystkim, położyliście go na nagrobku i poszliście do domu celebrować dobrze wykonaną robotę. Zapomnieliście tylko zajrzeć mu do kieszeni i dlatego nie znaleźliście papierów, które dosłownie przed chwilą wam ukradł.

Kjartan nie odpowiedział. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął fiolkę z pigułkami.

— Co to jest? — spytał Thorolfur.

— Lek, który dostałem od Johanny. Wydaje mi się, że muszę zażyć kolejną dawkę. To są niesłychane zarzuty.

Thorolfur odebrał mu fiolkę, przeczytał etykietę i schował pigułki do kieszeni.

— Wstrzymamy się z tym trochę. Wersja mojego kolegi nie jest nieprawdopodobna, ale trzeba ją uzupełnić. Właśnie dostałem raport z pierwszego etapu autopsji, który sugeruje, że Bryngeir utonął i prawdopodobnie już dawno nie żył, kiedy pocięto mu plecy.

Teraz zdziwił się Lukas.

— Utonął w morzu? — zapytał.

— Nie, w słodkiej wodzie — odparł Thorolfur.

— W słodkiej wodzie? A tu na wyspie jest jakiś staw czy strumyk? — Lukas spojrzął na wójta.

— Nie. Tylko bagno, ale ono na skutek dobrej pogody już prawie wyschło.

Thorolfur jeszcze raz przeczytał kartkę i spojrzął na Kjartana.

— Nasz kolega w Reykjavíku uważa za prawdopodobne, że Bryngeir utonął w wannie. A w domu lekarki jest wanna, o ile dobrze zrozumiałem. Może skubańca utopiono w wannie, zanim został pocięty. W takim razie musieliście nakryć go u lekarki w domu i tam go załatwić. Niemożliwe?

Kjartan zdawał się już nie słuchać. Tylko ramiona mu się trzęsły. Thorolfur wyjął gwałtownie fiolkę z lekiem z kieszeni i rzucił na stół przed nim.

— Proszę, niech pan weźmie te swoje pigułki i powie nam prawdę.

Kjartan spojrzął na Grimura.

— Mogę prosić o szklankę wody?

Grimur wyszedł na korytarz i po chwili wrócił z filiżanką z wodą.

Kjartan wziął do ust dwie tabletki i popił.

— Po prostu nie da się powiedzieć innej prawdy — stwierdził.

Thorolfur potrząsnął głową.

— Sprawdziliśmy poczynania każdego mieszkańca wyspy w niedzielny wieczór i w noc z niedzieli na poniedziałek. Nie działa się nic niezwykłego.

Natomiast pan i Johanna nie spaliście do bladego świtu i mieliście istotny powód, by zabić dziennikarza. Choćby nie wiem, ile razy powtarzał mi pan inne wersje, trudno mi będzie uwierzyć.

— Nawet nie zbliżyłem się do Bryngeira — powtórzył Kjartan.

— Proszę mi opowiedzieć o nocy — zażyczył sobie Thorolfur.

— Siedzieliśmy z Johanną do świtu w bibliotece, a potem odprowadziłem ją do domu i pożegnałem przed drzwiami. Zaczęło padać, więc szybko wróciłem do wójta do domu i cichutko zakradłem się na strych. Nie miałem pojęcia o Bryngeirze, dopóki Grimur nie kazał mi przyjść. — Kjartan otarł dłonią pot z czoła.

— A coście takiego robili całą noc w bibliotece? — spytał Thorolfur.

— Johanna opowiadała mi o *Flateyjarbok*.

— Przez całą noc?

— Tak.

— O której godzinie się pan położył?

— Nie patrzyłem na zegarek, ale był już dzień. Mogła być szósta.

Thorolfur zastanowił się chwilę.

— Pójdzie pan z nami na kanonierkę — zdecydował. — Kajuta już jest gotowa. Johanna pozostanie w swoim domu pod nadzorem. Każde z was sporządzi dokładny opis wydarzeń tamtej nocy. Ciekawe, jak zgodnie opiszecie szczegóły.

— *Trzydzieste siódme pytanie. Tam, gdzie mieści się ludzki śmiech. Pierwsza litera. Złość każdego człowieka jest w żółci, a życie w sercu, pamięć w mózgu, ambicja w płucach, śmiech w śledzionie, zabawa w wątrobie. Odpowiedź brzmi „śledziona”, a pierwsza litera to Ś...*

54

W domu wójta podczas kolacji panowała ciężka atmosfera. Grimur, Högni i Ingibjörg siedzieli w kuchni, jedli sadzone jajka mewy trójpalczastej, smażone piersi maskonura i karmelizowane ziemniaki. Jedzenia było dość, bo Ingibjörg spodziewała się na kolacji i obu policjantów, i Kjartana. Ale ci przebywali na pokładzie kanonierki i mieli tam pozostać cały wieczór, a pewnie także i noc. Następnego ranka o jedenastej zaplanowano pogrzeb Björna Snorriego Thorvalda, a po południu kanonierka miała opuścić przystań. Johanna i Kjartan mieli odpłynąć w celu złożenia dalszych wyjaśnień. Policjanci byli przekonani, że to oni odpowiadają za śmierć Bryngeira, a Johanna przyczyniła się także do zgonu profesora Lunda.

— To niemożliwe, żeby Kjartan i Johanna mieli z tym cokolwiek wspólnego — powiedziała stanowczo gospodyni. — Znam się na ludziach i po oczach widzę, czy kłamią.

Grimur był nieco zdezorientowany.

— Ale to przecież takie tajemnicze. Wszyscy mieszkańcy powiedzieli, co robili tamtej nocy. I tylko tych dwoje nie spało. Nie żebym wierzył, że Johanna zrobiła coś złego. Kjartan też zdaje się przyzwoitym człowiekiem, który miał to nieszczęście, że w młodości popełnił błąd.

Högni akurat miał pełne usta jedzenia. Smakowało mu.

— Mmm, a może znaleźli go martwego i załatwili go tak dla zabawy — zastanawiał się.

— Nie, nie, nie — przerwała mu Ingibjörg. — Nie Johanna.

Skończyli wieczerzę i zasiedli do kawy. Przejaśniło się i na zachodzie pojawiło się wieczorne słońce. Grimur był jakiś niespokojny. Wreszcie nie wytrzymał i zwrócił się do nauczyciela:

— Chodź na spacer. Lepiej mi się myśli na świeżym powietrzu. Przy okazji nalejemy krowom wody na noc.

Wyszli i zeszli wschodnim zboczem. Thormodur Krakur niósł wodę do obory. Nie odpowiedział na ich pozdrowienie, tylko zniknął w drzwiach z wiadrami.

— Najwyraźniej wszyscy są dzisiaj bez humoru — zauważył Grimur. Rozejrzał się. — To tutaj po raz ostatni widziano Bryngeira żywego — powiedział zrezygnowany. — I stąd miał iść odwiedzić Johannę. Ciekawe, którą drogą poszedł?

— Doszedł do ulicy, a potem poszedł wzdłuż niej — odparł nauczyciel. — Szedłem tędy dzisiaj z śledczym Lukaszem. Mierzył czas i odległość. To jakieś sześćset kroków.

Jedna z krów Thormodura Krakura zaryczała głośno w oborze.

— Tak, to się przejdzie raz-dwa — rzekł Grimur. — Ale co on zrobił, jak się okazało, że Johannę nie ma w domu?

Högni zamyślił się.

— Krakur mówił, że miał zamiar namówić kogoś, żeby przeprowadził go do Stykkisholmur.

— Ale żaden właściciel łodzi nie potwierdził, żeby go prosił o tę przysługę tamtego wieczoru.

Högni nadal się zastanawiał.

— Może poszedł do Domu na Skraju i spytał Valdiego? Już raz wcześniej to zrobił — powiedział.

— Ale pamiętaj, że zmarł, zanim go pokrojono. — Grimur ruszył przed siebie. — W słodkiej wodzie. Na skałach i wokół nich nie ma ani kropli wody.

— Nie, poza beczką na podwórku.

— Myślisz, że Valdi chwycił chłopca za kark i utopił jak kociaka w beczce?

— Neeee — Högni wątpił. — Ale Valdi potrafi być gwałtowny.

— I po co miałyby wlec ciało na cmentarz?

— Nie wiem — odparł nauczyciel poirytowany, że musi stawiać się w tej dyskusji w pozycji prokuratora.

— Chodźmy do nich, zobaczymy, co u nich dziś słyhać — zaproponował Grimur. Szli w milczeniu ulicą pod cmentarzem, a każdy myślał swoje. W domu lekarki wszystkie światła były pogaszone. Kiedy doszli do pirsu, zobaczyli oświetloną kanonierkę.

— Ci z Reykjavíku pewno późno kładą się spać — zauważył Grimur. Zatrzymał się nagle, gdy zauważył, że na przystani nie ma łodzi należącej do mieszkańców Domu na Skraju.

— A niech to diabli. Wyłynęli w morze — rzucił. — To sobie z nimi nie porozmawiamy.

Högni patrzył na kanonierkę.

— A może pójdziemy na statek i powiemy policjantom o Valdim? — spytał z wahaniem.

Grimur przemyślał sprawę.

— Nie, to tylko nasze domysły, nie mamy żadnych dowodów. Sam pogadam z Valdim, jak wróci.

Nauczyciel zdawał się zadowolony.

— No to pora się położyć — powiedział.

Wrócili tą samą drogą. Obaj milczeli, myśląc za to intensywnie. Na skrzyżowaniu Högni życzył Grimurowi dobrej nocy i ruszył do swego mieszkania w szkole.

— *Trzydzieste ósme pytanie. Pił ze stępki. Pierwsza litera. Egill, syn Ragnara, walczył na morzu przeciwko Vindlandczykom. W ferworze walki skoczył ze swego statku i wtargnął na nieprzyjacielski żaglowiec. Zamachnął się na ich dowódcę i zadał mu śmiertelną ranę. Vindlandczycy rzucili się do ucieczki. Egill poprosił swego giermka, by mu podał picie, a chłopak odparł: „Tak wielki tumult był dziś na statku, że popękały wszystkie naczynia, a trunek cały spłynął do stępki”. Egill zaś na to: „Ale chyba napić się mogę”. Chłopak odpowiedział: „Nie, panie, bo większość to krew ludzka”. Egill wstał, zdjął szyszak z głowy, zaczerpnął trunku z dna łodzi i wypił trzy wielkie hausty. Od tego wydarzenia nadano Egillovi przydomek i mówiono nań Krwawy Egill. Odpowiedź brzmi „Egill”, a pierwsza litera to E.*

— Lund napisał tu „Krwawy Egill” — zauważył Kjartan. — A wtedy literą byłoby K.

Środa, 8 czerwca 1960

55

Minęła północ, kiedy Grimur zaczął się rozbierać w niedużej sypialni swojego domu. Ingibjörg zdawała się spać, ale kiedy wślizgnął się pod kołdrę, poruszyła się.

— Pamiętałeś, żeby napić krowy? — spytała zaspanym głosem.

Grimur usiadł na łóżku.

— Nie, zapomniałem, oczywiście. Człowiek zawsze myśli o jakichś duperelach, a może to już skleroza — powiedział i sięgnął po ubranie.

— Niedobrze się dzieje. Człowiek jakiś nieprzytomny, niech to diabli — mamrotał, znalazłszy się na podwórzu. Zabrał wiadra z obory i zanurzył w studni. Po deszczach poziom wody podniósł się, więc nietrudno mu było ją czerpać. Dwukrotnie zaniósł wodę, a kiedy zamykał drzwi obory, zauważył, że Thormodur Krakur też czerpie wodę ze studni koło swojej obory.

Przeszedł do niego przez łąkę.

— To ty jeszcze nie śpisz, Krakurze?

— Nie, człowiek musi zadbać o zwierzęta — odpowiedział Thormodur niechętnie.

Grimur milczał chwilę, po czym skonstatował:

— To kiepski czas dla nas, mieszkańców Flatey.

Thormodur Krakur skinął w milczeniu głową.

— Policjanci uważają, że to Kjartan, przedstawiciel prefekta, i doktor Johanna zabili tego dziennikarza i zaciągnęli na cmentarz.

Thormodur Krakur kręcił w milczeniu głową.

— A potem nadeszły informacje z Reykjavíku, że dziennikarz utonął, ale nie w morzu, tylko w słodkiej wodzie — dorzucił Grimur.

— No, to policjanci już wiedzą, że oni nic złego nie zrobili — podniecił się Krakur.

— A skąd. Twierdzą, że Kjartan i Johanna utopili go u niej w domu w wannie — powiedział Grimur.

Thormodur znów potrząsnął głową.

— Co za bzdury. Oni nikomu nic złego nie zrobili — stwierdził.

— Ja się z tobą całkowicie zgadzam. Ale kto w takim razie to zrobił? — myślał głośno Grimur.

Thormodur Krakur nie odpowiedział.

— Zastanawialiśmy się z Högnim — ciągnął dalej Grimur — czy może Valdi z Domu na Skraju nie mógł aż tak stracić nad sobą panowania. Myślisz, że to możliwe?

Thormodur Krakur spojrział na wójta bez słowa i nagle rozplakał się bezgłośnie, pozbawionym łez starym płaczem.

Grimur, zdumiony, patrzył na załamane go człowieka.

— To wszystko moja wina — wykrzyknął stary w noc żalnym głosem, jakby chciał, żeby cała wyspa słyszała jego wyznanie.

Grimur usiłował go zrozumieć.

— Twoja wina? — spytał.

— Tak, to ja, to ja — wyszlochał Thormodur Krakur.

— Jakim cudem, Krakurze?

— To byłem ja, a teraz obwiniają o to wszystkich.

— Ty go zabiłeś, Krakurze?

— Zabiłem? Nie, skąd. Utonął bez pomocy, ale to ja go tak urządziłem.

— Ty go zaniósłeś na cmentarz?

— Tak. Musiałem. Z powodu snu.

Grimur poklepał Krakura po ramieniu.

— No, już dobrze, stary, już dobrze. Opowiedz mi teraz wszystko od początku.

Thormodur Krakur wziął się w garść i otarł oczy rękawem. Potem zaczął opowieść.

— On, ten tam, dziennikarz, przyszedł do mnie do obory w niedzielę wieczorem i poprosił o mleko. I poczęstował mnie rumem. A potem zaczęliśmy rozmawiać.

Krakur wyciągnął chustkę do nosa i wysmarkał się.

— Chciał usłyszeć jakieś ucieszne historie — kontynuował — i ja mu je opowiadałem, moje stare sny, wyjaśnione i niewyjaśnione, jak to zwykle robię. Ostatnio opowiedziałem mu sen o cielętach, o trzech orłach krążących nad kościołem i o tym orle, który siada na grobie z krwawymi skrzydłami, i o królach goniących cielęta w górę ulicy. Nie pamiętasz?

Grimur skinął głową. Często słyszał, jak Krakur opowiada ten sen.

— I on powiedział, że jest w stanie wyjaśnić ten sen. Powiedział, że kiedy krwawy orzeł usiądzie na cmentarzu na Flatey, możemy się spodziewać powrotu *Flateyjarbok* z wygnania.

— Co? — Grimur niezupełnie rozumiał.

— No bo królowie oznaczają dawnych królów Norwegii, a cielęta oznaczają sto trzynaście skór manuskryptu. I jeszcze dziennikarz powiedział mi coś takiego: „Jak będziesz kiedyś musiał zabić człowieka albo znajdziesz go martwego, to go zanieś na cmentarz, połóż na grobie i wytnij mu w plecach krwawego orła. I zobacz, co się stanie”. Tak do mnie powiedział i wtedy to do mnie dotarło. Oczywiście, że ptak z krwawymi piórami oznaczał człowieka z wrytym krwawym orłem, jak powiada *Flateyjarbok*. Bryngeir o tym wiedział, a ja byłem ślepy i się

nie domyśliłem, chociaż wiele razy czytałem o krwawym orle. To najgenialniejsze odczytanie snu, jakie w życiu słyszałem. I kiedy żeśmy sobie pogadali przez jakiś czas, musiałem zanieść mleko do wielebnego, a on powiedział, że idzie do doktor Johanny.

— Tak, wiem. — Grimur skinął głową.

— Od wielebnego wróciłem do domu, zjadłem kolację i wyszedłem do obory napić krowy na noc. Ale kiedym poszedł po wodę, zobaczyłem go zatopionego w studni koło obory. Leżał na dnie na plecach, a nogi wystawały.

Grimura zatkało.

— Jak on tam wylądował?

Thormodur Krakur potrząsnął głową.

— Nie mam pojęcia. Stara kłapa była roztrzaskana, a wokół niego pływały deski.

Grimur spojrział na ścieżkę prowadzącą od obory do studni. Naprzeciwko, na południowym zachodzie wyspy, stał dom lekarki.

— Może chciał iść od obory do lekarki najkrótszą drogą? — zastanawiał się Grimur. — Ale ścieżka prowadziła jedynie do studni. I nastąpił na starą kłapę, która się złamała.

Krakur na zmianę to kiwał głową, to nią kręcił.

— Chłop był martwy, jak to trup, kiedy w końcu udało mi się go wyciągnąć z wody moim długim bosakiem. Najpierw chciałem iść po ciebie, ale potem przypomniało mi się, co on powiedział. „Jak będziesz kiedyś musiał zabić człowieka albo znajdziesz go martwego, to go zanieś na cmentarz, połóż na grobie i wytnij mu w plecach krwawego orła”. To było jego ostatnie życzenie i nie mogłem go zawieść. On powiedział to jak najbardziej serio i bałem się nie spełnić jego życzenia. Przecież nie chciałem, żeby mi tu jego duch straszył w oborze, a do tego jeszcze chodziło o *Flateyjarbok*. Poszedłem do obory po mój rzeźniczy nóż i zawiozłem go na wózku na cmentarz. Tam położyłem go na grobie, jak sen nakazywał, i otworzyłem mu plecy. Potem zanurzyłem dłonie w ranie i wyciągnąłem płuca. Strasznie dużo krwi było przy tym. A potem go tam zostawiłem i poszedłem spać. Nic mi nie mówił, jak długo tam będzie musiał siedzieć, żeby sen się spełnił.

— I nikt cię przy tym nie widział? — spytał Grimur.

— Nie. Późno już było.

Grimur przyjrzał się uważnie Krakurowi.

— Nie mówisz tego tylko po to, żeby uwolnić naszą Johannę i Kjartana od oskarżeń?

— Nie, nie. Boże broń. Ja mówię tylko, jak było.

— No cóż — westchnął Grimur. — Pamiętam, że w poniedziałek zbijałeś nową kłapę do studni. Starą rozwalił dziennikarz?

— Tak, w drobny mak.

Grimur potrząsnął głową.

— Nie mam pewności, że postąpiłeś w tej sprawie słusznie, nawet jeśli on ci to wszystko wmówił.

Thormodur stał skulony i miętolił między palcami kawałek wełny.

— Pewno będę musiał się do tego przyznać policji. Tyle że strasznie nie lubię chodzić na pirs — powiedział.

— *Trzydzieste dziewiąte pytanie. Zostawił wnętrzności na dachu kościoła. Pierwsza litera. Przybyli niespodziewanie do Folsk i natychmiast zabili Gunnara w izbie. Zginęło tam więcej ludzi. Ivar był akurat na strychu i wyszedł przez okno w koszuli i lnianych portkach. Poszedł do kościoła, lecz ten był zamknięty. O kościół oparta była drabina, wszedł na nią, na dach, i tam spędził noc. Oni jednak rano, o świcie, biegali po okolicy na przeszpiegi. Wtedy już Ivar był bliski śmierci z wychłodzenia i poprosił, by darowali mu życie. Któryś z najeźdźców wszedł na górę i wbił weń włócznię. Wtedy Ivar spadł martwy z dachu, a jego krew i wnętrzności zostały na dachu kościoła. Odpowiedź brzmi „Ivar”, a pierwsza litera to I...*

56

Dochodziła piąta rano, kiedy Grimur i Kjartan zeszli po trapie z kanonierki. Około północy Grimur przyprowadził na pokład Thormodura Krakura, który opowiedział śledczym swoją wersję — najpierw dwa razy słownie, a potem kazali mu przelać bieg wydarzeń na papier i podpisać w obecności świadków. Funkcjonariusze byli bardzo podejrzliwi. Nie byli w stanie uwierzyć, że ktoś mógł postąpić w ten sposób z powodu snu. Wreszcie pozwolono kościelnemu wrócić na noc do domu. Lukas poszedł z nim, żeby zabezpieczyć nóż rzeźnicki. Rano miały zostać wykonane kolejne czynności śledcze: oględziny studni i pozostałości po zniszczonej klapie. Thorolfur zgodził się, choć niechętnie, wypuścić Kjartana z aresztu. Ten zresztą leżał w swojej kajucie, czekając na sen. Natomiast Johanna miała dalej pozostać w odosobnieniu — z powodu śmierci duńskiego profesora.

Wójt i przedstawiciel prefekta szli nabrzeżem w milczeniu. Na wschodzie wstawał świt, długie cienie robiły się coraz bardziej wyraźne. Nocny przymrozek szczypał w policzki, szron połyskiwał na deskach pomostu. Bezchmurne nocne niebo sprowadziło chłód.

Na krawędzi nabrzeża ucinano sobie drzemkę kilka mew, które teraz, zaniepokojone obecnością ludzi, bezszelestnie wzbijały się w powietrze. Na ulicy przy chłodni leżała owca z dwójką młodych, która wzbraniała się przed powstaniem, dopóki niemal na nią nie nadepnęli. Kjartan widział, jak trzy zwierzęta biegną z boczem ku Trölllaendi. Na brzegu stały dwie szopy i zdało mu się, że zza jednej ktoś ich obserwuje. Zatrzymał się i bez słowa złapał Grimura za rękę. Znów zobaczył małą główkę, która zdążyła się zorientować, że ją

zdemaskowano, i postanowiła się wycofać. Niska istota ludzka wzięła nogi za pas i uciekła w stronę Domu na Skraju.

— Czekaj, czy to nie mały Nonni? — rzucił Grimur. — Co on tu robi tak wcześnie?

— Albo późno — zauważył Kjartan.

Grimur odwrócił się w stronę przystani przy nabrzeżu.

— Ich łódka jeszcze nie wróciła. Ciekawe, czy są nadal na morzu, a chłopak sam w domu?

— Może nie wszystko u nich gra — cicho zauważył Kjartan.

Ruszyli za chłopcem w górę zbocza. Kiedy podeszli pod dom, zauważyli chłopaka w drzwiach, ale zaraz zniknął w środku.

— Nonni! — zawołał Grimur. — Chodź no tu, przyjacielu, i pogadaj z nami. Chcemy ci pomóc, jeśli tylko potrzebujesz pomocy.

Nie usłyszeli odpowiedzi, więc Grimur schylił się i wszedł do ciemnego przedsionka. Kjartan szedł za nim. Najpierw weszli do małej, brzydko załatującej i brudnej kuchni. Z niej wchodziło się do ciasnej sypialni wyposażonej w cztery łóżka, po dwa z każdej strony. Mdłe światło dzienne wpadało przez nieduże okienko pod sufitem. Na podłodze stał do połowy napełniony nocnik. Kjartana zemdliło, więc zawrócił i wyszedł. Na zewnątrz kilka razy odetchnął chłodnym porannym powietrzem.

— Nonni! — zawołał Grimur w środku. — Chcemy tylko zapytać cię o twojego tatę i dziadka. Czy długo ich już nie ma?

Rozległ się jakiś hałas i wnet wójt wyprowadził małego na zewnątrz.

— Chłopak jest zupełnie sam — zwrócił się Grimur do Kjartana.

Nonni stał obok nich ze spuszczoną głową.

— Tata i dziadek na morzu? — spytał go Grimur.

— Tak, ale już długo nie wracają — odpowiedział chłopak. — Wypłynęli wcześnie rano.

— To znaczy wczoraj rano? Nie spałeś w nocy?

— Nie, cały dzień na nich czekam.

— Dokąd popłynęli?

— Na Ketilsey, pozbierać sieci na foki i poszukać jaj. Ale nie miało ich tak długo nie być.

— Może silnik się zepsuł. Popłynę i ich poszukam. Na pewno nic im nie jest. Pogoda dobra. Dlaczego z nimi nie popłynąłeś?

— Nie mogłem. Tata ukarał mnie za to, że ostatnio zrobiłem na wyspie kupę i wyszedłem z mszy w niedzielę, a on to zauważył.

W głowie Kjartana zaświtał pewien pomysł.

— Nonni, masz aparat fotograficzny? — zapytał.

Chłopak spojrzał na niego zdumiony, ale nie odpowiedział.

— Masz aparat, Nonni? — powtórzył Kjartan.

Nonni chciał coś odpowiedzieć, ale słowa ugrzęzły mu w gardle.

— Bo myślę, że masz aparat i może nawet fajną lornetkę — dodał Kjartan.

— Skąd pan wie?

— Mogę je zobaczyć?

Chłopak spojrział z wahaniem na Kjartana, po czym oddalił się od domu. Grimur i Kjartan szli za nim. Nonni minął przydomowy ogródek i podszedł do niewielkiej ziemianki wkopanej w stok. Tam wślizgnął się przez niskie drzwi do środka, ale zaraz wyszedł, niosąc niewielką teczkę.

— Ten cudzoziemiec zostawił teczkę w łódce, kiedy dziadek zawiózł go do Stykkisholmur — powiedział. — Ja ją znalazłem i ukryłem.

Kjartan wziął od niego teczkę i zajrzał do środka. Były tam: aparat fotograficzny, lornetka, kosmetyczka z przyborami i jakaś bielizna, która już zatęchła w wilgotnej kryjówce.

— Aparat nie działa — powiedział chłopak. — Zrobiłem wszystko jak trzeba, ale w środku nie ma żadnego zdjęcia.

Kjartan poprosił:

— Opowiedz nam, jak twój dziadek przewoził tego obcokrajowca.

Chłopiec podniósł wzrok.

— Tata popłynął na łódź pocztowym, żeby przywieźć mamę — odparł. — A my z dziadkiem poszliśmy na pirs zobaczyć, jak statek będzie wracał, i żeby odebrać cumy. A potem mieliśmy wypłynąć tu blisko, żeby złowić jakiegoś małego dorsza na kolację.

Umilkł i znów spojrział na swoje skarby. Dygotał ze zmęczenia i zimna.

— I co było potem? — Tym razem spytał Grimur.

— Wszyscy już sobie poszli, a my jeszcze byliśmy na pirsie. Chcieliśmy iść do naszej łódki. Wtedy przybiegł ten obcokrajowiec i coś wrzeszczał. Spóźnił się, bo pocztowy już dawno odpłynął. Rozkazał wtedy dziadkowi, żeby popłynął z nim do Stykkisholmur, ale okropnie trudno było go zrozumieć.

— Dziadek zgodził się z nim płynąć? — spytał Grimur.

— Tak, pokazał nam kupę forsy, którą miał dać dziadkowi, jak dopłyną do Stykkisholmur.

— I popłynęli?

— Tak. Ten facet nie chciał, żebym z nimi płynął.

— Długo dziadka nie było?

— No. Wrócił dopiero następnego dnia. Zabrakło mu paliwa, więc wrócił na żaglach, bo wiało z południa. Dziadek poszedł spać, a ja znalazłem w łódce teczkę i ją schowałem. Oddałbym ją temu cudzoziemcowi, ale nigdy tu nie wrócił, żeby o nią zapytać.

— I tata o tym nic nie wiedział?

— Nie. Był wściekły, jak wrócił, bo mama nie chciała rzucić roboty przy drogach. Wściekał się na wszystko i wpadł w szał, jak zobaczył, że w łódce nie ma paliwa. Dziadek nie pamiętał, że woził tego obcokrajowca, a ja bałem się powiedzieć o tym tacie. Dziadek już wszystko zapomina. I chyba ten cudzoziemiec nie zapłacił dziadkowi, chociaż obiecał. Dziadek nie miał żadnych pieniędzy, kiedy wrócił. Sprawdziłem w kieszeniach, jak zasnął.

— A ten pan, który przyjechał z Reykjavíku, dziennikarz. Wiedział, że ukryłeś teczkę? — zapytał Kjartan.

Nonni odwrócił wzrok.

— Tak. Kiedy uciekłem z mszy, poszedłem do domu, żeby sobie popatrzeć przez lornetkę. Bałem się to normalnie robić, żeby nikt mnie nie zauważył. Byłem pewien, że jak ktoś ją u mnie zobaczy, to mi ją wójt zabierze.

Spojrzał zawstydzony na wójta.

— Dziennikarz cię widział? — spytał Kjartan.

— Tak. Myślałem, że wszyscy są jeszcze w kościele, ale on nagle stanął tuż przy mnie.

— I co ci powiedział?

— Spytał, czy to moja lornetka. Potem zajrzał do teczki i zobaczył małe książeczki. Wtedy spytał, czy tata zawiózł tego cudzoziemca do Stykkisholmur. Powiedziałem, że to dziadek, ale zabrakło mu paliwa. Wtedy zapytał, czy może sobie zabrać te małe zeszyty, jeśli obieca, że nikomu nie powie o lornetce i aparacie fotograficznym. Powiedziałem, że tak, jeśli nikomu nie wygada. Obiecał mi to i kazał przysiąc, że ja też nikomu nie powiem. — Chłopak zaczął szlochać. — A teraz ten gazeciarz nie żyje, a ja łamię słowo.

— Pamiętasz tego nieboszczyka, którego znaleźliście na Ketilsey? — zapytał Kjartan.

— Tak — odparł chłopak.

— Widziałeś go wcześniej?

— Nie, chyba nie. Nie widziałem jego twarzy.

— No cóż, przyjacielu — odezwał się Grimur, który do tej pory przysłuchiwał się rozmowie w milczeniu. — Pójdziemy do mnie do domu, Nonni, i obudzimy moją Imbę. Da ci mleka i coś dobrego do jedzenia. Potem może jeszcze dostaniesz kawałek ciasta i pójdziesz do łóżka. A ja i pan Kjartan wypłyniemy poszukać twojego taty i dziadka.

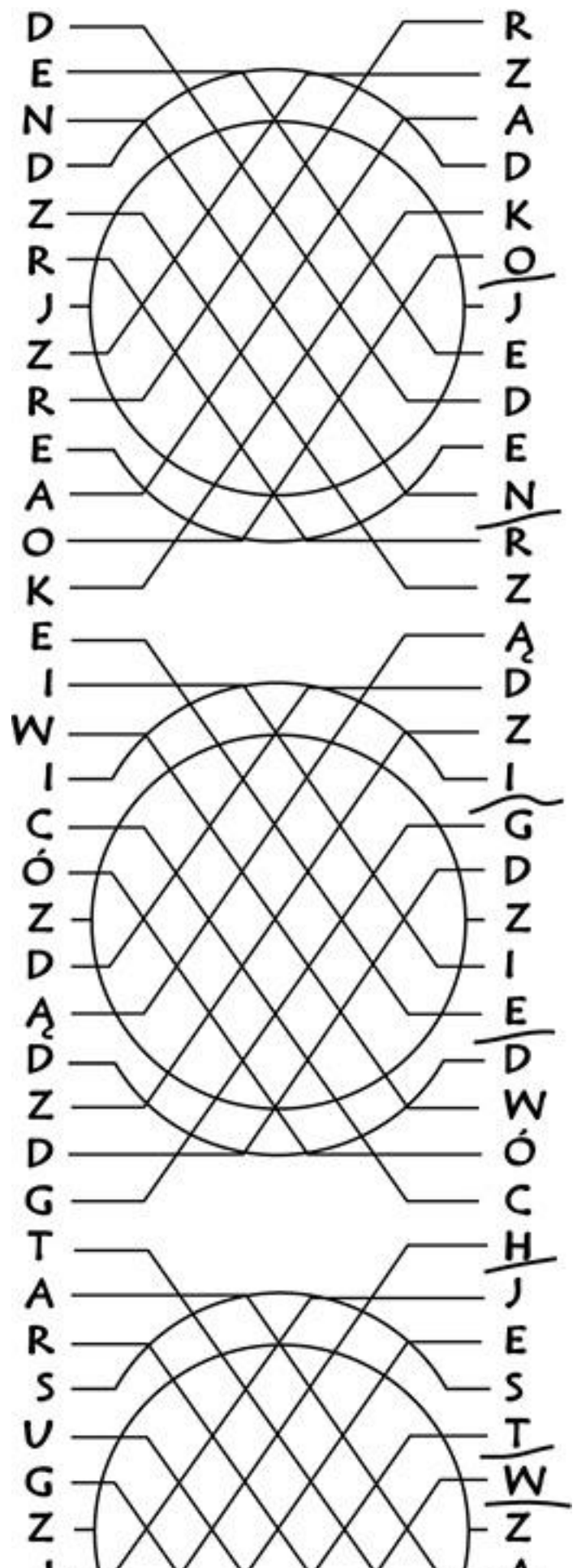
— *Czterdzieste pytanie. Czas teraz na pytanie ostatnie, które stanowi klucz do wszystkich innych odpowiedzi, a brzmi tak: „Jaka jest największa mądrość?”. Odpowiedzieć można na różne sposoby, w zależności od gustu i wiedzy. W tej księdze jest wiele mądrości. Ale tu podany został klucz, czyli następujące litery:*

DENDZRJZREAOK

EIWICÓZDĄDZDG

TARSUGZJHAEWT

— Mój ojciec przeczytał księgę bardzo uważnie, strona po stronie, i wypróbował wszystkie zdania, które zawierają choć odrobinę mądrości. Ślęczał, przedstawiając litery, żeby zobaczyć, czy ułożą się w zdania. Ortografia miała odzwierciedlać tę, jaką, według jego wiedzy, stosowano w drugiej połowie XIX wieku. Zdanie miało zawierać trzydzieści dziewięć liter. Przygotował sobie małe tabliczki z tymi literami i przestawiał je w tę i we w tę. Nie znalazł jednak żadnego tekstu, który by pasował do tego klucza, i w końcu się poddał. Wiele tygodni później znów zaczął myśleć o zagadce. Wiedział, że nie wystarczy znaleźć właściwe zdanie klucza. W rzędach klucza litery powtarzały się po kilka razy. Nie dało się stwierdzić, co łączyło te rzędy. Musiał istnieć jakiś inny sposób na rozwiązanie. Wtedy zaczął się skupiać na dołączonym do klucza rysunku, który nazywano magiczną runą. Nie wierzył w jakąś nadprzyrodzoną moc, ale wiedział, że autor zagadki wstawił ten rysunek nie bez powodu. Zwrócił uwagę, że po obu stronach rysunku znajdowało się trzynaście kresek, które łączą się ze sobą poprzez rysunek i wychodzą w innym miejscu po drugiej stronie. Trzy razy trzynaście to trzydzieści dziewięć, a tyle jest liter w kluczu. Przekopiował obrazek trzy razy w porządku pionowym. Potem po jednej stronie dopisał litery klucza i przeniósł je na drugą stronę po liniach. Wtedy odczytał to zdanie — „Rzadko jeden rządzi, gdzie dwóch jest w zatargu”. To jest druga część zdania, które można uznać za mądrość: „Tu jest jako prawie wszędzie, rzadko jeden rządzi, gdzie dwóch jest w zatargu”. To zdanie znajduje się w Sadze Hakona Starego. Mój ojciec tak się tym podekscytował, że tej samej nocy zasnął. Znalazłam go w bibliotece, miał gorączkę i majaczył, ale i tak nie widziałam go nigdy równie szczęśliwego. Teraz zostało mu tylko przelecieć swoje odpowiedzi na trzydzieści dziewięć pytań i sprawdzić, czy utworzą zakończenie wiersza-klucza. Miało to zająć jedynie kilka godzin, ale był już bardzo chory i już nigdy nie udało mu się wyjść z domu. A żeby działać w zgodzie z zasadami, musiał pójść do biblioteki. Wkrótce potem zjawił się Gaston Lund ze swoją pamiętną wizytą. Ojciec powiedział mu, jak należy używać owej „magicznej runy”, aby znaleźć rozwiązanie klucza i odpowiedź na czterdzieste pytanie. Lund bardzo się tym zainteresował i pożyczył klucz do biblioteki, żeby wpaść tam na chwilę i wypróbować swoje odpowiedzi. Ale miał mało czasu. Nie udało mu się dokończyć rozwiązania, a potem prawdopodobnie nie zdążył na statek pocztowy. Trudno mi sobie wyobrazić, co się dalej działo.



— *Mój ojciec całą zimę usiłował zebrać siły, żeby wybrać się do biblioteki i spróbować się zmierzyć z zagadką. Proponowałam mu często, że zrobię to za niego, ale nie chciał się zgodzić. Chciał widzieć, jak pojawia się rozwiązanie. W końcu wczoraj poprosił mnie, żebym spróbowała rozwiązać zagadkę. Czuł, że zbliża się śmierć, i chciał usłyszeć zakończenie wiersza, nim odejdzie. Chciałam poprosić Ingibjörg, żeby z nim została, i nawet po nią posłałam, ale w tym czasie stracił przytomność. Jego stan w ciągu dnia stawał się coraz gorszy i wieczorem ojciec umarł. Rozwiązał klucz, ale nie wiedział, czy znalazł rozwiązanie całej zagadki. Teraz więc zobaczymy, co będzie.*

Johanna napisała wzdłuż rysunku trzydzieści dziewięć liter, jednocześnie je numerując. Potem każdą z liter przepisała po drugiej stronie rysunku. Tam, gdzie odpowiedzi Björna Snorriego i Gastona Lunda różniły się, spisała obie możliwości. Potem przez chwilę przyglądała się rozwiązaniu. Wykreśliła trzy litery odgadnięte przez ojca i trzy odgadnięte przez Gastona Lunda. Następnie kreskami oddzieliła słowa i powiedziała:

— *Rozwiązanie brzmi:*

*Trupa w odmęt nie pchnie,
Żywego zaś nie uchroni.*

— *A zatem mój ojciec błędnie odpowiedział na pytania drugie, czwarte i dwudzieste czwarte. Tu dobrze odpowiedział Lund. Ale i Gaston Lund udzielił trzech błędnych odpowiedzi. Lecz kiedy już miał rozwiązanie klucza, powinien z łatwością poprawić swoje błędy. Propozycja zakończenia wiersza, która kiedyś została zapisana, nie jest prawidłowa. Ostatnia zwrotka brzmi tak:*

*Szarawy pada i zmrożony śnieg
I klucza każdy żąda jak na dłoni.
Trupa w odmęt nie pchnie,
Żywego zaś nie uchroni.*

1	M	D	R	T
2	I	D	Z	R
3	T	N	A	U
4	N	P	D	P
5	I		K	<u>A</u>
6	N		O	<u>W</u>
7	O		J	<u>O</u>
8	R		E	D
9	T		D	<u>M</u>
10	E		E	<u>N</u>
11	U		N	<u>T</u>
12	W		R	<u>N</u>
13	A		Z	<u>I</u>
14	Y		A	<u>E</u>
15	Ż		D	<u>P</u>
16	E	W	Z	C
17	H	N	I	H
18	O	D	G	<u>N</u>
19	G		D	<u>I</u>
20	E		Z	<u>E</u>
21	P		Z	<u>Ż</u>
22	E		I	<u>Y</u>
23	W		E	<u>W</u>
24	T	C	D	<u>E</u>
25	I		W	<u>G</u>
26	N		Ó	O
27	H		C	<u>Z</u>
28	C		H	<u>A</u>
29	C		J	<u>Ś</u>
30	O		E	<u>N</u>
31	N		S	<u>I</u>
32	I		T	<u>E</u>
33	N		W	U
34	U		Z	<u>U</u>
35	A		A	<u>C</u>
36	Z		T	<u>H</u>
37	R		A	<u>R</u>
38	Ś		R	<u>O</u>
39	E	W	G	<u>N</u>
	K	T	U	<u>I</u>
	I			

Numer pytania →
 Odpowiedzi Björna Snorriego →
 Odpowiedzi Gastona Lunda →
 Klucz →
 Rozwiązanie →
 Odpowiedź na pytanie 40. →

Johanna otworzyła Sage Sverrira.

— Tu jest opowieść o gospodarzu, który odprowadził swojego syna na statek wojenny i dał mu radę. Poprosił, by był odważny i twardy w potrzebie. „Najdłużej po każdym słowa pozostaną — powiedział. — W każdej bitwie, w której staniesz, albo zginiesz, albo ocalejesz, a bądź mężny, bo wszystko zostało wprzód stworzone. Trupa w odmęt nie pchnie, żywego zaś nie uchroni. Ucieczka to najgorszy upadek”.

Kjartan zastanowił się nad tą sentencją. Było to swoiste wyznanie wiary w przeznaczenie, które mogło stanowić oparcie, kiedy życie rzucało człowiekowi kłody pod nogi. On jednak wolał żyć według innych prawideł. Wyciągnął swój notes i przyjrzał się rysunkowi, który sporządził na Ketilsey.

— Prawdopodobnie Lundowi udało się rozwiązać zagadkę na Ketilsey, a nie mając możliwości robienia notatek, ułożył kamiki, które miały utworzyć rozwiązanie. „Żywe” to przecież część „Żywego”. A zatem to nie żadna nazwa. Wstyd mi trochę za to, że dzisiaj niemal wywołałem awanturę, łącząc łódź Sigurbjörna ze Svalbardi z losem Gastona Lunda. I do tego jeszcze sądziłem, że Gudrun z Domu Pośrodku to matka dziecka Lunda, a ich syn był zamieszany w tę sprawę. Cieszę się, że wójt przemówił mi do rozsądku i skłonił do milczenia.

— Tak, dobrze się stało. Syn Gudrun z Domu Pośrodku nie jest synem Gastona Lunda. Dziecko, którego Gaston Lund nie chciał uznać, to zupełnie inny człowiek — powiedziała Johanna.

57

Grimur, Kjartan i mały Nonni udali się razem do domu wójta. Grimur zbudził żonę. Zajęła się przygotowaniem jedzenia i zapakowała prowiant do starej puszkki na ciastka. Chłopak został u wójta w domu, Grimur i Kjartan wyruszyli na przystań.

Obaj milczeli, ale za to intensywnie rozmyślali. Wsiedli do łódki i Grimur odpalił silnik. W porannej ciszy jego warkot zdawał się nienaturalnie głośny. Nawet ptactwo na Hafnarey szanowało spokój o świcie.

Grimur skierował łódź na zachód od Flatey. Minęli nowy pirs i kanonierkę i wypłynęli poza pobliskie szkiery.

Wreszcie Grimur nie wytrzymał.

— Jak pan wpadł na to, żeby zapytać chłopaka, czy ma lornetkę?

Kjartan nie odpowiedział od razu.

— Jakieś przeczucie. W czwartek, kiedyśmy wypłynęli po ciało na Ketilsey, widzieliśmy chłopaka na brzegu pod chałupą. Zauważyłem, że podnosi coś do oczu, i jakiś taki błysk. Później przyszło mi do głowy, że to mogła być lornetka. Potem przypomniałem sobie, że Lund miał lornetkę i aparat w bagażu, których nigdy ich nie odnaleziono. Więc mógł być jakiś związek. Dlatego spytałem

chłopaka.

Grimur skinął z uznaniem głową.

— To wydaje mi się teraz dość oczywiste. Profesor Lund za długo zasiedział się w bibliotece, bo nie pilnował czasu. Myślał, że może jeszcze wpaść do biblioteki, a kiedy wreszcie znalazł się na pirsie, statek pocztowy zdążył już odpłynąć. Pewno widział go już daleko od wysepki. A zależało mu bardzo, żeby dostać się do Stykkisholmur i stamtąd do Reykjavíku, bo miał lot do Kopenhagi. Na pirsie zastał starego Jona Ferdinanda i chłopaka. Kręcili się koło łodzi i Lund w jakiś sposób dał im do zrozumienia, że musi dostać się do Stykkisholmur. Pewno był nerwowy i mocno nalegał, bo stary go posłuchał i wypłynął z pasażerem. Myślę, że Jon Ferdinand ostatni raz płynął do Stykkisholmur wiele lat temu. Zapomniał się po drodze i zboczył na Ketilsey, bo od lat tylko tam pływał. Lund niczego niezwykłego nie zauważył, gdyż Ketilsey leży na południowy wschód od Flatey, co komuś nieobeznanemu może się wydawać prawidłowym szlakiem żeglugowym do Stykkisholmur. Gdzieś w okolicach Ketilsey zabrakło paliwa i zaczęli wiosłować do brzegu. Lund zszedł na ląd, żeby poszukać jakichś zabudowań i sprowadzić pomoc, a stary czekał przy łódce. Po jakimś czasie Jon Ferdinand zapomniał, że ma pasażera. Wiedział tylko, że nie ma paliwa, jest na Ketilsey i musi się dostać do domu. Zaczął dąć zimny wiatr od południa i wtedy nie ma już na co czekać. Wciągnął żagiel i ruszył w stronę Flatey. Lund został na Ketilsey, a zakończenie znamy.

Kjartan nic nie mówił, tylko kiwał głową. On także wyobrażał sobie te wydarzenia w ten sposób.

Na horyzoncie w porannym słońcu ukazały się skały Ketilsey. Zbliżali się do celu. Potem zauważyli czarną łódkę dryfującą jakiś kilometr na zachód od wyspy. Kiedy podpłynęli bliżej, zauważyli, że Jon Ferdinand stoi przy sterówce, patrzy zdezorientowany na morze i trzęsie się z zimna. Koło rozporka rozlewała się ciemna plama rozchodząca się na uda.

— Złał się — powiedział cicho Grimur.

Kiedy się zbliżyli, stary usiadł na ławce, ale nie wyglądało na to, że ich zauważył. Grimur sięgnął po linę jego łodzi i przywiązał do swojej. Potem wolniej popłynął w kierunku Ketilsey. Zanim dobili do brzegu, zauważyli Valdiego. Stał w najwyższym punkcie szkieru i machał swetrem. Potem zbiegł do miejsca, w którym dobili do wyspy. Płakał z wściekłości.

— Tato, co ty, do cholery, wyprawiasz? Dlaczego mnie tu zostawiłeś? — krzyczał, kiedy znaleźli się w zasięgu głosu.

— Valdi, uspokój się. Twój tata ci na to nie odpowie — usprawiedliwiał Grimur starego, dobijając do brzegu. — Wskakuj do łódki i opowiedz, co się stało.

Valdi ostrożnie wsiadł do łódki i Grimur odbił od brzegu. Niedaleko wysepki zgasili silnik i przyciągnęli łódkę należącą do mieszkańców Domu na Skraju do

burty. Grimur podał Jonowi Ferdinandowi rękę i pomógł przesiąść się na swoją jednostkę. Posadził starego na ławce i okrył go marynarką. Potem pełną parą ruszyli do domu z Krukiem na holu. Jon Ferdinand siedział sztywny i otępiąłym wzrokiem wpatrywał się w kilwater. Co jakiś czas wykrzykiwał starczym, załamującym się głosem: „Chłopaki, a gdzie sieci?”.

Valdi usiłował dojść do siebie.

— Stary zostawił mnie po prostu na wyspie — poskarżył się im drżącym głosem.

Grimur skinął w milczeniu głową, a Valdi, trzęsąc się, kontynuował.

— Poszliśmy sprawdzić edredonie gniazda, żeby zebrać trochę puchu, ale po chwili zauważyłem, że on wraca do łódki. Myślałem, że po prostu poszedł zanieść jaja albo worek z pierzem, i nie przyglądałem mu się specjalnie, gdy nagle usłyszałem, że uruchomił silnik. Wtedy pobiegłem do zatoczki, a kiedy stanąłem na brzegu, on już zdążył odwiązać łajbę i odpłynąć. Nawet się nie obejrzał. Darłem się, ale on patrzył przed siebie, jakby był w zupełnie innym świecie. Potem usłyszałem, że silnik zgasł i łódź zaczęła dryfować tam i z powrotem przez prawie dobę. A ja cały czas się darłem. Wszystko na nic. Ani mnie nie słyszał, ani nie rozumiał.

Grimur wyciągnął puszkę z prowiantem i nakarmił ojca i syna. Niewiele więcej się odzywali po drodze na Flatey.

Kiedy koło południa zbliżali się już do wyspy, zobaczyli przed kościołem flagę spuszczoną do połowy masztu i gromadę ludzi.

— Pochowali Björna Snorriego świętej pamięci — zauważył Grimur. — Mieliśmy to zrobić w ciszy i spokoju, zanim kanonierka odpłynie do stolicy z policją i więźniami, ale na szczęście to się zmieniło. Dzięki Bogu.

Wójt podpłynął łódką pod rufę kanonierki, za szczyt pirsu. Na samym molu stał samotnie mały Nonni i od czasu do czasu przebiegał kilka kroków w tę i we w tę. Uwiązali łódkę do pirsu i wspięli się na górę.

— Odprowadź tatę do domu, Valdi — polecił Grimur. — I spróbujcie się na chwilę położyć.

Grimur i Kjartan patrzyli za odchodzącą ścieżką rodziną. Żaden z trójki ani razu nie obejrzał się za siebie. Potem wójt krzyknął zmęczonym głosem w stronę kanonierki.

— Mam sprawę do śledczych!

— *Wizyta Gastona Lunda w Islandii jesienią zeszłego roku nie była jego pierwszą. Po raz pierwszy był tu latem 1926 roku razem z kilkoma kolegami z Uniwersytetu Kopenhaskiego. Byli młodymi, pełnymi wigoru ludźmi i przez te kilka tygodni pobytu na Islandii nie dało się ich nie zauważyć. Podróżowali szlakiem Sagi o Njalu po południowej części kraju, a pokłosie tej wizyty stanowiło dziecko młodej panny z Rangarthing zmaistrowane przez studenta Lunda. Był to chłopiec, a*

matka przeprowadziła się z nim do Hafnarfjörður. Zapisano go jako Gestsson, Syn Gościa, co było normalne w przypadku, gdy ojciec dziecka na krótko tylko odwiedził łóżko jego matki. Ale akurat ta patronimika miała głębszy sens, bo przecież imię profesora, Gaston, może oznaczać gościa, jak choćby niemieckie słowo Gast. Młody chłopiec wychowywał się z matką i nie potrafił nic powiedzieć na temat swojego ojca. Matka zdradziła mu tylko, że jego ojcem jest duński naukowiec z dobrego domu, bardzo ceniony przez duńskiego króla. Chłopak był dumny z taty i bardzo szanował wszystko co duńskie i związane z królem. Potem, w 1936 roku, profesor Lund przyjechał ponownie do Islandii jako członek świty króla Chrystiana X i jego nazwisko ukazało się w islandzkich gazetach. Matka zabrała chłopca do hotelu Borg, gdzie przebywał Gaston Lund, aby przedstawić syna ojcu. Był to jedyny cel tej wizyty, bez żadnych podtekstów. Ale Lund bardzo źle zareagował na spotkanie, uznał, że kobieta jest niespełna rozumu, i zaprzeczył, aby znał bachora. Kazał siłą wyrzucić ją i dziecko z hotelu, narobiwszy im wstydu. Wydarzenie to stanowiło wielki szok dla młodej duszy i odcisnęło ogromne piętno na chłopaku. Całe życie marzył o swoim ojcu, który przebywał za granicą wśród królów i królowych, pełniąc tak istotną funkcję, że nie może mieszkać z rodziną. Ten wizerunek stworzony przez chłopca legł w gruzach, a matka zmieniła się z dumnej, niezależnej kobiety w marudną babę pozbawioną jedynego dowodu uznania, jakiego w życiu potrzebowała. Dziesięć lat później zmarła na gruźlicę. Jej syn nazywa się Bryngeir Gestsson. Przez pewien czas był moim partnerem i wiem, że wywarł destrukcyjny wpływ także na twoje życie. Natomiast Lund nie miał odwagi przyjechać do Islandii aż do zeszłego lata, a wówczas unikał kontaktów z matką swego dziecka i z synem, podawał fałszywe dane.

58

Po powrocie z wyprawy na Ketilsey Kjartan usiłował się zdrzemnąć, ale nie mógł zasnąć. Leżał i przewracał się z boku na bok, aż wreszcie postanowił wyjść i uspokoić myśli. Wszedł ścieżką pod kościół i pod masztem zauważył opierającego się na lasce Thormodura Krakura. Kościelny miał na sobie odświętny garnitur, bardzo już wymięty i brudny od intensywnego ostatnio używania. U jego stóp leżał stary worek marynarski.

— Dzień dobry panu pomocnikowi prefekta — powiedział, zauważywszy Kjartana.

— Dzień dobry — odpowiedział Kjartan. — Pogoda coraz lepsza.

— Tak, idzie na podróżę — oznajmił Krakur, po czym obaj przez chwilę milczeli.

— A wybiera się pan w podróż? — spytał Kjartan.

— Tak, chcą mnie zabrać ze sobą kanonierką do stolicy, żebym lepiej opowiedział o tych moich nocnych dokonaniach na ciele dziennikarza. Chcą, żeby

lekarze w wariatkowie sprawdzili, czy nie jestem szurnięty albo i co gorzej.

— Może i nie ma się co dziwić — zauważył Kjartan.

Krakur zmarszczył brwi i wykrzywił usta.

— Nie, racja, to na pewno wygląda dziwnie w oczach nieznajomych, ale ja wierzę, że to wszystko ma swój cel. Zobaczymy. Stary Jon Ferdinand też płynie do stolicy. Jego też mają badać.

Kjartan skinął głową.

— On musi znaleźć jakąś dobrą opiekę. Valdi przecież nie będzie w stanie zadbać o niego, jeśli mu się pogorszy.

Thormodur Krakur złapał Kjartana za ramię.

— Najgorzej, że sprawiłem panu i mojej Johannie tyle kłopotu — powiedział. — Jestem załamany tym całym zamętem.

— Damy radę — pocieszył go Kjartan.

Znów na chwilę zamilkli.

— Zdaje się, że nie przepada pan za podróżami? — zapytał po chwili Kjartan.

— Co racja, to racja — odparł Thormodur Krakur.

— Ale teraz mus jechać?

— Tak, uparli się.

— A kiedy ostatnio opuścił pan wyspę?

— Szmata czasu.

— Jaki szmat?

Thormodur Krakur zastanowił się chwilę.

— Za młodu byłem kilka razy na łądzie, jak żeśmy przewozili trzodę, i trochę po morzu tu dookoła wysp pływałem — odpowiedział. — Nigdy się dalej nie wypuszczałem, a jak miałem dziewiętnaście lat, to mi zrobili złośliwy szpas i to pozostawiło we mnie bolesną zadrę. Zniechęciłem się do wypraw morskich i dlatego uszło mi na sucho i nie musiałem więcej pływać. Zawsze miałem dość roboty tu na wyspie. Teraz dobiegam siedemdziesiątki, więc to już pięćdziesiąt lat.

— Czyli nie opuszczał pan wyspy przez pięćdziesiąt lat?

— Tak. I nie narzekam. Dobrze się tu czuję i nie mam czego szukać na łądzie. No bo i dokąd miałbym jechać? Może do Stykkisholmur albo do Reykjaviku, żeby wydawać pieniądze? Nie, przyjacielu. Życie dobrze się ze mną obeszło.

Kjartan się zamyślił. Pięćdziesiąt lat na wyspie, która ma jakieś dwa kilometry długości i pół szerokości. Czy to aż tak bardzo różni się od pobytu w więzieniu? Może, jeśli człowiek nie ma wygórowanych oczekiwań.

Thormodur Krakur zupełnie jakby czytał w jego myślach.

— Pan zdaje się siedział w mamrze przez kilka lat, słyszałem?

Kjartan się zdziwił. Ta historia na pewno obleciała całą wyspę, ale aż do tej

chwili nikt o tym nie wspominał.

— Tak, to prawda — odpowiedział.

— Musiało być bardzo ciężko — stwierdził Thormodur. — Bo ja, choć bywałem w niewielu miejscach, zawsze byłem sobie panem. Robotę robiłem, kiedy mi pasowało, jadłem i spałem do woli, a i gorzały się człowiek napił, jak się trafiła okazja. Myślę, że więzienie to pustka i nuda.

Kjartan po prostu skinął głową.

— I czerpałem z natury i jej darów — dodał Krakur.

— A we mnie to otoczenie tutaj wywołuje wspomnienia więzienia — odparł Kjartan. — Bo więzienie stoi na brzegu i tam budziły mnie te same ptaki, które słyszę tutaj. Ciągłe jeszcze muszę otrząsać się z tego doświadczenia.

Ponieważ Krakur milczał, Kjartan kontynuował:

— Nigdy nie żałował pan, że nie zobaczył innych miejsc niż ta wyspa i to, co widać z tego pagórka?

— Nie, młodzieńcze. Moim wzrokiem widziałem pewno więcej niż ci, co włączają się całe życie po różnych wsiach. Widziałem światy i łądy, jakich inni nie potrafią sobie nawet wyobrazić. I to może właśnie dlatego zapuściłem tu głębsze korzenie niż dmuchawce, które rozgania najmniejszy podmuch. Dąb nigdy nie narzeka, że się nigdzie nie może ruszyć.

— A powie pan stołecznym lekarzom, że widuje elfy i niewidzialne istoty? — spytał Kjartan.

— Jeśli zapytają. No i jeszcze się okaże, czy widzę cokolwiek w stolicy — odparł Thormodur Krakur.

— A teraz widzi pan elfy?

— Tak. Żegnam się z nimi, z tymi moimi przyjaciółmi.

— I gdzie one są?

— A tu, na południe od wzgórza, w dół od tych kamieni na brzegu. Czasem zapuszczają się tu na górę.

Kjartan usiłował wyobrazić sobie ten widok.

— Fajnie chyba musi być się im przyglądać? — zapytał.

— Tak. To tak, jakby człowiek obserwował jagnięta zaraz po porodzie, jak się bawią na wiosnę — powiedział Krakur. — Chciałby pan je zobaczyć? — zapytał po chwili.

— Tak, niezaprzeczalnie — odpowiedział Kjartan.

— Czasem pomagałem ludziom zobaczyć, jeśli ich pragnienie było szczere — skromnie zapewnił Krakur.

Kjartan spojrział na niego z niedowierzaniem.

— Jak?

— Uklęknij pan obok mnie i włóż mi głowę pod pachę. Zobaczymy, co się stanie.

Przedstawiciel prefekta nie był przekonany.

— No, dawaj pan. To nie potrwa długo — rzucił kościelny bezceremonialnie.

— Cóż, spróbować nie zaszkodzi — powiedział Kjartan i ukląkł obok Thormodura, który ścisnął mocno jego głowę pod pachą. Kjartan poczuł woń wełny zmieszaną z intensywnym odorem ciała i miał ochotę się wycofać, bo coraz trudniej było mu złapać oddech. Ale wtedy nagle jakby się znalazł w innym wymiarze. Powietrze, którym oddychał, stało się słodkie i ożywcze, i nie czuł już ramienia Krakura. U stóp wzgórza na linii brzegu ujrzał błyskające światła, które na chwilę, jedno po drugim, zmieniały się w drobne istoty ludzkie. Trwało to zaledwie kilka sekund, ale po wszystkim zdawało mu się, że jednak trochę dłużej. Wreszcie zmęczony, zdyszany Thormodur Krakur puścił go. Można było odnieść wrażenie, że gdy to trwało, Kjartan wstrzymywał oddech. Obraz się rozplątał, a tlen zdawał się znikać z powietrza. Osłabiony Kjartan opadł na ziemię i siedział bez ruchu.

Krakur nie pytał, czy eksperyment odniósł skutek. Wiedział, że tak. Kjartan siedział otumaniony na trawie, usiłując zrozumieć to doświadczenie.

— Zazna pan jeszcze szczęścia, przyjacielu — podjął wreszcie Thormodur Krakur. — Życie pana nie rozpieszczęło, ale ma pan już to wszystko za sobą. Dziś w nocy śniło mi się, że trafiłem na gniazdo z pięknymi jajkami. Od zawsze oznaczało to małżeństwo kogoś z mojego otoczenia. Weźmie pan sobie moją Johannę i będziecie szczęśliwi.

— Może i ona ma coś do powiedzenia w tej sprawie — odpowiedział Kjartan.

— Czasem to los w całości rządzi człowiekiem, przyjacielu, a wtedy nie należy mu się przeciwstawiać. Poprosiłem już moją Johannę, żeby się panem zaopiekowała, a ona dość dobrze to przyjęła. Teraz powinienes pan tylko szlachetnie wobec niej postępować i wtedy w ciągu kilku miesięcy to samo się stanie. Czuję jakieś mocne więzy między wami. Nieraz mówiłem młodym, żeby otwarli swoje serca na innych, i zawsze wychodziło im to na dobre.

Thormodur Krakur odwrócił się i spojrzał na osadę. W górę ulicy szedł nauczyciel Högni niosący małą teczkę.

— No cóż — westchnął Krakur. — Czas iść na pokład kanonierki. Odpływa koło drugiej. Grimur poprosił Högniego, żeby towarzyszył mnie i Jonowi Ferdinandowi w tej podróży. On w stolicy jest bywały, więc może nam służyć pomocą. Bardzo mu jestem za to wdzięczny.

Zeszli ze wzgórza na spotkanie z Högnim.

— A pan nie jedzie z nami do stolicy, asystencie prefekta? — spytał Högni.

— Nie, muszę wypocząć przez noc. A jutro z rana Grimur zawiezie mnie do Brjanslaekur. Tam będzie na mnie czekał samochód z Patreksfjördur. Może

wreszcie będę mógł się zająć ogłaszaniem wyroków.

— Myśli pan, że nie znajdą w okolicy kolejnych trupów? — spytał nauczyciel z błyskiem w oku.

Kjartan potrząsnął głową. Nie potrafił się zdobyć nawet na lekki uśmiech.

Högni spojrział na Thormodura Krakura.

— No, kumie. To w drogę. Nie każmy załodze czekać.

Johanna i Kjartan zakończyli rozmowę wczesnym rankiem. Rozmawiali o zdarzeniu, które przed laty wywarło tak brzemienne w skutki wpływ na ich życie. Płakali razem i wybaczaali. Wciąż byli młodzi i nie mieli zamiaru dłużej żyć przeszłością.

Zanim opuścili bibliotekę, uporządkowali kartki z zagadką w wydanej przez Munksgaarda fotokopii książki. Postanowili, że Aenigma Flateyensis jeszcze przez jakiś czas pozostanie nierozwiązana. Historia rozwiązania zagadki była naznaczona tragediami i nie chcieli, aby te wydarzenia kojarzono z dawną szaradą. Oboje pragnęli, by przeszłość zostawiono w spokoju. Ani Gaston Lund, ani Björn Snorri Thorvald nie mogli cieszyć się chwilą, w której rozwiązanie zagadki ujrzy światło dzienne, więc lepiej będzie, jeśli rozwiąże ją kto inny, w szczęśliwszych okolicznościach.

Padał deszcz, mgła okrywała ścieżkę, którą schodzili od kościoła. Pożegnali się na rozdrożu. Z oddali dochodziły odgłosy uderzeń młotkiem. To Thormodur Krakur zbijał nową klapę do studni.

Posłowie od autora

Flateyjarbok wróciła do Islandii 21 kwietnia 1971 roku i jest obecnie wystawiana w Domu Kultury Narodowej w Reykjavíku.

Pisząc tę powieść, korzystałem z wielu źródeł. Tekst *Flateyjarbok* jest oczywiście najszczerzejszym z nich, ale inspiracje znalazłem także w wielu innych książkach. Nie umniejszając nikomu, wspomnę tylko o książkach Bergsveina Skulasona na temat wysp w zatoce Breiðafjörður. Wszystkim autorom pragnę podziękować za użyczenie mi swoich dzieł.

Mój dziadek, Viktor Gudnason, szefował urzędowi pocztowemu na Flatey, a był tam przez jakiś czas także organistą i latarnikiem. Babcia, Jonina Olafsdottir, była gospodynią w Solbakki na Flatey i piekła torty, które do tej pory wspominają poeci. Przez kilka lat spędzałem u nich wakacje. Ostatnie w 1964 roku. Latem 1960 miałem pięć lat i przebywałem u nich na Flatey, więc co nieco zapamiętałem z tego okresu. Pamiętam między innymi to, że dziadek pokazał mi w bibliotece kopię *Flateyjarbok* wydaną przez Munksgaarda. W tamtych latach księga nie była jednak przechowywana w starej bibliotece, lecz w innym budynku na północnym wybrzeżu wyspy. W niniejszej opowieści zmieniłem to, jak też wiele innych rzeczy. Dużo później odremontowano budynek biblioteki i można w nim oglądać

księgę Munksgaardowską w szklanej gablocie, co opisuję w mojej książce.

Jak zaznaczyłem na początku, postaci mojej książki nie mają rzeczywistych pierwowzorów. Pożyczyłem sobie kilka domów, inne wymyśliłem dla swoich potrzeb. Jeśli ktoś chciałby poznać rzeczywiste warunki, następujące domy są prawdziwe: Bakki (Solbakki), kooperatywa, biblioteka, kościół i dom lekarki. Dom pastora znajduje się tam, gdzie dziś stoi restauracja Vogur. Budynek szkoły został rozebrany i ma zostać odbudowany w takim samym kształcie. Wiersz, który pojawia się na stronach tej książki, został napisany przez poetę Adalsteinna Asberga Sigurdssona. Na twórcy tym ciąży klątwa i musi on napisać wiersz do każdej mojej powieści.

Lekarka sądowa Thora Steffensen była tak miła i pomogła mi przy fachowych opisach autopsji. To jej należą się podziękowania za to, co zostało prawidłowo opisane. To, co może wzbudzać wątpliwości, należy zapisać na rachunek autora.

Dziękuję Vali, mojej żonie, oraz córkom: Emilii Björt i Margret Arnie, za cierpliwość i tolerancję.

Dodatek Fragmenty *Sagi wikingów jomskich*

W książce wspomina się o fragmentach *Sagi wikingów jomskich*, w których jarl Hakon z Lade pokonał w bitwie wikingów z Jomsborga. Owe fragmenty prezentujemy tutaj jako dodatek, czytelnikom ku nauce i uciechu.

Związani wikingowie jomscy

Jarl zobaczył ludzi na szkierze, więc kazał po nich płynąć, zgarnąć wszystkich i dostarczyć przed swoje oblicze, gdyż chciał zdecydować o ich życiu. Wsiadli ludzie jarla do jednej łodzi i powiosłowali na szkie. Ci, którzy się tam znajdowali, nie bardzo nadawali się do walki, zarówno z powodu ran, jak i wyziębienia. Zresztą nie wiadomo, by który z nich się bronił. Ludzie jarla wszystkich pojмали i przewieźli na ląd przed jego oblicze. Razem sześćdziesięciu chłopca. Jarl kazał sprowadzić na ląd Vagna i jego kompanów, skrępowano im wszystkim ręce z tyłu i bez litości powiązano razem powrozem. Natomiast jarl i jego ludzie wyciągnęli zapasy i zasiedli do posiłku, a potem chciał jarl spokojnie ściąć wszystkich wikingów jomskich, których udało im się schwytać.

Zanim jednak zasiedli do jedzenia, wniesiono na ląd łodzie jomskich wikingów i cały ich dobytek. Podzielono się zdobyczą. Jarl Hakon i jego ludzie rozdzielili między siebie cały majątek przeciwników i broń. Uznali, że odnieśli znaczące zwycięstwo: zdobyli całe mienie, pojмали część wikingów, innych przepędzili, a większość zabili. Strasznie się tym chełpili.

Najadłszy się do syta, wyszli ze swoich kwater i poszli do jeńców. Powiadają, że do ścięcia ich wszystkich został wyznaczony Thorkell Leira. Najpierw jednak wzięli jomskich wikingów na spytki. Pytali, czy są tak twardzi, jak się o nich mówi. Jomscy jednak nic wartego odnotowania im na to nie odpowiedzieli.

Teraz należy nadmienić, że najciężej rannych odwiązano od powroza. A Skofti Kark i inni thraellowie stali przy nich na straży i trzymali powróż. Kiedy jednak tamci zostali odwiązani, thraellowie skręcili wikingom jomskim włosy w wiechcie. Tak naszykowanych przyprowadzono najpierw rannych. Thorkell zbliżył się do nich i każdemu odciął głowę, a potem zwrócił się do swoich towarzyszy z pytaniem, czy może się po wykonaniu tego zadania zmienić, „bo twierdzą ludzie — wyjaśnił — że człowiek się zmienia fizycznie, jeśli trzech ludzi zetnie jednego po drugim”.

A odpowiedział mu jarl Hakon: „Nie widać, żebyś się od tego zmienił. Ale zdaje mi się, że wcześniej się zmieniłeś”.

Ścięcie związanych powrozem

Odwiązano teraz czwartego wikinga, włosy skręccono mu w wiecheć i

przyprawiono do Thorkella. Także był ciężko ranny. I gdy stanął przed Thorkellem, ten odezwał się do niego. Zanim się nim zajął, spytał, co sądzi o swojej śmierci. A wiking odparł: „Dobrze sądzę, bo zginę tak, jak zginął mój ojciec”. I zaraz potem odciął mu Thorkell głowę, kończąc jego żywot.

Teraz odwiązano piątego człowieka i zaprowadzono, a gdy już stanął przed Thorkellem, ten spytał: „Co ty na to, że masz umrzeć?”. A tamten odparł: „Każdy musi kiedyś umrzeć. Gdybym złego się spodziewał albo bał się śmierci, znaczyłoby, że nie pamiętam prawa wikingów jomskich”. Zaraz potem ściął Thorkell tego człowieka.

Jarl Hakon i Thorkell postanowili pytać każdego z nich, zanim zostaną ścięci, o ich stosunek do śmierci, żeby się przekonać, czy ci ludzie są tak twardzi, jak się o nich mówi. Gdyby żaden z tak wielu pojmanych nie okazał lęku w obliczu śmierci, oznaczałoby, że cieszą się zasłużoną opinią. A ponadto bawiły ich słowa skazańców, cokolwiek mówili.

Odwiązano szóstego człowieka i skręcono mu wiecheć z włosów, przygotowując do ścięcia. A na koniec zapytał go Thorkell, co on na to, że ma umrzeć. A ten odparł: „Cieszę się, że umrę z honorem, a ty się wstydz swojego życia, bo w hańbie i niesławie grzązł będziesz, dopóki stanie ci żywota”. Nie spodobały się Thorkellowi słowa tego człowieka, więc szybko skrócił go o głowę, bo nie był ciekawy jego słów.

Następnie przyprawiono siódmego człowieka i również jemu zadał Thorkell pytanie, co on na to, że umrze. „To dobrze — odparł skazany — że tak się składa. Ale chciałbym, żebyś wyświadczył mi pewną przysługę. Szybko głowę mi utnij. Trzymam w ręku nóż myśliwski. My, wikingowie jomscy, często zastanawialiśmy się nad tym, czy jak człek szybko straci głowę, to ma jeszcze jaką świadomość, i teraz możemy to sprawdzić. Jeśli będę miał świadomość, to wyciągnę nóż do przodu, jeśli nie, to wypadnie mi z dłoni. Tylko ty nie zawieź, przyłóż się dobrze i jak najszybciej zetnij mi głowę, żebyśmy to mogli sprawdzić”.

Uciął mu Thorkell szybko głowę. Odpadła od tułowia, a nóż upadł na ziemię, czego należało się spodziewać.

Potem przyprawiono ósmego człowieka i Thorkell zadał mu to samo pytanie. „Cieszę się” — odparł skazany. Ukręcili mu z włosów wiecheć. A kiedy sądził, że już niebawem spadnie na niego miecz, rzekł: „Baran”.

Thorkell zamarł w bezruchu i spytał, czemu tak mówi.

„Ponieważ — odparł tamten — potrzebny tu ktoś do obracania tych wszystkich jarlowych owieczek, które tak wczoraj beczały, kiedyśmy zadawali im rany”.

„Miernota z ciebie, skoro tak mówisz” — powiedział Thorkell. Natychmiast zadał cios, a skazaniec padł na miejscu.

Teraz odwiązano dziewiątego człeka. Thorkell go spytał: „I jak tam,

kamracie, dobrze myślisz o śmierci?”.

„Dobrze myślę o swojej śmierci, jak i wszyscy moi towarzysze, którzy tu oddadzą życie. Ale wolałbym, abyś dopilnował, by nie prowadzono mnie na ścięcie jak jakiegoś barana. Wolę usiąść przed tobą, a ty podejdź do mnie z przodu i tnij w twarz, a bacznie obserwuj, czy twarz mi drgnie, bo my, wikingowie jomscy, często zastanawialiśmy się między sobą, czy człowiek się krzywi, jak go ciąć w twarz”.

Thorkell postąpił tak, jak ten prosił. Człek ów usiadł, a Thorkell ciął go w twarz. Powiadają, że nie zauważył, by tamten drgnął, jedynie kiedy śmierć w oczy mu zajrzała, ściągnął źrenice, co często się zdarza, gdy ludzie konają.

Potem odwiązano dziesiątego człowieka i przywiedziono na stracenie. Thorkell zapytał o to samo. „Wyjątkowo dobrze myślę o śmierci — odparł pytany. — Chciałbym jednak, byś dał mi chwilę, bo chcę poluzować sobie spodnie”.

„Proszę bardzo — zgodził się Thorkell. — Chociaż nie widzę, by to miało jakiegokolwiek znaczenie. Ale niech będzie, jak chcesz”.

Człowiek ten miał miły wygląd i był słusznego wzrostu. A gdy zrobił, co chciał, nie podciągnął spodni i trzymając w ręku swego towarzysza, rzekł: „Prawda to, że wiele rzeczy inaczej się dzieje, niż człowiek sobie umyślił. Ja na przykład chciałem, aby ten mój towarzysz zbliżył się do Thory Skagadottir, jarlowej żony, a ona by go głaskała i do snu układała”.

Tu odezwał się jarl: „Zetnij go szybko, bo od dawna zepsute myśli chodzą mu po głowie, co sam teraz obnażył”.

Uciął mu Thorkell głowę i tak zakończył człowiek ów życie.

Jak darowano życie Sveinnowi Buasonowi

Na ścięcie przyprowadzono kolejnego człowieka. Był to młody chłopak o gęstych i długich włosach opadających na ramiona, złotych niczym jedwab. Jego również spytał Thorkell, jaki ma stosunek do swojej śmierci. A on odpowiedział: „Życie miałem piękne, ale straciło swoją wartość, kiedy tylu wspaniałych ludzi przed chwilą stracono, więc nie mam wyboru. Ale proszę ciebie o jedno — żeby na ścięcie nie prowadzili mnie niewolnicy, lecz ktoś, kto nie mniejszym jest człowiekiem niż ty, a sądzę, że o takiego tu nietrudno. I jest jeszcze coś. Zawsze dbałem o moje włosy, więc proszę, by ten, co na śmierć mnie poprowadzi, przytrzymał moje włosy z dala od głowy, kiedy ścinać mnie będziesz, i szybko oderwał głowę od tułowia, żeby włosów krwią nie zbryzgać. Ty zaś szybko zadaj cios, żeby to wszystko ułatwić”.

Powiada się, że pewien hirdmadur jarla to wykonał. Uznano, że nie będą wiehcia z włosów skręcać, lecz hirdmadur ów nawinął sobie jego włosy na rękę i oburącz trzymał przed zadaniem ciosu. Thorkell uniósł miecz, żeby spełnić jego prośbę i szybko i sprawnie wykonać wyrok. Spuścił miecz. Lecz ów młody człek, usłyszawszy świst miecza, szarpnął mocno głową i stało się tak, że miecz dosięgnął tego, który trzymał go za włosy. Thorkell obciął członkowi hirdu obie ręce od

łokci. A chłopak zerwał się na równe nogi i nuże żartować: „Kto, do licha, wraził łapy w moje włosy?”

Zdenerwował się jarl Hakon i powiada: „Wielka strata nas spotkała z ręki tych, co spętani, a ten prawdziwą tragedię na nas sprowadził. Zabijcie go zaraz. A tych, co pozostali, też jak najszybciej zabijcie, bo to ludzie bardzo niebezpieczni. Zresztą sami możemy się przekonać, że opowieści o ich hardości i waleczności wcale nie są przesadzone”.

Na to odpowiedział ojcu Eryk: „Ojczy, chcielibyśmy wiedzieć, kim są ludzie, których zabijemy. — I zwrócił się do długowłosego chłopaka: — Jak masz na imię, młody człowieku?”

„Sveinn mi mówią” — odparł tamten.

„Sveinnie, a czym jesteś synem? — spytał Eryk. — Jakiej narodowości?”

„Mój ojciec zwał się Bui Gruby, a synem był Vesetiego z Bornholmu. Duńczykiem zatem jestem”.

„A ile masz lat?” — przesłuchiwał go Eryk.

„Gdybym przeżył tę zimę, miałbym osiemnaście”.

„I przeżyjesz zimę — zawyrokował Eryk. — Jeśli wolno mi decydować, nie zostaniesz zabity”.

Eryk uwolnił go i przyłączył do swojej drużyny.

A gdy zauważył to jarl Hakon, rzekł: „Nie wiem, czego się spodziewasz, robiąc wyjątek dla człowieka, który nas tak zawstydził i wyszydził. Straszna ujmę nam na honorze wyrządził ten młodzian. Nie wypada mi jednak odbierać ci tego człowieka, niech zatem tym razem stanie się zgodnie z twoją wolą”.

I stało się tak, jak chciał Eryk.

A Thorkellowi Leirze jarl powiedział: „Tnij gładko pozostałych”.

Ale Eryk odparł: „Nie będziemy ich ścinać, zanim nie zamienimy z nimi kilku słów, bo chcę się dowiedzieć, kim jest każdy z nich”.

Eryk darowuje życie Björnowi

Odwiązano kolejnego człowieka, lecz powróż zaplątał mu się wokół nóg, tak że nie mógł podejść. Człek ten był dużego wzrostu, przystojny, młody i bystry. Thorkell spytał go o jego odczucia w obliczu śmierci. „Pozytywne — usłyszał — jeśli tylko dane mi będzie spełnić moje przyrzeczenie”.

„A jak masz na imię? — spytał jarl Eryk. — I co to za przyrzeczenie, które chciałbyś spełnić, zanim oddasz życie?”

A człek ten odparł: „Vagn mi na imię. Jestem synem Akiego, syna Palnatokiego z Fionii. Tak mi powiedziano”.

„A co przyrzekłeś, Vagnie? — spytał Eryk. — Co takiego chciałbyś, by się spełniło, aby z ochotą pójść na śmierć?”

„Złożyłem przyrzeczenie — odparł Vagn — że wejdę do łóża Ingibjörgi,

córki Thorkella Leiry, bez jego wiedzy i bez wiedzy jej krewnych, jeśli przyjadę do Norwegii. Uważam, że śmierć moja nie będzie pełna, jeśli nie uda mi się ziścić przed śmiercią mojego przyrzeczenia”.

„Już ja dopilnuję, żebyś tego przyrzeczenia nie spełnił” — krzyknął Thorkell i ruszył na Vagna. Trzymając miecz oburącz, zamachnął się, lecz opiekun Vagna, Björn Brytyjczyk, trącił swego podopiecznego nogą. Odepchnął go od siebie i sprawił, że ten uniknął ciosu, padając pod nogi Thorkella — tak silne to było kopnięcie. Thorkell opuścił miecz i przeciął powróż, którym Vagn był związany. Vagn się uwolnił, nie odnosząc ran. Thorkell nie dosięgnął mieczem człowieka i stracił równowagę. Upadł, a miecz wyleciał mu z rąk. Vagn długo nie poleżał, choć Björn go wywrócił. Zerwał się na równe nogi, porwał miecz upuszczony przez Thorkella i zadał mu śmiertelny cios. Ten zginął na miejscu.

„To jedno z moich przyrzeczeń spełniłem — oznajmił Vagn. — I od razu lepiej się czuję”.

Na to rzekł jarl Hakon: „Nie pozwólcie mu zbyt długo hasać na wolności. Zabijcie go czym prędzej, bo wyrządził nam wiele szkód”.

„Nie będzie stracony przede mną — odparł Eryk. — Chcę go ułaskawić”.

„Nie spierajmy się teraz o to — postanowił jarl Hakon. — Sam o wszystkim decydujesz, synu”.

„Vagn to dobry nabytek, ojciec — zauważył Eryk. — I to, zdaje mi się, na tyle, że jeśli obdarzymy go szacunkiem i szaczkami, jakimi cieszył się Thorkell Leira, to z powodzeniem go zastąpi. Thorkell mógł spodziewać się tego, co go spotkało, bo spełniło się to, co wielokrotnie mędracy mu przepowiadali. Sam widziałeś, jaką śmierć dziś poniósł”.

I wziął Eryk Vagna pod swoje skrzydła, tak że ten był bezpieczny.

Wówczas odezwał się Vagn: „Przyjmę od ciebie ułaskawienie, jeśli i oni wszyscy, moi towarzysze, zostaną ułaskawieni. Jak nie, wszyscy pójdziemy jedną drogą”.

„Chciałbym porozmawiać z tymi twoimi towarzyszami. Ale nie powiem im, o co prosisz” — odparł Eryk. Następnie podszedł do Björna Brytyjczyka i spytał, kim jest i jak się nazywa, a ten odparł, że Björn. Eryk na to: „Jesteś tym Björnem Brytyjczykiem, który tak odważnie wrócił, by wynieść swego towarzysza z pałacu króla Svena?”.

„Nie wiem — odpowiedział Björn — czy wróciłem odważnie, ale istotnie, wyniosłem stamtąd pewnego człowieka”.

„A u nas czego szukałeś? — spytał Eryk. — Stary człowiek, który przebył taki świat drogi. Co cię skłoniło do tej wyprawy, człeka łysego i białego niczym pisklę mewy? Prawda to, że nas, Norwegów, wszystkie źdźbła chcą kłuć. Nawet ty tu przybyłeś, żeby z nami walczyć, choć ze starości ledwo się na nogach trzymasz. Zgodzisz się, bym darował ci życie, bo nie mam ochoty zabijać takiego starca?”.

Björn na to: „Zgodzę się, Eryku, ale pod warunkiem, że mój wychowanek Vagn i wszyscy ci ludzie, którzy tu są, zostaną ułaskawieni”.

Eryk zaś odpowiedział: „Ułaskawię ciebie i ich wszystkich. Jeśli wolno mi będzie decydować, to tak zdecyduję”.

Eryk stanął przed obliczem ojca i poprosił o ułaskawienie wszystkich wikingów jomskich, którzy przeżyli. Jarl zgodził się. Rozwiązano wszystkich jomskich wikingów, darowano im wolność i zapewniono bezpieczeństwo. Jarl Hakon i Eryk postanowili, że Björn Brytyjczyk otrzyma majątek, który należał do Hallsteinna Bab Zabójcy.

Powiada się, że poza Hallsteinnem zginęło tam pięciu lenników.

Vagn Akason za radą Eryka udał się na wschód do Vik. Zanim się rozstali, powiedział Eryk Vagnowi, że jeśli taka jest jego wola, to niech bierze ślub z Ingibjörgą, córką Thorkella. I kiedy Vagn dotarł do Vik, jeszcze tego samego wieczoru wszedł do łóżka Ingibjörgi, córki Thorkella Leiry. I został tam na zimę. Wiosną wyjechał i dotrzymał wszystkiego, co obiecał Erykowi. Dotarł do Danii i do domu na Fionię. Długo jeszcze zarządzał gospodarstwem i dokonał wielkich czynów. I niejedna znakomitość z jego rodu się wywodzi.

Podobno zabrał ze sobą do domu Ingibjörgę. A Björn Brytyjczyk wrócił do Brytanii i rządził tam aż do śmierci. Uważano go za zanego człowieka.

